

ALEKSY TOĚSTOJ



ISKRY

AELITA





AELITA



A L E K S Y T O Ł S T O J

**A E L I T A**

*Przełożyła Alicja Stern*

ISKRY · WARSZAWA · 1956

---



*Алексей Толстой*  
*Аэлита*  
1955

Okladkę projektował  
Marian Stachurski

Redaktor  
Helena Wagner

Redaktor techniczny Jan Ekert

Korektor Hanna Nowak



I-4720

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1956 rok. Wydanie 1  
Nakład 20.000+205 egz. Ark. wyd. 8,4 Ark. przel. 9,8 Papier druk.  
mat. kl. V, 70 g, 82×104 (32) z fabryki w Skolwinie. Oddano do  
składania 14.VI.56. Druk ukończono we wrześniu 1956 roku. Zakł.  
Graf. Dom Słowa Polskiego w Warszawie. Zam. nr 3546/A. B-24  
Cena zł. 6.—

## DZIWNE OGŁOSZENIE

Na ulicy Czerwonych Żórz ukazało się dziwne ogłoszenie: była to kartka szarego papieru, przybita do odra-panego muru nie zamieszkanego domu. Przechodząc tamtędy, korespondent pism amerykańskich, Archibald Skyles, zobaczył młodą, bosą kobietę w schludnej kretonowej sukience, która stała przed tym ogłoszeniem; jej wargi poruszały się — kobieta czytała. Miła, zmęczona twarz nie wyrażała zdziwienia; ciemnoniebieskie oczy zachowywały wyraz obojętności, choć od czasu do czasu przemykało w nich coś szaleńczego. Kobieta założyła za ucho pasmo falistych włosów, podniosła z chodnika swój kosz z warzywami i przeszła na drugą stronę ulicy.

Ogłoszenie widocznie godne było uwagi. Skyles wiedziony ciekawością przysunął się bliżej, by je przeczytać. Przeczytał, przetarł oczy i przeczytał jeszcze raz.

— *Twenty three* — powiedział wreszcie, co musiało prawdopodobnie oznaczać: „Niech mnie wszyscy diabli porwą, jeśli coś z tego rozumiem!”

Ogłoszenie brzmiało w sposób następujący: „Inżynier M.S. Łoś zaprasza do siebie tych, którzy pragną polecieć z nim 18 sierpnia na planetę Mars, pomiędzy godziną 6-tą a 8-mą wieczorem w celu osobistych pertraktacji. Wybrzeże Żdanowskie, dom numer 11 w podwórzu”.



Było to napisane w sposób najzwyczajniejszy w świecie, zwykłym ołówkiem kopiowym.

Skyles mimo woli pomacał puls: był normalny. Rzucił okiem na chronometr — dziesięć po czwartej, 17 stycznia 192... roku.

Zamieszkawszy w tym szalonym mieście Skyles z góry uzbroił się w spokój i odwagę i przygotowany był na wszystko. Leczący ogłoszenie, przybite do odrapanego, muru, zrobiło na nim silne wrażenie.

Wiatr dmuchał na bezludnej ulicy Czerwonych Zórz. Niektóre okna w wielopiętrowych kamienicach, sprawiających wrażenie nie zamieszkanym, zabite były deskami, inne rozbite — nie wychylała się z nich żadna głowa. Młoda kobieta postawiła swój kosz na chodniku, stanęła po drugiej stronie ulicy i przypatrywała się Skylesowi. Jej miła, zmęczona twarz była pełna spokoju.

Wystający podbródek Skylesa drgnął. Wyciągnął starą kopertę i zanotował adres Łosia. W tej właśnie chwili przed ogłoszeniem zatrzymał się wysoki, barczysty człowiek bez czapki, sądząc z ubrania żołnierz; miał na sobie sukienną bluzę i owijacze na nogach. Podczas czytania ogłoszenia jego mocny kark się naprężył.

— Ten to rzeczywiście się rozpędził — na Marsa! — zawołał z satysfakcją i odwrócił ku Skylesowi swoją beztroską, opaloną twarz. Na skroni jego białała ukośna blizna. Oczywiście miał granatowopienne, a w nich, tak samo jak w oczach kobiety, coś szaleńczego. (Skyles od dawna już dostrzegał ten dziwny blask w oczach ludzi radzieckich i pisał nawet o tym w jednym ze swoich artykułów: „...Ten dziwny blask ich oczu, ten kpiący wyraz, to pełen szaleńczej decyzji, to znów niepojętej wyższości — w osobliwy sposób oddziałuje na Europejczyka“.)



— Cóż, można z nim pogadać i polecieć, sprawa prosta — znów odezwał się żołnierz i uśmiechnął się dobrodusznie, obrzucając przy tym Skylesa od stóp do głów uważnym spojrzeniem.

Ale nagle zmrużył oczy i uśmiech znikł mu z twarzy. Wzrok jego zatrzymał się na kobiecie, która nadal nieruchomo stała po przeciwnej stronie ulicy obok swojego kosza.

— Czego tu stoisz, Masza? — spytał. (Kobieta szybko zamrugła powiekami.) — Poszłabyś lepiej do domu. (Kobieta poruszyła swoimi niedużymi, zakurczonymi stopami, westchnęła i pochyliła głowę). Idź już, idź, niedługo wrócę!

Podniosła kosz i ruszyła przed siebie.

— Przeszedłem do rezerwy: rana i kontuzja — powiedział żołnierz. — Chodzę, czytam ogłoszenia — straszna nuda.

— Czy chcecie tam pójść? — zapytał Skyles.

— Naturalnie.

— Ale to przecież bzdura! Lecieć pięćdziesiąt milionów kilometrów w próżni kosmicznej!

— Co tu gadać — nieblisko.

— To kpiny — albo obłąd!

— Być może.

Skyles zmrużył oczy i przyjrzał się swemu rozmówcy, żołnierz patrzył nań drwiąco, z wyrazem niepojętej wyższości. Skyles wzburzony i zdenerwowany skierował się ku Newie. Szedł dużymi krokami, ten chód zdradzał całą jego pewność siebie. Zatrzymał się dopiero na skwerze. Tutaj usiadł na ławce, włożył rękę do kieszeni, po czym jednym ruchem kciuka napełnił fajkę, zapalił i wyciągnął nogi.

Na skwerze szumiały stare lipy. Powietrze było wilgotne i ciepłe. Na kupie piachu, sam jeden i widocznie już od dawna, siedział mały chłopiec w brudnej koszu-

linie w grochy i bez spodni. Wiatr poruszał od czasu do czasu jego jasnymi, miękkimi włosami. Chłopiec trzymał w ręku sznurek, do którego przywiązana była za nogę stara wrona z nastroszonymi piórami. Ptak siedział zły i zasepiony i tak samo jak chłopiec przypatrywał się Skylesowi.

Nagle — trwało to chwilę — jak gdyby mgiełka przesłoniła świadomość Skylesa, zakręciło mu się w głowie; czyż wszystko to nie jest tylko snem?... Chłopiec, wrona, puste domy, bezludne ulice, dziwne spojrzenia przechodniów i ogłoszenie na murze o locie międzyplanetarnym.

Głęboko zaciągnął się mocnym tytoniem. Rozłożywszy plan Piotrogradu i wodząc po nim końcem fajki, odnalazł wreszcie Wybrzeże Żdanowskie.

#### W PRACOWNI ŁOSIA

Skyles wszedł na podwórze, zavalone zardzewiałym żelastwem i beczułkami cementu. Na kupach śmieci, pomiędzy kłębkami poplątanego drutu i połamanymi częściami warsztatów, rosła wątła trawka. W zakurzonych szybach wysokiej szopy, znajdującej się w głębi podwórka, odbijało się zachodzące słońce. Niewielkie drzwi do szopy były uchylone, a na progu siedział w kucki robotnik i mieszał w kubelku minię. Na pytanie Skylesa, czy można zobaczyć się z inżynierem Łosiem, robociarz kiwnął głową w kierunku szopy. Skyles wszedł.

Szopa była słabo oświetlona; nad stołem, zavalonym wykresami i książkami, płonęła elektryczna lampa w blaszanym stożku. W głębi szopy aż pod sufit piętrzyły się rusztowania. Tu, w piecu hutniczym, płonął rozdmuchiwany przez robotników ogień. Poprzez spiętrzone rusztowania przeblyskiwała metalowa, gęsto



nitowana powierzchnia sferycznej konstrukcji. Za otwartymi drzwiami szopy widać było purpurowe pasma zachodu i skłębione nad morzem chmury.

— Do was, Mstisławie Siergiejewiczu — powiedział półgłosem robotnik rozdmuchujący płomień.

Zza rusztowań wyłonił się mocno zbudowany mężczyzna średniego wzrostu. Jego gęste, białe włosy tworzyły czapę na głowie. Twarz miał młodą, ogoloną, o dużych, ładnie zarysowanych ustach, o wnikliwych, jasnych oczach.

Był w brudnej, płóciennej rozchełstanej na piersiach koszuli i w łatanych, przepasanych sznurkiem spodniach. W ręku trzymał zabrudzony wykres. Zbliżając się, usiłował zapiąć koszulę na nie istniejący guzik.

— Pan z ogłoszenia? Chce pan lecieć? — zapytał nieco głuchym głosem i wskazał Skylesowi krzesło pod stożkiem lampy, sam zaś usiadł naprzeciwko, przy stole, położył wykres i zaczął nabijać fajkę tytoniem. Był to inżynier Mstisław Siergiejewicz Łoś.

Spuściwszy oczy, zapalił fajkę; płomyk oświetlił z dołu jego mocną twarz, dwie zmarszczki wokół ust — rysy goryczy, szeroki wykrój nozdrzy, długie, ciemne rzęsy. Te spostrzeżenia zadowolily Skylesa. Wyjaśnił, że lecieć nie zamierza, lecz przeczytał ogłoszenie na ulicy Czerwonych Zórz i uważa za swój obowiązek zapoznać swoich czytelników z tak niezwykłym i sensacyjnym planem podróży międzyplanetarnej.

Łoś słuchał, nie odrywając odeń nie mrugających oczu.

— Szkoda, że nie chce pan ze mną lecieć, szkoda — pokiwał głową. — Ludzie uciekają ode mnie jak od szaleńca. Za cztery dni porzucam ziemię i dotychczas nie mogę znaleźć towarzysza. — Znów potarł zapałkę i wypuścił kłęb dymu. — Jakie informacje są panu potrzebne?



— Najbardziej charakterystyczne szczegóły pańskiego życiorysu.

— To nikomu nie jest potrzebne — powiedział Łoś — nie ma w nim nic nadzwyczajnego. Z trudem zdobywałem pieniądze na naukę, od dwunastego roku życia stałem na własnych nogach. Młodość, lata nauki, praca, służba — nie ma nic takiego, co by zainteresowało pańskich czytelników, nic nadzwyczajnego, oprócz... — Łoś nagle się zachmurzył i dwie głębokie zmarszczki wokół jego ust zaznaczyły się jeszcze wyraźniej.

— Więc, cóż... Nad tą maszyną — skinął fajką w kierunku rusztowań — pracuję od dawna. Budowę rozpocząłem dwa lata temu. To wszystko!

— W ciągu ilu miesięcy, w przybliżeniu, zamierza pan przebyć przestrzeń pomiędzy Ziemią a Marsem? — zapytał Skyles, spoglądając na koniuszek ołówka.

— W ciągu dziewięciu — dziesięciu godzin. Przypuszczam, że to nie potrwa dłużej.

— Aha! — powiedział Skyles, przy czym zaczerwienił się i poruszył szczękami.

— Byłbym bardzo zobowiązany — powiedział z przesadną uprzejmością — gdyby pan okazał mi zaufanie i poważnie potraktował ten wywiad.

Łoś oparł łokcie na stole, poprzez kłęby dymu błysnęły jego oczy.

— Osiemnastego sierpnia Mars zbliży się do Ziemi na czterdzieści milionów kilometrów — tę przestrzeń muszę przelecieć. Co składa się na tę odległość? Po pierwsze — wysokość atmosfery ziemskiej — siedemdziesiąt pięć kilometrów. Po drugie — odległość między planetami w bezpowietrznej przestrzeni — czterdzieści milionów kilometrów. Po trzecie — wysokość atmosfery Marsa — sześćdziesiąt kilometrów. W moim locie istotne znaczenie mają wyłącznie te sto trzydzieści pięć kilometrów atmosfery.

Wstał z miejsca, włożył ręce do kieszeni, głowa jego tonęła w obłokach dymu — światło padało na jego pierś i włochate, obnażone do łokcia ręce.

— Lotem zazwyczaj nazywa się lot ptaka, lot spadającego liścia lub samolotu. To nie jest jednak lot w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz pływanie w powietrzu. Prawdziwy lot — to spadek, ruch ciała pod wpływem popychającej go siły. Na przykład — rakietą. W przestrzeni bezpowietrznej, gdzie nie ma oporu, gdzie nic nie przeszkadza lotowi, rakietą posuwa się ze stale wzrastającą szybkością. Tam przypuszczalnie może osiągnąć szybkość światła, o ile nie staną jej na przeszkodzie prądy magnetyczne. Moja maszyna zbudowana jest na zasadzie rakiety. W atmosferze Ziemi i Marsa muszę przelecieć sto trzydzieści pięć kilometrów. Wraz ze startowaniem i lądowaniem potrwa to półtorej godziny. Obliczam, że godzinę zajmie wyrwanie się ze sfery przyciągania Ziemi. Dalej, w przestrzeni bezpowietrznej, mogę lecieć z dowolną szybkością. Lecz istnieją dwa niebezpieczeństwa: po pierwsze, przy gwałtownym przyspieszaniu ruchu mogą pęknąć naczynia krwionośne, po drugie, jeśli lecąc z tą szybkością zderzę się z atmosferą Marsa, to skutki będą takie, jak gdybym wbił maszynę w piach. Aparat oraz to wszystko, co się w nim znajduje, momentalnie przekształci się w gaz. W przestrzeni międzyplanetarnej pędzą odłamki planet, nie narodzonych lub zaginionych światów. Przy zetknięciu z powietrzem, błyskawicznie się spalają. Powietrze stanowi pancierz prawie nie do przebicia. Jeśli chodzi o Ziemię, to wydaje się jednak, że jej pancierz został już niegdyś przebity.

Łoś wyjął rękę z kieszeni, położył ją na stole i zacisnął w pięść.

— Odkopywałem spod wiecznych śniegów Syberii mamuty, które zginęły w rozpadlinach ziemi. Pomie-



dzy ich zębami tkwiła trawa; pasły się tam, gdzie dziś są lodowce. Jadłem ich mięso. Nie zdążyło ono ulec rozkładowi, zwierzęta zmarzły w ciągu kilku dni, a potem zasypały je śniegi.

— Odchylenie osi ziemskiej trwało widocznie chwilę. Ziemia musiała zderzyć się z jakimś ciałem niebieskim lub też miała drugiego satelitę, mniejszego niż księżyc. Na skutek przyciągania ów satelita spadł, rozbił powłokę ziemską i wpłynął na odchylenie osi. Być może, przez to właśnie uderzenie zaginął ląd znajdujący się na zachód od Afryki, na Oceanie Atlantyckim. A więc, by się nie roztopić, w momencie zderzenia z atmosferą Marsa będę musiał bardzo mocno zahamować szybkość. Dlatego na cały przelot przestrzeni międzyplanetarnej przeznaczam pięć, sześć godzin. Za kilka lat podróż na Marsa nie będzie bardziej skomplikowana niż przebycie przestrzeni z Moskwy do Nowego Jorku.

Łoś odszedł od stołu i włączył wyłącznik dźwigniowy. Pod sufitem zasyczały i zapłonęły lampy łukowe. Skyles zobaczył na skleconych z desek ścianach wykresy, diagramy i mapy; półki z przyrządami optycznymi i pomiarowymi, skafandry, piramidki konserw, futrzaną odzież. Teleskop stał na podwyższeniu w rogu szopy.

Łoś i Skyles zbliżyli się do rusztowań, które otaczały metalowe jajo. Na oko Skyles określił, że aparat ma nie mniej niż osiem i pół metra wysokości i sześć średnicy. Pośrodku powierzchnię jego otaczał stalowy pas, odchylający się ku dołowi na kształt parasola. Był to hamulec spadochronowy, zwiększający opór aparatu przy upadku w atmosferze. Pod spadochronem znajdowały się trzy okrągłe otwory — luki wejściowe. Dolna część jaja zakończona była wąską szyjką. Otaczała ją podwójna spirala z masywnej stali wijąca się w dwóch



przeciwnych kierunkach — był to bufor, łagodzący wstrząs przy upadku na ziemię...

Postukując ołówkiem po nitowanym pokrowcu jaja, Łoś zaczął wyjaśniać szczegóły konstrukcji statku międzyplanetarnego.

Aparat został zbudowany ze sprężystej, trudno topliwej stali; od wewnątrz wzmacniają go żebra i lekkie kratownice. Jest to zewnętrzny pokrowiec. Mieści się w nim drugi pokrowiec z sześciu warstw gumy, wołoku i skóry. We wnętrzu tego drugiego skórzanego, stebnowanego jaja znajdują się stery, urządzenia obserwacyjne, zbiorniki tlenu i pochłaniacze dwutlenku węgla oraz wory do narzędzi i zapasów żywności. Specjalne „oczka“, okienka obserwacyjne, w postaci krótkiej metalowej rurki, zaopatrzonej w szkła pryzmatyczne, wychodzą poza górną powłokę aparatu.

Mechanizm ruchu mieści się w szyjce owiniętej spiralą. Szyjka odlana jest z metalu, przewyższającego pod względem twardości brąz astronomiczny. W ścianach szyjki wydrążono pionowe kanały. Każdy z nich rozszerza się ku górze tworząc tak zwane komory wybuchów. Do każdej komory włączono świecę, w której wywołuje iskrę wspólne dla wszystkich świec magneto. Podobnie jak do silnika spalinowego wlewa się benzyna, tak samo rurka doprowadzająca zasila komory wybuchów ultraliditem — delikatnym proszkiem, o niezwykłej sile wybuchowej, wynalezionym w laboratorium ...skich zakładów przemysłowych w Piotrogradzie. Siła ultraliditu przewyższa wszystko, co znane jest dotychczas w tej dziedzinie. Stożek wybuchu jest nadzwyczaj wąski. Ażeby oś stożka wybuchu pokrywała się z osiami kanałów pionowych w szyjce — ultralidit przed zasileniem wszystkich komór wybuchowych przepuszczano przez pole magnetyczne. Na tym w ogólnych zarysach polegała zasada poruszania się mecha-

nizmu: była to rakietą. Zapas ultraliditu obliczono na sto godzin. Zwiększając lub zmniejszając ilość wybuchów na sekundę, można było zwiększać lub zmniejszać szybkość wznoszenia się i opadania aparatu. Dolna jego część jest znacznie cięższa od górnej, toteż trafiając w sferę przyciągania planety, aparat zawsze zwraca się do niej szybką.

— Kto finansował budowę aparatu? — zapytał Skyles.

Łoś spojrział nań ze zdziwieniem:

— Republika...

Łoś i Skyles powrócili do stołu. Po chwili milczenia Skyles spytał niepewnym głosem:

— Czy spodziewa się pan spotkać na Marsie żywe istoty?

— Przekonam się o tym w piątek rano — dwudziestego pierwszego sierpnia.

— Proponuję panu po dziesięć dolarów od wiersza za pańskie wrażenia z podróży. Tytułem zadatku płacę za sześć felietonów po dwieście wierszy. Czek może pan zrealizować w Sztokholmie. Zgoda?

Łoś roześmiał się i skinął głową: zgadzam się. Skyles usiadł w kącie i zaczął wypisywać czek.

— A mimo wszystko szkoda, szkoda, że nie chce pan lecieć ze mną. W gruncie rzeczy to tak blisko, bliżej, na przykład, niż pieszo do Sztokholmu — powiedział Łoś, pykając swoją fajkę.

## TOWARZYSZ PODRÓŻY

Łoś stał opierając się ramieniem o odrzwia otwartej bramy. Fajeczka jego zgasła.

Za bramą, aż do Wybrzeża Żdanowskiego, ciągnęły się nie zabudowane place. Na przeciwległym brzegu



rzeki majaczyły niewyraźne kontury drzew na Wyspie Piotrowskiej. Za nimi powoli dogasał smutny zachód słońca. Białe chmury lekko obrzeżone jego światłem spoczywały na zielonkawym tle nieba. Zapłonęło kilka gwiazd. Na starej Ziemi panowała cisza.

Robotnik Kuźmin, który przedtem mieszał minię w kuble, zbliżył się do Łosia, również zatrzymał się w bramie i rzucił w mrok palący się niedopałek.

— Trudno jest rozstać się z Ziemią — powiedział cichym głosem. — Nawet z domem trudno jest się rozstać. Wyruszy człowiek z domu na kolej — z dziesięć razy się obejrzy po drodze na swoją wieś. Cóż z tego, że chałupa jest kryta słomą? — przecież to własny, rodzinny ką. Ziemię porzucić — to nie byle co...

— Woda się zagotowała — powiedział drugi robotnik Chochłow. — Chodź, Kuźmin, napij się herbaty.

„Tak to jest” — westchnął Kuźmin i wszedł do szopy. Usiedli z Chochłowem na skrzyniach koło paleniska i zaczęli pić herbatę. Jedli przy tym nie spiesząc się — powoli odłamując kawałki chleba i ostrożnie obierając z ości suszoną rybę.

Kuźmin potrząsnął bródką i powiedział półgłosem:

— Żal mi go. Dziś mało jest takich ludzi.

— Za wcześnie mszę żałobną po nim odprawiasz.

— Mówił mi jeden lotnik, jak to wzbił się na osiem wiorst w górę — lato było — a jednak oliwa w aparacie mu zamarzała. A co jest jeszcze wyżej? Tam musi być chłód i mrok.

— Mówię ci, że za wcześnie krzyżyk na nim postawiłeś — posępnie powtórzył Chochłow.

— Nikt nie chce z nim lecieć, nie wierzą mu. Już drugi tydzień ogłoszenie wisi na próżno.

— A ja wierzę.

— Doleci?



— Żebyś wiedział, że doleci. Wtedy ci z Zachodu też polecą.

— Kto polecą?

— Kto, kto? Ale dostaną figę z makiem — bo czyj jest teraz Mars? Radziecki.

— Doprawdy!

Kuźmin przesunął się na skrzynce. Zbliżył się Łoś, usiadł i wziął kubek z gorącą herbatą.

— Nie chcecie ze mną lecieć, Chochłowie?

— Boję się, Mstisławie Siergiejewiczu, nie chcę.

Łoś uśmiechnął się, wypił łyk herbaty i spojrzał z ukosa na Kuźmina.

— A wy, przyjacielu?

— Chętnie bym poleciał, Mstisławie Siergiejewiczu — ale żona chora, dzieciaki mam — jak je zostawić?

— Widocznie będę musiał sam lecieć — powiedział Łoś, odstawiając pusty kubek na bok i wycierając usta ręką. — Niewielu jest takich, co chcą rozstać się z Ziemią. — Znów uśmiechnął się i pokiwał głową. — Przyszła do mnie wczoraj panienka z ogłoszenia: „Chcę z wami lecieć, powiada, mam dziewiętnaście lat, śpiewam, tańczę, gram na gitarze, nie chcę dłużej przebywać na Ziemi — rewolucje mi się znudziły. Czy wizy wyjazdowe są potrzebne?” Ale kiedy skończyliśmy rozmowę, panienka zaczęła płakać: „Oszukaliście mnie, myślałam, że to o wiele bliżej”. Potem zjawił się młody człowiek, mówił basem, ręce miał spocone. „Uważacie mnie widocznie za idiotę, powiada, lot na Marsa jest niemożliwy; jakim prawem wywieszacie takie ogłoszenia”. Z wielkim trudem zdołałem go uspokoić.

Łoś oparł łokcie na kolanach i utkwiał wzrok w żarzącym się węglu. Twarz jego w tym momencie wydawała się zmęczona, czoło poraży bruzdy. Widać było, że odpoczywa po długim napięciu nerwowym. Kuźmin poszedł po tytoń. Chochłowie odkasznęli i zapyta:

— Nie boicie się tak sami lecieć, Mstisławie Siergiejewiczu?

Łoś skierował nań spojrzenie, w którym odbijał się żar ogniska.

— Nie, nie boję się. Przekonany jestem, że wyląduję szczęśliwie. W razie zaś niepowodzenia, uderzenie będzie błyskawiczne i bezbolesne. Czego innego się lękam. Wyobraźmy sobie, że moje wyliczenia okażą się mylne i że nie trafię w sferę przyciągania Marsa — przeskoczę obok niej. Zapasy paliwa, tlenu i żywności nie starczą na długo. I oto lecę w mroku. Przede mną płonie gwiazda. Po tysiącu lat mój skostniały trup wpadnie w jej płomienne oceany. Strach mnie ogarnia, kiedy myślę o tym trupie lecącym tysiące lat w mroku! O tych długich dniach, które będę jeszcze żył — a żyć w tym pudełku będę długo — o tych długich dniach beznadziejnej rozpacz, o tej samotności we wszechświecie! Nie śmierć jest straszna, lecz samotność, beznadziejna samotność pośród wiecznego mroku. To jest naprawdę straszne. Tak, bardzo nie chce mi się lecieć samemu.

Łoś, mrużąc oczy, uparcie patrzył w płomień.

W bramie ukazał się Kuźmin i zawołał półgłosem:

— Ktoś do was, Mstisławie Siergiejewiczu!

— Kto? — szybko wstając, zapytał Łoś.

— Jakiś czerwonoarmista chce was widzieć.

Do szopy wszedł za Kuźminem człowiek w sukiennej bluzie, ten sam, który czytał ogłoszenie na ulicy Czerwonych Zórz. Szybko skinąwszy głową Łosiowi obejrzał rusztowania i zbliżył się do stołu.

— Szukacie towarzysza podróży?

Łoś podsunął mu krzesło i usiadł naprzeciwko.

— Tak, szukam. Lecę na Marsa.

— Wiem. Napisałicie o tym w ogłoszeniu. Wczoraj



pokazano mi tę gwiazdę. Kawał drogi. Chciałbym się dowiedzieć, jakie dajecie warunki: wyżywienie, pensję?

— Macie żonę?

— Mam, ale jestem bezdzietny.

Przybyły nerwowo bębnił palcami po stole i z ciekawością rozglądał się dookoła. Łoś zapoznał go pokrótce z warunkami lotu i uprzedził, jakie istnieje ryzyko. Zaproponował, że zabezpieczy jego rodzinę, wypłacając z góry pensję pieniędzmi i żywnością. Czerwonoarmista kiwał głową, przytakiwał, ale słuchał z roztargnieniem.

— Czy według was mieszkają tam ludzie, czy potwory? — zapytał.

Łoś mocno podrapał się po głowie i roześmiał.

— Według mnie — ludzie, coś w rodzaju nas. Pojedziemy, to zobaczymy. Już od kilku lat wielkie radiostacje w Europie i Ameryce otrzymują niezrozumiałe sygnały. Początkowo myślano, że to są skutki burz magnetycznych na kuli ziemskiej. Lecz tajemnicze dźwięki jakoś zbyt przypominały sygnały alfabetyczne. Ktoś uporczywie chce się z nami porozumieć. Skąd? Na razie na żadnej planecie prócz Marsa nie stwierdzono śladów życia. Sygnały mogą być tylko z Marsa. Spójrzcie na tę mapę — cały Mars pokryty jest siecią kanałów (wskazał na wykres przybity do ściany). Widocznie istnieje tam możliwość założenia potężnej radiostacji. Mars chce mówić z Ziemią. Na razie nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć na te sygnały. Jednak lecimy tam na ich wezwanie. Trudno sobie wyobrazić, że radiostacje na Marsie zbudowały potwory, stworzenia niepodobne do nas. Mars i Ziemia — to dwie mikroskopijne kulki, krążące obok siebie. Podlegają one tym samym prawom. We wszechświecie unosi się pył życia. A więc dotyczy to i Ziemi, i Marsa, i miliardów stygnących gwiazd. Wszędzie powstaje życie, a nad

życiem króluje człekokształtna istota, gdyż nie podobna stworzyć zwierzęcia doskonalszego niż człowiek.

— Jadę z wami — oświadczył stanowczo czerwonoarmista. — Kiedy mam się stawić z rzeczami?

— Jutro. Muszę was zapoznać z aparatem. Wasze imię i nazwisko?

— Gusiew, Aleksiej Iwanowicz.

— Zawód?

Gusiew rzucił roztargnione spojrzenie na Łosia, a potem przeniósł je na swoje palce.

— Jestem piśmienny — powiedział — znam się nie najgorzej na silnikach. Na samolocie latałem jako obserwator. Od osiemnastego roku życia wojuję — to cały mój zawód. Byłem kilkakrotnie ranny. Obecnie w rezerwie.

Nagle szybko potarł dłonią czoło i parsknął śmiechem.

— Niejedno się działo w ciągu tych siedmiu lat! Szczerze mówiąc, powinienem teraz już pułkiem dowodzić, ale charakter mam niezgodny. Jak tylko kończą się działania wojenne — nie mogę usiedzieć na miejscu: coś mnie goni i goni. Albo proszę o pozwolenie odejścia, albo po prostu więję. — Podrapał się po głowie i uśmiechnął się. — Cztery republiki organizowałem — nawet nazw tych miast już teraz nie pamiętam. Pewnego razu zebrałem ze trzy setki chłopaków — poszliśmy Indie wyzwalać. Chcieliśmy tam się dostać. Ale zabłądziliśmy w górach, trafiliśmy w zamiecie, pod lawiny, konie nam padły. Niewielu nas stamtąd wróciło. U Machno też byłem ze dwa miesiące, chciałem sobie wesoło pożyć... nie mogłem jednak przywyknąć do bandytów... Wstąpiłem do Armii Czerwonej... Byłem w konnicy Budionnego... Po raz ostatni byłem ranny w czasie ataku na Perekop. Prawie przez cały rok waleśałem się potem po szpitalach. Wyszedłem wresz-



cie — gdzie miałem się podziąć? Wtedy nawinęła mi się ta moja dziewczyna — ożeniłem się. Żonę mam dobrą, żal mi jej, ale w domu usiedzieć nie mogę. Wracać na wieś?... Ojciec i matka umarli, bracia zabici podczas wojny, ziemia leży odłogiem. W mieście też nie ma nic do roboty. Żadnej wojny na razie nie ma i jakoś na nic się nie zanosi. Bardzo was proszę, Mstisławie Siergiejewiczu, weźcie mnie ze sobą. Przydam się wam na Marsie.

— No, bardzo się cieszę — powiedział Łoś, podając mu rękę. — Do jutra.

## BEZSENNA NOC

Wszystko było gotowe do odlotu z Ziemi. Jednakże przez ostatnie dwa dni trzeba było prawie bez wytchnienia układać rzeczy w aparacie i napełniać worki mnóstwem drobiazgów. Sprawdzono urządzenia i instrumenty. Zdjęto rusztowania otaczające aparat oraz usunięto część dachu.

Łoś wyjaśnił Gusiewowi mechanizm ruchu i zapoznał go z najważniejszymi przyrządami. — Gusiew okazał się sprytnym i pojętym uczniem.

Naznaczono odlot na pojutrze o godzinie szóstej po południu.

Późnym wieczorem Łoś zwolnił robotników i Gusiewa, zgasił światło z wyjątkiem lampki nad stołem i położył się w ubraniu na żelaznym łóżku, ustawionym w rogu szopy za trójnogiem teleskopu.

Noc była cicha i gwiazdna. Łoś nie mógł zasnąć. Podłożywszy ręce pod głowę, wpatrywał się w mrok. W ciągu wielu dni panował nad sobą. Ale w tę ostatnią noc na Ziemi dał folgę sercu: niech cierpi, niech popłacze sobie!

Pogrążył się w wspomnieniach... Pokój tonący w półmroku... Świeca zasłonięta książką. Zapach lekarstw, zaduch. Na dywanie — miednica. Kiedy się wstaje i przechodzi obok miednicy, na ścianie, na smutnych tapetach kołyszają się cienie. Jak ciężko na duszy! W łóżku leży ktoś, droższy niż cały świat — Katia, jego żona — jak szybko, jak słabo oddycha. Na poduszce gęste, splątane włosy. Kolana uniesione pod kołdrą. Katia opuszcza go. Łagodna, piękna jeszcze niedawno twarz zmieniła się nie do poznania. Jest rozpalona, niespokojna. Palce niecierpliwie szarpią brzeg kołdry. Łoś ujmuje jej rękę i nakrywa kołdrą.

„Otwórz oczy, kochanie, spójrz, pożegnaj się ze mną...” Katia mówi ledwo dosłyszalnie: „orz oko, orz oko”. Chce powiedzieć swym dziecięcym, żalonym głosikiem: „Otwórz okno”. Gorsza niż strach jest litość, jaką wzbudza ten głos. „Katiu, Katiu, spójrz!” Całuje jej policzki, czoło, zamknięte powieki. Gardło jej drży, piersi unoszą się gwałtownie, palce wpiły się w brzeg kołdry. „Katiu, Katiu, co ci jest?” Nie odpowiada, odchodzi... Uniosła się na łokciach, wyprężyła, jak gdyby ją coś pchało od dołu. Ukochana główka zwisa bezsilnie... Katia osuwa się, tonie w pościeli. Podbródek opadł. Łoś pełen rozpaczycy chwycił ją w objęcia, przytulił się do niej.

...Nie, nie, nie — ze śmiercią nie można się pogodzić.

Wstał z łóżka, sięgnął po pudełko z papierosami, zapalił i przez pewien czas chodził tam i z powrotem po ciemnej szopie. Potem wszedł po stopniach drabiny teleskopu i odszukał lunetą Marsa, który płonął nad Piotrogradem; długo wpatrywał się w maleńką, promienną, ciepłą kulkę.

...Znowu się położył... I znów pamięć wskrzesza przed nim wizje. Na pagórku wśród traw siedzi Katia. Daleko, za falującymi polami — złote punkty Zwienigoro-



du. W letnim skwarze nad polami żyta i gryki szybuja jastrzębie. Katuszę zmorzył skwar i senność. Łoś siedzi obok, gryzie źdźbło trawy, spogląda na jasną głowę Katuszy, na jej opalone ramię z jaśniejszym pasemkiem skóry pomiędzy opalenizną a suknią. Szare oczy Katuszy są spokojne i piękne, w nich również szybuja jastrzębie. Katia ma osiemnaście lat. Siedzi i milczy. „Nie, moja droga — myśli sobie Łoś — mam nieco ważniejsze sprawy niż tu, na tym pagórku, zakochać się w tobie. Nie dam się złapać na tę wędkę i nie pojedę już więcej do was na letnisko”.

O, mój Boże! Jak lekkomyślnie zostały roztrwonione te upalne dni. Gdyby można było wówczas zatrzymać czas! Ale te dni nigdy nie wrócą! Nie wrócą...

Znów zerwał się z łóżka, pocierał zapałki, palił papierosa, chodził. To chodzenie wzdłuż drewnianych ścian męczyło go, czuł się jak zwierzę w klatce.

Otworzył wrota szopy i zaczął wpatrywać się w świecący już wysoko na niebie Mars.

„Ale i tam, poza krańcami kuli ziemskiej, poza granicą śmierci nie zdołam uciec od siebie. Po co zakosztowałem tej trucizny — po co poznałem miłość? Lepiej było żyć nie rozbudzonym. Lecą przecież w kosmosie umarłe nasiona życia, kryształły z lodu, pogrążone we śnie. O, nie! Trzeba upaść i zakwitnąć, obudzić w sobie pragnienie miłości, łączenia się, zapomnienia, pragnienie przzerwania swej samotnej wędrówki. I cały ten krótki sen jest po to, by znów nastąpiły: śmierć, rozłaka, i znowu kosmiczny lot zlodowaciałych kryształów”.

Łoś długo stał w bramie. Wysoko nad śpiącym Piotrogradem Mars mienił się szmaragdowym, krwawym, to znów granatowym blaskiem. „Obcy, dziwny świat — myślał Łoś — ten świat, być może, dawno już wygaś,



a być może jest fantastycznym, kwitnącym i wspaniałym światem... Którejś nocy tak samo będę spoglądać stamtąd na swą rodzimą gwiazdę, świecącą wśród innych gwiazd. Przypomnę sobie wzgórze i jastrzębie i grób, w którym spoczywa Katia... Smutek mój będzie wówczas mniejszy..."

Nad ranem Łoś przykrył głowę poduszką i zasnął. Zbudził go dopiero hałas jadących wybrzeżem wozów. Przetarł twarz dłonią. Jego oczy, jeszcze na wpół przytomne pod wpływem sennych widziadeł, wpatrywały się w mapy na ścianach i w aparat. Westchnął, obudził się na dobre, podszedł do kranu i oblał głowę lodowatą wodą. Narzuciwszy płaszcz ruszył przez puste pola do domu, do swojego mieszkania, w którym pół roku temu umarła Katia.

Tu umył się, ogolił, włożył czystą bieliznę i ubranie, sprawdził, czy wszystkie okna są zamknięte. Kurz, który leżał wszędzie, świadczył o tym, że nikt tu nie mieszka. Otworzył drzwi do sypialni, gdzie po śmierci Kati nigdy nie nocował. W sypialni było prawie ciemno — rolety opuszczone, połyskiwało tylko lustro w drzwiach szafy z sukienkami Kati: lustrzana połówka była uchylona. Łoś nachmurzył się, podszedł na palcach i przymknął ją. Potem opuścił sypialnię. Wyszedł z mieszkania, zamknął drzwi wejściowe i schował płaski kluczyk do kieszeni kamizelki.

Teraz wszystko przed wyjazdem zostało załatwione.

## TEJ SAMEJ NOCY

Tej nocy Masza długo czekała na męża. Kilka razy podgrzewała imbryk na prymusie. Za wysokimi dębowymi drzwiami panowała cisza i pustka.

Gusiew i Masza mieszkali w jednym z pokojów luk-



susowego niegdyś, ogromnego, obecnie zaś zaniedbanego domu. Właściciele opuścili go w czasie rewolucji. Deszcze i zamiecie zimowe zniszczyły w ciągu czterech lat jego piękne wnętrza.

Pokój był przestronny. Na suficie wśród złotych rzeźb i obłoków leciała roześmiana kobieta o bujnych kształtach, a wokół niej fruwały amorki.

„Widzisz, Masza — stale mawiał Gusiew wskazując na sufit — jaka z niej wesoła kobieta, baba przy kości, można powiedzieć, i dzieci ma sześcioro — kobieta, jak się patrzy”.

Nad połączonym łóżkiem, stojącym na lwich łapach, wisiał portret starca w pudrowanej peruce, z zaciętymi ustami, z gwiazdą w klapie surduta. Gusiew przezwiał go „generałem Deptalskim”. „Ten nie lubił żartować, wystarczyło, że mu się coś nie podoba — zaraz człowieka deptał”. Masza bała się patrzeć na ten portret. Przez cały pokój ciągnęła się rura od żelaznego piecyka, który zakopcił ścianę. Na półkach i na stole, gdzie Masza szykowała skromne posiłki, panowały porządek i czystość.

Rzeźbione dębowe drzwi prowadziły do salonu o dwóch wielkich oknach. Szyby były powybijane, okna zabite deskami, sufit miejscami się walił. Podczas burzliwych nocy hulał tu wiatr i biegały szczury.

Masza siedziała przy stole. Syczał płomyk prymusa. Wiatr przyniósł z daleka ponury dźwięk zegarów. Była druga w nocy. Gusiew nie wracał.

„Za czym goni — myślała Masza — czego mu brak? Ciągłe czegoś szuka, ten duch niespokojny!... Ach, Alosza, Alosza... Żebyś choć raz zamknął oczy i położył mi głowę na ramieniu, kochany; nie szukaj, nie znajdziesz większej miłości od mojej”.

Na rzęsach Maszy zawisły łzy, starła je powoli, wspierając policzek na dłoni. Nad jej głową odlatywa-

ła gdzieś radosna kobieta, otoczona wesołymi, skrzydlatymi dzieciakami. „Gdybym ja była taka — myślała patrząc na nią Masza — nigdzie by ode mnie nie odszedł”.

Gusiew powiedział jej, że wybiera się w daleką drogę, ale nie wiedziała, dokąd jedzie, bała się pytać. Sama wiedziała, że nie wytrzyma z nią w tym cudownym pokoju, w tej ciszy, że nie potrafi już jej kochać tak jak dawniej.

W nocy coś mu się śni — zgrzyta zębami, krzyczy głuchym głosem, siada na łóżku i ciężko oddycha. Zęby ma zaciśnięte, twarz i piersi złane potem. Pada z powrotem na łóżko, usypia, a z rana jest smutny, miejsca sobie znaleźć nie może.

Masza była w stosunku do niego uległa i pieśczośliwa — zachowywała się mądrzej niż rodzona matka. Kochał ją za to i żał mu jej było, ale kiedy przychodził rano, czym prędzej uciekał z domu.

Masza pracowała i przynosiła do domu przydziały. Często nie mieli zupełnie pieniędzy. Gusiew miał się rozmaitych zawodów, ale szybko je porzucał. „Starzy opowiadali, że w Chinach są tereny złotodajne — mówił do Maszy. — Myślę, że to nieprawda, ale tamtych stron rzeczywiście jeszcze nie znamy — poszedłbym sobie do tych Chin i popatrzyłbym, jak tam wygląda...”

Ze zgrozą, niby śmierci, czekała Masza na chwilę jego odejścia. Nie miała nikogo na świecie prócz niego. Od piętnastego roku życia pracowała jako ekspedientka w sklepach lub jako kasjerka na spacerowych, nowych stateczkach. Żyła samotnie i niewesoło.

Rok temu, w dniu świątecznym, w parku na ławce zapoznała się z Gusiewem. „Widzę, że pani jest samotna — powiedział Gusiew — więc proponuję spędzić czas razem. Samemu człowiekowi jest smutno”. Spojrzała nań — zobaczyła, że twarz ma sympatyczną, oczy



dobrze i wesołe, no i że jest trzeźwy. „Nic nie mam przeciwko temu” — odpowiedziała krótko. A potem spacerowali po parku aż do wieczora. Gusiew opowiadał takie dziwy — o wojnach, najazdach i przewrotach, o jakich w żadnej książce nie można przeczytać. Odprowadził Maszę do domu i od tego czasu zaczął ją odwiedzać. Masza oddała mu się spokojnie i bez sprzeciwu. I wtedy go pokochała — poczuła nagle każdą tkankę swojego ciała, że on należy do niej, że jest jej bliski. Tak rozpoczęła się męka...

Zagotowała się woda. Masza zdjęła imbryk z ognia i znów usiadła beczynn timer. Od dawna już miała wrażenie, że zza drzwi, z pustego salonu dolatuje jakiś szmer. Nie wsłuchiwała się jednak uważnie, zajęta smutnymi myślami. Lecz teraz coraz wyraźniej słyszała człapiące kroki.

Szybko otworzyła drzwi i wyjrzała. Przez jedno z okien do salonu wpadało światło latarni ulicznej, mglistymi plamami oświetlając kilka niskich kolumn. Między tymi właśnie kolumnami Masza zobaczyła siwego staruszka bez czapki, w długim palcie. Stał, wyciągnąwszy szyję i spod oka patrzył na Maszę. Poczuła, że uginają się pod nią nogi.

— Czego pan sobie życzy? — zapytała szeptem.

Staruszek nie zmienił pozycji i w dalszym ciągu patrzył na nią. Potem pogroził wskazującym palcem. Masza z całej siły zatrzasnęła drzwi — serce jej waliło jak młotem. Chwilę się przysłuchiwała. Kroki zaczęły się oddalać: staruszek schodził widocznie frontowymi schodami.

Wkrótce z drugiej strony salonu rozległy się szybkie, głośne kroki męża. Gusiew wszedł wesoły, umorusany.

— Nalej mi wody do mycia — powiedział, rozpinając kołnierz. — Jutro jedziemy, żegnaj! Imbryk gorący? To dobrze.



Umył twarz, mocny kark, ręce do łokci; wycierając się zerknął na żonę.

— Nie martw się, nie zgine, wrócę. Przez siedem lat ani bagnet, ani kula nie dały mi rady. Moja godzina jeszcze nie wybiła — nie przyszła jeszcze na mnie kreska. A od śmierci człowiek i tak się nie wykreści, mucha lecąc zawadzi go łapką i po nim.

Usiadł przy stole, obłupał gotowany kartofel i zanurzył go w soli.

— Przygotuj mi na jutro czystą bieliznę, dwie zmiany — koszule, kalesony, onuce. O mydełku nie zapomnij. O mydełku i o szydełku. A ty co — znów płakałaś?

— Przeleżałam się — odpowiedziała Masza, odwracając głowę. — Jakiś staruszek tu chodzi, palcem mi groził. Nie odjeżdżaj, Alosza.

— Dlaczego nie jechać... że staruszek jakiś palcem pokiwał?

— On tak na nieszczęście groził.

— Szkoda, że wyjeżdżam, bobym inaczej pogadał z tym staruchem! To na pewno ktoś z byłych właścicieli łazi tu po nocach, straszy i wyczekuje.

— Wrócisz do mnie, Alosza?

— Powiedziałem, że wrócę, to wrócę. Jakaś ty nerwowa!

— A daleko jedziesz?

Gusiew gwizdnął, spojrzął wymownie na sufit i śmiejąc się, nalał gorącej herbaty na spodek.

— Ponad chmury lecę, Masza, jak ta baba w górze.

Masza z rezygnacją schyliła głowę. Gusiew ziewnął i zaczął się rozbierać. Masza po cichu zebrała naczynia, usiadła i zaczęła cerować skarpetki nie podnosząc oczu. A gdy zrzuciła suknię i podeszła do łóżka, Gusiew mocno spał z ręką na piersi i spokojnie zamkniętymi oczyma. Masza położyła się obok i patrzyła na męża



za. Po jej policzkach toczyły się łzy. Ach, jak strasznie go kochała, jak bardzo tęskniła za jego szalonym, buntowniczym sercem! Dokąd leci, czego szuka?

O świcie Masza wstała, wyczyściła ubranie męża, przygotowała czystą bieliznę. Gusiew także się obudził. Długo pił herbatę, żartował i głaskał twarz żony. Na pożegnanie zostawił jej wielką paczkę pieniędzy. We drzwiach jeszcze się zatrzymał i ucałował ją.

A Masza nie dowiedziała się nawet, dokąd mąż wyruszył.

## ODLOT

**N**a pustym placu przed pracownią Łosia zaczęli zbierać się ludzie. Szli z wybrzeża, biegli od strony Wyspy Piotrowskiej, tworzyli grupy i spoglądali na zachodzące słońce, które rzucało szerokie pasma promieni poprzez obłoki. Zaczynały się rozmowy.

— Czemu tu tyle narodu? Zabili kogoś?

— Na Marsa zaraz polecą.

— Ładna historia! Tego tylko brakowało!

— Co wy mówicie? Kto poleci?

— Dwóch bandytów z kryminału wzięto, zalutują ich w stalowej kuli — i na Marsa dla doświadczenia.

— Jak wam nie wstyd tak kłamać.

— A to dranie, nie mają dla ludzi litości!...

— Niby, kto nie ma dla ludzi litości?

— Radzę wam, obywatelu, nie czepiać się!

— Naturalnie, że to jest pastwienie się nad ludźmi.

— Mój Boże, cóż to za głupi naród!

— Czemu to naród jest głupi, dlaczego tak myślicie?

— Was należałoby tam wysłać za te słowa.

— Towarzysze, uspokójcie się! Przeżywamy naprawdę historyczną chwilę, a wy jakieś bzdury pleciecie.

— A w jakim celu ich na Marsa wysyłają?

— Przepraszam bardzo, ale ktoś tu mówił, że załadowano dwadzieścia pięć pudów samej bibuły propagandowej.

— To ekspedycja.

— Po co?

— Po złoto.

— Tak, to szczerą prawdą — dla wzbogacenia skarbu państwa.

— Dużo mają zamiar przywieźć?

— Nieograniczoną ilość.

— Obywatelu, długo jeszcze mamy czekać?

— Polecą, kiedy słońce zajdzie.

Aż do zmierzchu rozlegał się gwar. W tłumie, wyciekającym na niezwykle wydarzenia, toczyły się rozmaite rozmowy. Spierano się, kłócono, ale nikt nie odchodził.

Matowy zachód rozlał się szkarłatnym światłem aż na pół nieba. I oto powoli, torując sobie drogę wśród tłumu, wjechał wielki samochód Obwodowego Komitetu Wykonawczego. W oknach szopy zabłyśły światła. Zapanowała cisza. Ludzie podeszli bliżej.

Pośrodku szopy, na lekko pochylonej, cementowej platformie stał jajowaty, widoczny ze wszystkich stron aparat, połyskujący rzędami nitów. Jego rzęsiście oświetlone wnętrze, obite stebnowaną w kwadraty żółtą skórą, widoczne było poprzez otwarty luk.

Łoś i Gusiew byli już ubrani w wojskowe buty, baranie półkożuszki i skórzane hełmy lotnicze. Członkowie Komitetu Wykonawczego i Akademii Nauk, inżynierowie i dziennikarze otaczali aparat. Mowy pożegnalne zostały już wygłoszone, zdjęcia fotograficzne zrobione. Łoś podziękował zebrany za przybycie. Twarz jego była blada, oczy jak szklane. Ucisnął Chochłowa i Kuźmina. Spojrzał na zegarek:



— Już czas!

Odprowadzający umilkli. Gusiew nachmurzył się i wlaź do luku. Znalazłszy się we wnętrzu aparatu, usiadł na skórzanej poduszce, poprawił hełm, obciągnął kożuszek.

— Wstąp do żony, nie zapomnij! — krzyknął do Chochłowa i nachmurzył się jeszcze bardziej.

Łoś ciągle jeszcze zwlekał, patrzył w dół. Nagle podniósł głowę i powiedział głuchym, wzruszonym głosem:

— Myślę, że uda mi się szczęśliwie wylądować na Marsie. Jestem przekonany, że niewiele lat minie, a setki statków powietrznych zaczną pruć przestrzeń kosmiczną. Duch wiecznych poszukiwań pcha nas naprzód. Lecz nie ja pierwszy powinienem być lecieć. Nie ja pierwszy powinienem przeniknąć tajemnicę kosmosu. Czego tam szukam? Zapomnienia... To właśnie najbardziej mnie trapi przy pożegnaniu z wami... O, nie, towarzysze, nie jestem genialnym konstruktorem, nie jestem bohaterem ani marzycielem, jestem zwykłym tchórzem, jestem dezenterem...

Łoś urwał nagle i dziwnym wzrokiem obrzucił odprowadzających — wszyscy słuchali go oszołomieni. Wcisnął hełm na oczy.

— A zresztą, to nikomu nie jest potrzebne, ani wam, ani mnie — to są sprawy osobiste. Niechże zostaną tu, w kącie tej szopy, na moim samotnym łóżku... Do widzenia, towarzysze, proszę jak najdalej cofnąć się od aparatu...

W tej samej chwili z luku rozległ się głos Gusiewa:

— Towarzysze, tym tam na Marsie przekazemy serdeczne pozdrowienia od Republiki Radzieckiej. Zgoda?

W tłumie wybuchł entuzjazm. Rozległy się oklaski.

Łoś odwrócił się, wlaź do luku i natychmiast mocno zatrzaskał za sobą klapę. Ci, co byli blisko, tłocząc się i rzucając jakieś gorączkowe słowa, wybiegli z szopy



i przyłączyli się do tłumu zalegającego plac. Czyjś przeciągły głos zaczął wołać:

— Uwaga! Odsunąć się, kłaść się!

Tysiące ludzi patrzyło teraz w milczeniu na oświetlone okna szopy. Tam panowała cisza. Cisza panowała również na placu. Minęło kilka minut. Wielu położyło się na ziemi. Nagle gdzieś z daleka przenikliwie zarżał koń.

— Ciszej! — zawołał ktoś przerażonym głosem.

W szopie coś zagrzmiało, trzasnęło. Ogłuszające wybuchy powtarzały się raz po raz.

Ziemia zadrżała. Nad dachem szopy uniósł się tępy, metalowy dziób, okryty obłokiem dymu i pyłu. Trzask się wzmaczał. Wreszcie wyłonił się olbrzymi, czarny pocisk i zawisł w powietrzu, jak gdyby próbując swoich sił. Odgłosy wybuchów przeistoczyły się w jednolite wycie; ośmiometrowej długości jajo ukośnie jak rakieta wzbiło się nad tłumem, po czym, pozostawiając ognisty ślad, skierowało się na zachód i znikło w szkarłatnej połodze chmur.

Wówczas dopiero tłum wybuchł okrzykami; poleciały w górę czapki, ludzie runęli w kierunku szopy i otoczyli ją.

## NA CZARNYM NIEBIE

Zaśrubowawszy luk wejściowy Łoś usiadł naprzeciwko Gusiewa i zaczął badawczo wpatrywać się w jego oczy, w kłujące, jak u schwytanego ptaka, punkciki źrenic.

— Lecimy, Aleksieju Iwanowiczu?

— Ruszajcie.

Wówczas Łoś ujął dźwignię reostatu i z lekka ją przykręcił. Rozległ się głuchy grzmot — ten pierwszy,



od którego zadrżał cały tłum przed szopą. Przekreślił drugi reostat. Trzask pod nogami i wstrząsy aparatu tak się wzmogły, że Gusiew chwycił się kurczowo poręczy siedzenia i wybałuszył oczy. Łoś włączył oba reostaty. Aparat poderwał się do góry. Wybuchy stały się łagodniejsze, wstrząsy zmniejszyły się.

— Jesteśmy w powietrzu! — krzyknął Łoś.

Gusiew otarł pot z twarzy. Zrobiło się gorąco. Licznik wskazywał 50 metrów na sekundę, strzałka stale posuwała się naprzód.

Aparat mknął po stycznej, w kierunku odwrotnym do obrotów Ziemi. Siła odśrodkowa znosiła go na wschód. Według obliczeń aparat na wysokości stu kilometrów winien był wyrównać lot i posuwać się po przekątnej. Motor pracował równo, bez zrywów. Łoś i Gusiew rozpięli kożuszki i zsunęli hełmy na tył głowy. Wyłączyli elektryczność — poprzez szkła wizjerów przenikało blade światło.

Walcząc z osłabieniem i rozpoczynającym się zawrotem głowy, Łoś ukląkł i przez okienko obserwował oddalającą się Ziemię. Rozpościerała się jak ogromna, bezbrzeżna, wklęsła misa szaroniebieskiego koloru. Gdzieniegdzie niby wyspy leżały na niej zwały chmur — to był Ocean Atlantycki.

Stopniowo misa się zwiężała, uciekała w dół. Prawy jej brzeg zaczął błyszczeć jak srebro, drugi pograżył się w cieniu. I oto misa przeistoczyła się w pędzącą do przepaści kulę.

Gusiew, który przylgnął do drugiego okienka, powiedział:

— Żegnaj, matko, spędziliśmy tu kawał życia, krew przelewaliśmy!

Uniósł się z kolan, ale nagle zachwiał się, opadł na poduszki siedzenia i krzyknął, szarpiąc na sobie kołnierz.

— Umieram, Mstisławie Siergiejewiczu, siły nie mam.

Łoś też poczuł, że serce jego uderza coraz szybciej, że uderzenia te przechodzą w drżenie, że serce jego trzepocze się i zamiera. Krew pulsuje mu w skroniach. W oczach robi się ciemno.

Poczłogał się do licznika. Strzałka gwałtownie szła w górę notując fantastyczną szybkość. Warstwa powietrza skończyła się. Siła ciężenia malała. Kompas wskazywał, że Ziemia znajduje się pionowo pod nimi. Szybkość lotu wzrastała z każdą sekundą. Z obłądnym pośpiechem zmierzał aparat do lodowatej międzygwiazdnej przestrzeni.

Łamiąc paznokcie, Łoś z niewiarygodnym wysiłkiem rozpiął kołnierz kożuska — serce przestało bić.

Przewidując, że szybkość aparatu i znajdujących się w nim przedmiotów osiągnie taki punkt, kiedy nastąpi zmiana szybkości bicia serca, obiegu krwi i wszystkich życiowych funkcji organizmu, Łoś połączył szybkościomierz jednego z żyroskopów (aparat zaopatrzony był w dwa) za pośrednictwem przewodów elektrycznych z kranami zbiorników, które w każdej chwili mogły wydzielić duże ilości tlenu i soli amoniakalnych.

Łoś pierwszy odzyskał przytomność. Miał zawrót głowy, bolały go płuca i serce. W jego mózgu myśli rodziły się błyskawicznie, ale z miejsca się rozpraszały; były dziwnie lotne i jasne. Jego ruchy stały się lekkie i pewne.

Łoś zamknął zbędne krany w zbiornikach i spojrzał na licznik. Aparat leciał z szybkością około pięciuset kilometrów na sekundę. Było jasno. Przez jedno z okienek wpadał prosty, oślepiający promień słońca. W świetle tego promienia leżał na wznak Gusiew — zęby miał zaciśnięte, szkliste oczy wyłaziły z orbit.

Łoś podsunął mu sole trzeźwiące. Gusiew westchnął



głęboko, jego powieki zadrżały. Łoś chwycił go w pól, próbując unieść, ale ciało Gusiewa zawisło w powietrzu jak pęcherz. Łoś wypuścił go z rąk — Gusiew powoli opadał na podłogę, wyciągnął w powietrzu nogi i uniośł łokcie; siedział teraz jak w wodzie i rozglądał się dookoła.

— Czy się upilem, Mstisławie Siergiejewiczu?

Łoś kazał mu obserwować przez górne okienka, co się dzieje na zewnątrz.

Gusiew stanął, zachwiał się i niby wielka mucha zaczął wlażyć na pionową ścianę, czepiając się przy tym stebnowanych obić. Znalazłszy się na górze przyłgnął do wizjera.

— Ciemno, Mstisławie Siergiejewiczu, nic a nic nie widać.

Łoś założył dymne szkło na okular zwrócony ku słońcu. W ciemnej pustce wisiała, wyraźnie widoczna, ogromna kosmata kula słoneczna. Po bokach rozpostarły się, niby skrzydła, dwie świetlne mgławice. Ze zwarłego jądra nagle wytrysnęła w górę fontanna i rozplynęła się na kształt grzyba. Był to okres, w którym pojawiały się wielkie plamy słoneczne. Z dala od promieniącego jądra znajdowały się, bledsze jeszcze od skrzydeł zodiakalnych, świetlne oceany płomieni, które odprysły od słońca i obracają się dookoła niego.

Łoś z trudem oderwał wzrok od tego widoku, od widoku życiodajnego ognia. Nakrył okular pokrywką. Zrobiło się ciemno. Przesunął się na przeciwległą stronę. W drugim wizjerze panował mrok. Przekręcił okular i zielony promień gwiazdy ukłuł oko. Ale oto w polu widzenia pojawił się jasnoblękitny, mocny promień — było to światło Syriusza, niebieskiego brylantu, pierwszej gwiazdy północnego nieba.

Podpełznął do trzeciego okienka. Przekręcił okular, spojrział, przetarł szkła chustką i zaczął się wpatrywać.



Serce ścisnęło się z przerażenia, włosy zjeżyły mu się na głowie.

W ciemnościach płynęły zupełnie blisko jakieś niewyraźne, mgliste plamy.

— Jakiś diabeł leci obok nas — z niepokojem powiedział Gusiew.

Mgliste plamy powoli odpływały w dół i stawały się coraz wyraźniejsze, coraz jaśniejsze. Za oknem migotały w pędzie zygzakowate srebrzyste linie. I oto zaczęła się zarysowywać poszarpana krawędź skalistego grzbietu gór. Widocznie aparat zbliżał się do jakiegoś ciała niebieskiego, wpadł w sferę jego przyciągania i jak satelita zaczął krążyć dookoła niego.

Drżącą ręką odszukał Łoś dźwignie reostatów i przekręcił je do maksymalnego punktu, narażając aparat na zniszczenie. Wewnątrz aparatu wszystko zawyło i zatrzeszczało. Plamy i lśniące, poszarpane brzegi skalistego pasma szybko zaczęły uciekać w dół. Oświetlona powierzchnia zbliżała się z każdą chwilą. Teraz wyraźnie już było widać ostre, długie cienie skał ciągnących się przez pustą, martwą równinę.

Aparat leciał wprost na zalane słońcem skały. Odległość była już niewielka. „Za sekundę — pomyślał spokojnie Łoś — za sekundę, jeśli aparat nie zdąży odwrócić się szybką do przyciągającej go masy, nastąpi śmierć”.

W ciągu tego ułamka sekundy Łoś spostrzegł wśród tej martwej pustyni, między skałami, ruiny tarasowych wież... Potem aparat prześliznął się nad nagimi szczytami gór... Po drugiej ich stronie tonęły w mroku urwiska i przepaście. Na poszarpanych zboczach błysnęły żyły kruszcodajne.

Ale wkrótce szczyłek tej nieznannej, rozbitej planety pozostał daleko w tyle, kontynuując swoją martwą



wędrowkę ku wieczności. Aparat znów pędził wśród pustyni czarnego nieba.

— Patrzcie, tam widać coś w rodzaju księżycal! — krzyknął nagle Gusiew.

Odwrócił się, odsunął się od okienka i zawisł w powietrzu rozkraczony jak żaba. Klnąc szeptem, usiłował podплыnąć do ściany. Łoś również stracił punkt oparcia i zawisł w powietrzu, ale zdążył uchwycić się rurki obserwacyjnej, i w tej pozycji wpatrywał się w oślepiający, srebrzysty dysk Marsa.

## LĄDOWANIE

Srebrzysty, gdzieniegdzie przysłonięty chmurkami dysk Marsa rósł w oczach. Oślepiającym blaskiem lśniła plama lodowców na biegunie południowym. Poniżej rozciągał się pas mgieł. Na wschodzie dochodził do równika, podnosił się w pobliżu środkowego południka, okrążał łukiem jaśniejszą powierzchnię i rozdawał się, tworząc na zachodnim krańcu dysku drugi cypel.

Na linii równika rzucało się w oczy pięć ciemnych punktów, okrągłych plam. Łączyły je linie proste, tworząc dwa trójkąty równoboczne i trzeci podłużny. Podstawa wschodniego trójkąta ujęta była w prawidłowy łuk. Od jego środka, do krańcowego zachodniego punktu rozciągało się drugie półkole. Kilka linii, punktów i półkoli widać było na zachód i wschód od tej równikowej grupy. Biegun północny tonął we mgle.

Łoś chciwie wpatrywał się w tę sieć linii: oto ma przed sobą, doprowadzające do obłądu astronomów, stale zmieniające swój układ, ale zawsze prawidłowe geometrycznie — tajemnicze kanały Marsa. Teraz pod tym wyraźnym rysunkiem Łoś dostrzegł drugą, jakby zatartą sieć linii.

Naszkcicował schematyczny wykres w notesie. Nagle dysk Marsa drgnął i popłynął w okienku. Łoś rzucił się do reostatów.

— Udało nam się, Aleksieju Iwanowiczu, Mars nas przyciąga, spadamy!

Aparat odwracał się „gardłem” do planety. Łoś wyłączył motory. Tym razem zmianę szybkości odczuli mniej dotkliwie. Lecz zapanowała tak straszliwa cisza, że Gusiew schował twarz w dłoniach i zatkał uszy.

Leżąc na podłodze Łoś obserwował, jak rośnie i staje się coraz bardziej wypukły srebrny dysk. Wydawało się, że to on wylatuje na ich spotkanie z czarnej przepaści.

Łoś znów włączył reostaty. Aparat zadrżał, zwalczając siłę przyciągania Marsa. Szybkość spadania zmalała. Mars przykrywał teraz całe niebo, poszarzał i brzegi jego wygięły się na kształt misy.

Ostatnie sekundy były straszne — zawrotne spadanie. Mars przesłonił całe niebo. Okienka obserwacyjne nagle zapotniały. Aparat przecinał teraz chmury nad mglistą równiną i z rykiem, szarpany wstrząsami od wewnątrz, powoli opadał.

— Łądujemy! — Ledwie zdążył zawołać Łoś i wyłączył motor. Silne uderzenie rzuciło go na ścianę — przewrócił się. Aparat ciężko osiadł i zwałił się na bok.

Kolana się uginały, ręce drżały, serce zamierało w piersi. Z pośpiechem, w milczeniu Łoś i Gusiew porządkowali wnętrze aparatu. Przez otwór jednego z okienek wystawili na zewnątrz przywiezioną z Ziemi na wpół żywą mysz. Zwierzątko powoli wracało do życia, podniosło nos, poruszyło wąsami i umyło się. Powietrze Marsa nadawało się do życia.

Wówczas Łoś i Gusiew odśrubowali luk wyjściowy.



Łoś oblizał wargi i powiedział nieco przytłumionym głosem:

— No, Aleksieju Iwanowiczu, możemy sobie pogratulować. Podróż była szczęśliwa. Wyłazimy.

Zrzucili walonki i kożuszki. Gusiew na wszelki wypadek przyczepił do pasa mauzer i uśmiechając się otworzył luk.

## MARS

Po opuszczeniu aparatu Łoś i Gusiew zobaczyli ciemnogranatowe, niby morze w czasie burzy, oślepiające, bezdenne niebo.

Płonące, kosmate słońce stało wysoko nad Marsem. Potoki kryształowego, błękitnego światła były chłodne i przezroczyste od wyraźnie zakreślonej linii horyzontu aż do zenitu...

— Wesole mają tu słońce — powiedział Gusiew i kichnął oślepiiony blaskiem granatowego nieba. Obydwaj odczuwali lekkie klucie w piersi, uderzenie krwi do głowy, ale oddychało się tu lekko — powietrze było czyste i suche.

Aparat leżał na płaskiej równinie pomarańczowego koloru. Horyzont był tak blisko, że wydawało się — wystarczy sięgnąć ręką. Cały grunt porany był głębokimi szczelinami. Wszędzie rosły wysokie kaktusy, przypominające swym kształtem świeczniki siedmioramiennie, rzucały na ziemię wyraziste, fioletowe cienie. Dmuchał suchy wiaterek.

Łoś i Gusiew długo się rozglądali, potem ruszyli równiną przed siebie. Chodziło się tu bardzo lekko, choć nogi aż po łydki grzęzły w miękkim gruncie. Mijając gruby, wysoki kaktus Łoś wyciągnął ku niemu rękę. Roślina, ledwie jej dotknął, zaczęła drżeć, jak gdyby

wstrząsana wiatrem i wyciągnęła w kierunku niego mięsiste, szare kolce. Gusiew ze złością kopnął ją butem. „A to paskudztwo!” Kaktus zwałił się, wbijając w piach kolce.

Szli około pół godziny. Przed ich oczyma rozciągała się wciąż ta sama pomarańczowa pustynia — kaktusy, fioletowe cienie, popękany grunt. Gdy zwrócili się na południe i słońce pozostało z boku, Łoś zaczął się rozglądać, widać było, że coś obmyśla. Nagle zatrzymał się, przysiadł i uderzył się dłonią po kolanie.

— Patrzcie, Aleksieju Iwanowiczu, przecież grunt jest zaorany!

— Naprawdę?

Teraz już wyraźnie było widać szerokie, na wpół zasypane bruzdy i symetryczne rzędy kaktusów. Po kilku krokach Gusiew potknął się o kamienną płytę, do której wśrubowane było duże metalowe kółko ze strzępem powrozu. Łoś podrapał się w podbródek, oczy mu błyszczały.

— Czy nic nie rozumiecie, Aleksieju Iwanowiczu?

— Cóż, widzę, że jesteśmy w polu.

— A co oznacza to kółko?

— Diabli ich wiedzą, po co to wśrubowali.

— A po to, żeby umocować boję. Jesteśmy na dnie wyschniętego kanału. Widzicie muszelki?

— Tak, rzeczywiście... — odpowiedział Gusiew. — Z wodą tu nienajlepiej.

Skręcili na zachód i poszli w poprzek bruzd. Daleko nad polem, konwulsyjnie trzepocząc skrzydłami, uniósł się duży ptak, ze zwisającym jak u osy tułowiem. Gusiew przystanął, kładąc rękę na rewolwerze. Lecz ptak wzbił się w górę, w lśniący granat nieba i znikł za horyzontem.

Kaktusy stawały się coraz wyższe, bujniejsze i wspinalsze. Trzeba było ostrożnie przedzierać się przez ży-



wy, najeżony kolcami gąszcz. Spod nóg wymykały się zwierzątka, podobne do jaszczurek z epoki kamiennej, jasnopomarańczowe, z zębatymi grzbietami. Kilkakrotnie w najeżonych kolcami zaroślach prześlizgiwały się i rzucały się do ucieczki jakieś włochate kłębki. Tu należało zachowywać szczególną ostrożność.

Kaktusy skończyły się przy białym jak kreda, spadzistym brzegu. Brzeg był wyłożony starożytnymi, sądząc z wyglądu, płytami. W szczelinach tkwiły wyschnięte włókna mchu. Do jednej z tych płyt przyśrubowana była taka sama obręcz, jak ta, którą widzieli na polu. Ząbkowate jaszczury spokojnie drzemały, grzejąc się w słońcu.

Łoś i Gusiew wspięli się po zboczu na górę. Stąd widać było pagórkowatą równinę, mającą również odcień pomarańczowy, mniej jednak jaskrawy niż widziane przedtem. Gdzieś tam rosły kępki niskich, przypominających górskie sosny, drzew. Miejscami bieleły zwały kamieni i zarysy ruin. Daleko, na północnym zachodzie, wznosiły się ku górze pasma ostrych i nierównych, jak języki płomieni, skał. Na ich szczytach lśnił śnieg.

— Powinniśmy wrócić, coś zjeść i odpocząć — powiedział Gusiew — zmęczymy się, przecież tu żywej duszy nie widać.

Przystanęli na parę minut. Równina była pusta i ponura — serce ścisnęło smutek.

— A tośmy się wybrali, nie ma co mówić — powiedział Gusiew.

Zeszli ze zbocza, skierowali się do aparatu i długo błądzili szukając go wśród kaktusów.

Nagle Gusiew szepnął:

— Patrzcie!

Z przyzwyczajenia chwycił za rewolwer.

— Hej, tam — wrzasnął. — Kto kręci się przy naszym aparacie? Żeby cię... Będę strzelał!

- Na kogo krzyczycie?  
— Widzicie tam nasz aparat?  
— Owszem, widzę.  
— A tam, na prawo ktoś siedzi.

Wreszcie i Łoś zauważył. Obaj potykając się biegli do aparatu. Stworzenie, które tam siedziało, odsunęło się na bok, a potem podskakując zaczęło biec pomiędzy kaktusami; rozpostarło długie, błoniaste skrzydła, z trzaskiem uniosło się w górę i zatoczywszy półkole, przeleciało nad ludźmi. Był to ten sam stwór, który wydawał się im poprzednio ptakiem. Gusiew zaczął celować z rewolweru, usiłując ustrzelić skrzydlate zwierzę w locie. Łoś jednak wybił mu broń z ręki i krzyknął:

— Zwariowałeś! Przecież to Marsjanin...

Gusiew podniósł głowę, otworzył usta i obserwował dziwne stworzenie zataczające koła na ciemnogrannotym niebie. Łoś wyjął chusteczkę i zaczął nią machać.

— Ostrożnie, Mstisławie Siergiejewiczu, trzeba uważać, żeby on w nas stamtąd czymś nie rąbnął.

— Mówię wam, schowajcie rewolwer.

Wielki ptak zniżył lot. Teraz widać było wyraźnie, że to istota ludzka siedziała na siodle latającego aparatu. Od pasa ciało jej zwisało w powietrzu. Na poziomie ramion poruszała się para wygiętych, ruchliwych skrzydeł. Na przodzie wirował dysk, spełniający widocznie rolę śmigła. Z tyłu, za siodłem znajdował się rozdwojony ogon zakończony sterami. Cały aparat był elastyczny i ruchliwy jak żywe stworzenie.

Oto nurkuje i leci tuż nad ziemią, przechyliwszy jedno skrzydło na bok. Pojawiła się głowa Marsjanina w jajowatej czapce z długim daszkiem. Oczy przykryte były okularami, twarz o spiczastym nosie miała ceglasty kolor i była wąska, pomarszczona. Raz po raz



otwierał szerokie usta i coś piszczał. Nagle zaczął szybko poruszać skrzydłami, zniżył lot, mignął nad polem i wyskoczywszy z siodła, zatrzymał się o jakieś trzydzieści kroków od ludzi.

Marsjanin był średniego wzrostu, według pojęć przyjętych na Ziemi. Miał na sobie obszerną żółtą kurtkę. Jego pałakowate nogi były powyżej kolan mocno owinięte jakimś materiałem. Z gniewem wskazywał na zwalone kaktusy. A kiedy Łoś i Gusiew spróbowali do niego się zbliżyć, szybko skoczył na siodło, pogroził stamtąd długim palcem i prawie bez rozpędu uniósł się w powietrze. Za chwilę znów opuścił się w pewnej odległości i dalej krzyczał ciekim, piskliwym głosem, wskazując na połamane rośliny.

— Dziwak z niego, złości się — powiedział Gusiew i zawołał do Marsjanina. — Przestań wrzeszczeć, sukinkot. Wał do nas, nie skrzywdzimy cię...

— Aleksieju Iwanowiczu, przestańcie wymyślać, on i tak po rosyjsku nie rozumie. Siądźcie lepiej, bo się boi do nas zbliżyć.

Usiedli na gorącym piachu. Łoś zaczął pokazywać na migi, że chce pić i jeść. Gusiew zapalił papierosa i splunął. Marsjanin przestał krzyzczeć i przez pewien czas przypatrywał się im, ale wciąż jeszcze groził długim jak ołówek palcem. Następnie odwiązał od siodła worek, rzucił go w ich kierunku, po czym zataczając wielkie kręgi wzbił się na dużą wysokość i szybko lecąc na północ, skrył się za horyzontem.

W worku pozostawionym przez Marsjanina znajdowały się dwa metalowe pudełka i płaskie naczynie z jakimś płynem. Gusiew otworzył puszki — jedna zawierała pachnącą galaretkę, druga żelatynowate kawałeczki czegoś, co przypominało rachatlukum.

— Tfu, jak oni to mogą jeść! — powiedział Gusiew, powąchawszy zawartość puszek, i wyciągnął z aparatu



kosz z prowiantem. Zebrał następnie suche badyle kaktusa i podpałił je. W powietrzu uniósł się lekki dymek, kaktusy tliły się powoli, ale dawały wiele ciepła. Odgrzali blaszankę ze słoniną i rozłożyli jedzenie na czystej serwetce. Jedli łapczywie; dopiero teraz poczuli straszliwy głód.

Słońce stało w zenicie, wiatr ucichł, panował upał. Z pomarańczowych zarośli wypełzło wielonogie zwierzątko... Gusiew rzucił mu kawałek sucharka. Zwierzątko podniosło do góry rogatą trójkątną główkę i skamieniało w tej pozycji.

Łoś położył się wygodnie i poprosił o papierosa. Podparwszy policzek dłonią, zaciągnął się dymem i z uśmiechem spytał:

— Wiecie, Aleksieju Iwanowiczu, jak długo nie jedliśmy?

— Od wczorajszego wieczora, Mstisławie Sergiejewiczu. Wczoraj przed odlotem jadłem kartofle.

— Nie jedliśmy, mój drogi, dwadzieścia trzy lub dwadzieścia cztery dni.

— Wiele dni?

— Wczoraj w Piotrogradzie było dwudziestego sierpnia, a dziś tam jest trzynasty września — takie cuda bywają na świecie.

— Choćbyście mi łeb urwali, Mstisławie Sergiejewiczu, nie potrafię tego zrozumieć!

— Sam dobrze nie wiem, jak się to stało. Wylecieliśmy o siódmej, teraz jest druga. Według tego zegarka opuściliśmy Ziemię dziewiętnaście godzin temu, a według zegarka pozostawionego w mojej pracowni, rozstał się z Ziemią blisko miesiąc temu. Czy zauważyliście, że kiedy jadąc pociągiem śpicie, a pociąg nagle staje, to wtedy albo budzicie się, albo odczuwacie to przez sen. Dzieje się tak dlatego, że nagle zatrzymanie się pociągu powoduje zwolnienie tempa wszystkich proce-



sów zachodzących w naszym organizmie. Kiedy znajdujecie się w pędzącym wagonie, to wasze serce bije szybciej i wasz zegarek szybciej chodzi, niż wtedy, kiedy pociąg stoi. Te różnice jednak są znikome ze względu na niewielką szybkość, z którą posuwa się pociąg. Inaczej przedstawia się sprawa z naszym lotem. Połowę drogi przelecieliśmy prawie z szybkością światła. W tym wypadku różnice są już dostrzegalne. Bicie naszych serc i szybkość naszego lotu w bezpowietrznej przestrzeni synchronizowały z ruchem aparatu — wszystko poruszało się w jednakowym rytmie. Ponieważ szybkość aparatu przewyższała pięćset tysięcy razy średnią szybkość poruszania się ciał na Ziemi, to szybkość bicia mojego serca — jedno uderzenie na sekundę według zegarka znajdującego się w aparacie — wzrosła pięćset tysięcy razy, co oznacza, że w czasie lotu moje serce uderzało pięćset tysięcy razy na sekundę, licząc według zegarka, który został w Petersburgu. Natomiast według bicia mojego serca, według ruchu wskazówek na moim kieszonkowym zegarku i według wszystkich odczuć mojego organizmu, byliśmy w drodze dziewiętnaście godzin. I trwało to naprawdę dziewiętnaście godzin. Lecz według uderzeń serca mieszkańca Petersburga, według posuwania się wskazówek na wieży Soboru Piotropawłowskiego od dnia naszego odlotu minęło ponad trzy tygodnie. W przyszłości będzie można zbudować wielki aparat, zaopatrzyć go na pół roku w prowiant, tlen, ultralidit i zaproponować jakimś dziwakom: „Nie podoba się wam życie w naszych czasach — chcecie żyć dopiero po stu latach? Proszę bardzo! Musicie tylko uzbroić się w cierpliwość i pół roku posiedzieć w tym pudełku, ale za to — co was czeka! Przeskoczycie całe stulecie!” — Następnie wystrzelili się ich z szybkością światła w przestrzeń międzypła-

netarną. Ponudzą się w ciągu tego czasu, broda im wyrośnie, a gdy wrócą na Ziemię, zastaną na niej złoty wiek. Na pewno tak kiedyś będzie!

Gusiew wzdychał, cmokał językiem, dziwił się bardzo.

— Jak myślicie, Mstisławie Siergiejewiczu — zapytał — czy możemy to wypić, nie otrujemy się?

Wyciągnął zębami korek z marsjańskiej flaszki, spróbował płyn na języku i splunął: można pić. Łyknął i chrząknął:

— Coś w rodzaju naszej madery.

Łoś także spróbował; płyn był gęsty, słodkawy, o mocnym zapachu kwiatów. Tak kosztując, wypili pół flaszki. Po całym cieple rozlało się ciepło i wstąpiła w nich jakaś siła, pozostali jednak trzeźwi.

Łoś podniósł się, wyciągnął i rozprostował ramiona. Dobrze, lekko, choć dziwnie czuł się pod tym nowym niebem. Miał wrażenie, że przyплыw gwiazdowego oceanu wyrzucił go na obcy ląd, że urodził się po raz drugi, by przeżyć jakieś nowe nieznane życie.

Gusiew odniósł do aparatu kosz z żywnością, mocno zaśrubował luk i zsunął hełm na tył głowy:

— Dobrze tu jest, Mstisławie Siergiejewiczu, nie żałuję, żeśmy przyjechali.

Postanowili znów pójść w kierunku brzegu i do wieczora pospacerować po okolicznych polach.

Prowadząc wesołą rozmowę, szli wśród kaktusów, niekiedy przeskakując przez nie długimi, lekkimi susami. Wkrótce poprzez zarośla błysnęła biel kamieni pochyłości nadbrzeżnej.

Nagle Łoś przystanął. Ciarki obrzydzenia przeszły po jego grzbiecie. Z odległości trzech kroków, z ziemi, spomiędzy mięsistych liści, patrzyły nań wielkie, jak gdyby końskie, na wpół przykryte rudymi powiekami oczy. Patrzyły z uporem i wściekłością.



— Co się stało? — zapytał Gusiew, ale wkrótce i on dostrzegł oczy. Nie zastanawiając się skierował na nie lufę i wystrzelił — uniósł się kurz. Oczy znikły. — A masz jeszcze raz, obrzydliwy gadzie! — Gusiew odwrócił się i strzelił ponownie, celując do pędzącego błyskawicznie burego, tłustego pasiastego cielska, na wielkich pajęczych łapach. Był to ogromny pająk, z gątunku tych, które spotyka się na Ziemi tylko na dnie najgłębszych mórz. Pająk znikł w zaroślach.

### W PORZUCONYM DOMU

Od brzegu kanału aż do najbliższej kępy drzew Łoś i Gusiew szli po szarym, wypalonym gruncie, przeskakowali przez osypujące się wąskie kanały, mijali wyschnięte stawy; gdzieniegdzie z na pół zasypanych piaszczystych łożysk sterczały zardzewiałe kadłuby barek. Tu i ówdzie pośród martwej, jednostajnej równiny połyskiwały jakieś wypukłe dyski, o średnicy mniej więcej jednego metra. Lśniące plamy tych dysków ciągnęły się od stromych skał, poprzez wzgórze, aż do zagajników leśnych i ruin.

Między dwoma wzgórzami rosła kępa niskich, rozłożystych, brunatnych drzew. Miały one mocne, powyginane gałęzie, liście przypominały raczej mech, pnie zaś były żylaste i łuskowate jak szyszki. Na skraju, między drzewami wisiały resztki drutów kolczastych.

Weszli do lasku. Gusiew nachylił się i kopnął rozłupaną ludzką czaszkę, która wytoczyła się spod pyłu, w jej zębach błysnął metal. Panował tu straszliwy zadruch. W bezwietrznym skwarze omszone gałęzie rzucały skąpe cienie. Po kilku krokach znowu natrafili na wypukły dysk, przyśrubowany do brzegów okrągłej,



metalowej studni. W pobliżu widać było ruiny — grube mury z cegieł, jak gdyby rozbite wybuchem, gruz, sterzące końce wygiętych metalowych belek.

— Zburzone domy, Mstisławie Siergiejewiczu — powiedział Gusiew. — Widać, że niejedno tu się u nich działo. Dobrze znamy takie historie!

Na kupie śmieci zjawił się wielki pająk i pobiegł w dół, po krawędzi poszarpanej ściany. Gusiew strzelił. Pająk podskoczył do góry, upadł i przewrócił się. W tej samej chwili, zza rogu domu, w kierunku drzew pobiegł wzbijając brunatny pył drugi pająk, ale natknął się na drut kolczasty, zaplątał się w nim i zaczął się szamotać, przebierając łapami.

Z lasku Gusiew i Łoś wyszli na wzgórze i podążyli w tym kierunku, gdzie widać było z dala budynki z cegieł, a wśród nich wysoki kamienny gmach o płaskim dachu. Między wzgórzem a osiedlem połyskiwało kilka dysków.

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa są to studnie wodociągów, rur pneumatycznych i przewodów elektrycznych — powiedział Łoś. — Ale wszystko to, jak widać, jest porzucone.

Przedarli się przez zasieki drucziane, minęli las i zbliżyli się do dużego, wyłożonego płytami kamiennymi podwórza. W głębi wznosił się gmach o niezwykle posępnej i dziwacznej architekturze. Gładkie ściany zwężały się u góry i kończyły się masywnym gzymsem z czarno-krwistego kamienia. W murze były długie i wąskie jak szczeliny głębokie otwory okien. Dwie pokryte łuską, również zwężające się ku górze kolumny podtrzymywały nad wejściem płaskorzeźbę z brązu — wyobrażała ona leżącą postać z zamkniętymi oczami. Płaskie, otaczające cały gmach stopnie prowadziły do niskich, masywnych drzwi. Włókna wyschniętych pną-



czy wisały między ciemnymi płytami muru. Dom przypominał ogromny grobowiec.

Gusiew nacisnął ramieniem metalowe drzwi. Pchnął, otworzyły się ze zgrzytem. Minęli ciemny westybul i weszli do wysokiej sali. Światło sączyło się tu przez szkła kopuły. Sala była prawie pusta. Kilka przewróconych stołków, niski stół pokryty zakurzonym czarnym obrusem, na kamiennej podłodze szczątki naczyń i jakaś dziwaczna maszyna, a może działło, składające się z dysków, kul i metalowej sieci. Maszyna stała przy drzwiach, wszystko było pokryte grubą warstwą kurzu.

Pył wirował w smudze światła, które padało na żółtawę, złociście połyskujące ściany, ozdobione w górze szerokim pasem mozaiki. Przedstawiono tam zapewne zdarzenia historyczne — walkę żółtych istot z czerwonoskórymi, fale morskie, z których wyłaniała się pogrążona do pasa postać ludzka, tę samą postać lecącą wśród gwiazd — napad drapieżników, stada dziwnych zwierząt gnane przez pastuchów, sceny obyczajowe, polowania, tańce, urodziny, pogrzeby. Ponury pas tej mozaiki zamykała nad drzwiami scena budowy gigantycznego cyrku.

— Dziwaczne, dziwaczne — powtarzał Łoś, włączając na stołki, ażeby lepiej przyjrzeć się mozaice — wszędzie powtarza się jeden i ten sam rysunek ludzkiej głowy — rozumiecie, jakie to dziwne...

Tymczasem Gusiew znalazł w ścianie ledwo widoczne drzwi. Otwierały się na wewnętrzne schody prowadzące do szerokiego korytarza o wysokim sklepieniu.

Wzdłuż ścian, we wnękach, stały posągi z kamienia i z brązu, torsy, głowy, maski, skorupy wazonów. Ozdobione marmurem i brązem portale drzwi prowadziły stąd do wewnętrznych pokojów.

Gusiew z ciekawością zaglądał do niskich, słabo oświetlonych pomieszczeń. Powietrze wszędzie było

stęchłe. W jednym z pokoi znajdował się wyschnięty basen, a na jego dnie leżał zdechły pająk. W drugim — rozbita ściana lustrzana, na podłodze zaś kupa zbutwiałych łachmanów i przewrócone fotele; w szafach wisiały strzępy odzieży.

W trzecim pokoju na podwyższeniu stało obszerne łoże, z którego zwieszał się do połowy szkielet Marsjanina. Wszędzie ślady okrutnej walki. W kącie leżał drugi szkielet.

Tu, pośród śmieci, odnalazł Gusiew parę drobiazgów wyczelowanych z ciężkiego metalu — najwidoczniej ozdoby kobiece, oraz maleńkie naczynia z kolorowego kamienia.

Ze zbutwiałego ubrania szkieletu zdjął dwa połączone łańcuszkiem, promieniste, ciemnozłote kamienie.

„Przyda się — pomyślał. — Podaruję Maszce...”

Łoś oglądał rzeźby na korytarzu. Pośród ostronosych marsjańskich głów, potworów morskich, pomalowanych masek, sklejonnych wazonów, dziwnie przypominających swoim kształtem i malowidłami amfory etruskie — uwagę jego zwróciło ogromne popiersie. Wyobrażało ono nagą kobietę o zmierzwionych włosach i okrutnej asymetrycznej twarzy. Miała spiczaste, szeroko rozstawione piersi. Lśniąca złota obręcz z gwiazd tworzyła nad jej czołem cienką parabolę, w której wnętrzu znajdowały się dwie kulki: rubinowa i czerwonoceglasta. W rysach tej wiadczej i zmysłowej twarzy było coś niepokojąco znajomego, coś, co budziło wspomnienia z zamierzchłej przeszłości.

W pobliżu posągu widać było ciemną, ogrodzoną sztachetami wnękę. Łoś chciał się tam dostać, ale furka nie dała się otworzyć. Zapalił zapałkę i na zbutwiałej poduszce ujrzał złotą maskę, wyobrażającą ludzką twarz, o szerokich kościach policzkowych i zamknię-



tych oczach. Księżycokształtne usta uśmiechały się. Nos był ostry, przypominał dziób. Na czole między brwiami znajdowała się jakaś wypukłość podobna do oka ważki. Taką samą głowę widział już na mozaice w pierwszym pokoju.

Był głęboko poruszony tym widokiem. Tak się stało, że na krótko przed opuszczeniem Ziemi oglądał zdjęcia podobnych masek, odkrytych wśród ruin gigantycznych miast na brzegach Nigru, w tej części Afryki, gdzie natrafiono ostatnio, jak należy przypuszczać, na ślady kultury tajemniczej, zaginionej rasy.

Jedne z bocznych drzwi na korytarzu były uchylone. Łoś wszedł do długiego, bardzo wysokiego pokoju z galerią. Na galerii stały płaskie szafy i pełno było półek z małymi, grubymi książeczkami. Ozdobione złoconymi grzbiety tych książeczek ciągnęły się jednolitym szeregiem wzdłuż szarych ścian. W szafach znajdowały się małe, metalowe cylindry lub ogromne, oprawione w skórę albo drzewo księgi. Z szaf, z półek, z ciemnych kątów biblioteki spoglądały kamiennymi oczami, pomarszczone, łyse głowy uczonych Marsjan. W pokoju stało kilka głębokich foteli oraz kilka skrzyń na cienkich nóżkach, z wprawionymi z boku okrągłymi ekranami.

Wstrzymując oddech oglądał Łoś tę nasyconą zapachem gnicia i pleśni skarbnicę, która przechowywała milczącą, zamkniętą w księgach mądrość tysiącleci Marsa. Ostrożnie zbliżył się do półek i zaczął otwierać księgi. Papier w nich był zielonkawy, pismo miało krój geometryczny i było koloru brązowego. Jedną z książek, zawierającą wykresy maszyn, Łoś wsadził do kieszeni, by przejrzeć ją w wolnej chwili. W metalowych cylindrach mieściły się żółte, wydające dziwny dźwięk przy dotknięciu paznokciem walce, podobne do walca fonografu, lecz o gładkiej jak szkło powierzchni; jeden



z nich leżał w skrzynce z ekranem, przygotowany najwidoczniej do włączenia i porzucony w chwili katastrofy.

Potem Łoś otworzył czarną szafę i wyjął pierwszą lepszą spośród oprawionych w skórę ksiąg i wytarł kurz rękawem. Była nadgryziona przez robaki, lekka i pulchna. Jej żółte, zniszczone kartki łączyły się ze sobą w jedno pasmo, tworząc jak gdyby harmonijkę. Strony pokryte były kolorowymi trójkątami wielkości paznokcia. Biegły one nierównymi liniami od lewej strony do prawej i odwrotnie, to opadając, to splatając się ze sobą. Zmieniały swój kształt i kolor. Po paru stronach między trójkątami zjawily się kolorowe kręgi różnej wielkości i barwy. Trójkąty zaczęły się układać w większe figury. Połączenia i przejścia z koloru do koloru, z kształtu do kształtu, złożone z tych trójkątów, kół, kwadratów i ze skomplikowanych figur wypełniały strony od góry do dołu. Wkrótce w uszach Łosia zaczęła rozbrzmiewać ledwie uchwytna, zdumiewająco piękna muzyka.

Zamknął książkę i długi czas stał opierając się o półki, wzruszony, upojony, oczarowany. Nigdy jeszcze nie przeżywał takiego stanu. Była to śpiewająca księga.

— Mstisławie Siergiejewiczu — posłyszał grzmiący głos Gusiewa — chodźcie tu, prędzej.

Łoś wyszedł z pokoju. Na końcu korytarza czekał na niego Gusiew z uśmiechem niepewności na twarzy.

— Patrzcie, co się tu u nich dzieje!

Wprowadził Łosia do na pół ciemnej sali. W jedną z jej ścian wmontowane było wielkie, kwadratowe, matowe lustro; stało przed nim kilka krzeseł i foteli.

— Widzicie tę kulkę na sznurku? Myślałem, że jest ze złota i chciałem ją zerwać — i patrzcie, co z tego wynikło!

Gusiew pociągnął za kulkę. Lustro rozświetliło się



i ujrzeli w nim zarysy wielkich gmachów, okna płonące pożogą zachodzącego słońca, ogromne transparenty. Głuchy hałas tłumu napełnił ciemny pokój. Po lustrze z góry na dół, zasłaniając widok miasta, prześliznął się skrzydlaty cień. Nagły wybuch płomieni rozświetlił ekran, ostry trzask rozległ się pod podłogą sali, zamglone lustro zgasło.

— Krótkie śpięcie, korki się przepaliły — powiedział Gusiew. — Musimy już iść. Wkrótce będzie noc.

## ZACHÓD

Rozrzuciwszy wąskie skrzydła mgieł, gorejące słońce chyliło się ku zachodowi.

Łoś i Gusiew szli szybkim krokiem w kierunku kanału przez pustą i dziką równinę. Słońce kłoniło się nad horyzontem i wkrótce zaszło. Oślepiający, czerwony blask rozlał się na zachodzie. Pożar objął pół nieba, ale szybko zgasł, jak gdyby przysypany szarym popiołem zmierzchu. Niebo wydawało się nieprzeniknione.

W świetle popielatego zachodu nisko nad Marsem stanęła duża, czerwona gwiazda. Wschodziła niby gniewne oko. W ciągu kilku chwil mrok był nasycony jedynie tym posępnym promieniowaniem.

Lecz po chwili na ogromnej wysokości cała niebieska kopuła zapłonęła mnóstwem lśniących, zielonych gwiazdozbiorów — ich lodowate promienie kłuły oczy. A posępna gwiazda wschodu rozpromieniała się coraz bardziej.

Nad brzegiem kanału Łoś zatrzymał się, wskazał ręką gwiazdę i powiedział:

— Ziemia!

Gusiew zdjął czapkę, otarł pot z czoła i podniósł-

szy głowę, skierował swój wzrok na płonącą między gwiazdozbiorami daleką Ojczyznę. Twarz mu posmutniała.

— Ziemia — powtórzył.

Lecz oto zza ostro zarysowanej linii horyzontu wynurzył się jasny sierp, nieco mniejszy od sierpu księżycyca, i zaczął podnosić się nad polem kaktusów. Ich gałęzie w kształcie łap rzucały długie cienie.

Gusiew łokciem szturchnął Łosia:

— Spójrzcie no, co tam jest za nami?

Poza nimi, nad pagórkowatą równiną, nad lasami i ruinami, lśnił drugi satelita Marsa. Jego okrągły żółty dysk — również mniejszy od księżycyca — zbliżał się do skalistych gór. Na wzgórzach błyszcząły metalowe dyski.

— Co za noc — szepnął Gusiew. — Jak we śnie!

Ostrożnie zeszli do zarośli kaktusów. Spod ich nóg wymknął się jakiś cień. Puszysty kłębek pobiegł w świetle dwóch księżyców. Coś zazgrzytało, coś pisnęło — był to przejmujący, nieznośny dla ucha cienki głos. Poruszyły się błyszczące liście. Do twarzy przykleiła się sprężysta jak sieć pajęczyna.

Nagle ciszę nocną rozdarło jakieś straszliwe wycie. Po chwili wycie się urwało. Zapanowała cisza. Gusiew i Łoś wzdrygając się ze zgrozy i obrzydzenia, pobiegli wielkimi susami, przeskakując przez dziwaczne kaktusy.

Nareszcie w świetle wschodzącego sierpu błysnęła stalowa karoseria aparatu. Dobiegli. Usiedli zadyszani.

— Co to, to nie, po nocach w tym pajęczym kraju nie mam zamiaru się włóczyć! — oświadczył Gusiew. Odśrubował luk i wlaź do aparatu.

Łoś ciągle jeszcze zwlekał. Przysłuchiwał się, rozglądał. I nagle zobaczył płynącą pomiędzy gwiazdami fantastyczną sylwetkę statku powietrznego.



## ŁOŚ PATRZY NA ZIEMIĘ

Cień statku powietrznego znikł. Łoś usiadł na mokrym kadłubie aparatu, zapalił fajkę i zaczął patrzeć na gwiazdy. Lekki chłodek wywoływał dreszcze. Wewnątrz aparatu krzątał się Gusiew; chowając znalezione rzeczy mamrotał coś pod nosem. Potem głowa jego wyłoniła się z luku:

— Mówcie, co chcecie, Mstisławie Siergiejewiczu, ale to wszystko jest złoto, a jeśli chodzi o kamuszki, to też są bezcenne. Ucieszy się moja głupia Maszka, jak to zobaczy.

Głowa znikła i znów zapanowała cisza. Szczęśliwy człowiek z tego Gusiewa.

Ale Łoś spać nie mógł. Siedział, patrzył na gwiazdy, ssał swoją fajeczkę. Diabli wiedzą, co to wszystko oznacza! W jaki sposób trafiły na Mars te złote maski? A mozaika? Ginące w morzu i latające pomiędzy gwiazdami wielkoludy? A znak na paraboli: rubinowa kulka — czyżby Ziemia, a ceglasta Mars? Znak władzy nad dwoma światami? Nie podobna tego objąć rozumem. A śpiewająca księga? A dziwne miasto, które ukazało się w zamglonym lustrze? Ale czemu, czemu cały ten kraj jest taki opuszczony i bezludny?

Łoś wytrząsnął fajkę o obcas. Ach, żeby prędzej nastał dzień! Rzecz jasna, że marsjański lotnik powiadomi jakiś większy ośrodek. Być może, szukają ich już teraz i powietrzny statek właśnie po nich wysłano.

Łoś spojrzał na niebo. Światło czerwonej gwiazdy Ziemi bladło, gwiazda zbliżała się do zenitu, jej promień trafiał mu prosto w serce.

Stojąc w czasie bezsennej nocy we wrotach szopy, Łoś z takim samym dziwnym smutkiem patrzył na wschodzący Mars. Działo się to przedwczoraj. Jedna doba dzieliła go od tej godziny, od Ziemi.

Ziemia, zielona Ziemia, niekiedy pogrążona w ciemności i w obłokach, niekiedy zaś w promiennym świetle, bujna, bogata i piękna, choć tak wymyślnie okrutna w stosunku do swoich dzieci, daleka, ukochana — Ojczyzna...

Lodowate przerażenie ścisnęło jego mózg. Ta czerwona kulka Ziemi jest jak płonące serce... Człowiek to efemeryda budząca się na chwilę do życia. A on — ulegając swoim szaleńczym myślom i postanowieniom — oderwał się od Ojczyzny i oto niby ponury szatan siedzi samotnie wśród pustkowiec. Czy tego pragnął? Czy uciekł od samego siebie?...

Drgnął, chłód przeszedł mu po plecach. Schował fajkę do kieszeni. Włazł do aparatu i położył się obok pochrapującego Gusiewa. Ten prosty człowiek nie sprzeniewierzył się Ojczyźnie, przyleciał na kraniec świata i tu, tak samo jak i tam, czuje się jak w domu... Śpi spokojnie, ma czyste sumienie.

Pod wpływem ciepła i zmęczenia Łoś pogrążył się w drzemce. We śnie spłynęło nań ukojenie. Zobaczył brzeg rzeki na Ziemi, szumiące od wiatru brzozy, obłoki, iskrzące się w słońcu fale na wodzie i kogoś jasnego i promiennego, kogoś, kto go wabi i woła z przeciwnego brzegu.

Niedługo potem obudził ich hałas silników powietrznych.

## MARSJANIE

Ślepiąco różowe grzędy obłoków, niby powróśla z przędzy, okryły poranne niebo. Na jego ciemno-granatowym tle, pojawiając się to znów znikając za różowymi grzędami, opuszczał się na ziemię zalany słońcem powietrzny statek. Lądujący trójmasztowiec



podobny był z kształtu do gigantycznego żuka. Trzy pary ostrych skrzydeł wyrastały z jego boków.

Statek przeciął obłoki i wilgotny, srebrzysty, lśniący zawisł nad kaktusami. Na jego krótkich bocznych masztach wyły, nie pozwalając mu lądować, pionowe śmigła. Z boków wyrzucono drabinki i statek na nich osiadł. Motory stanęły.

Po schodach zaczęły zbiegać smukłe sylwetki Marsjan, w owalnego kształtu hełmach lotniczych i srebrnych kurtkach z wielkimi kołnierzami, przykrywającymi szyję i dół twarzy. Każdy Marsjanin trzymał w ręku broń przypominającą krótki karabinek maszynowy z tarczą pośrodku.

Gusiew stał posepnie obok aparatu. Nie zdejmując ręki z mauzera patrzył, jak Marsjanie ustawiają się w dwóch szeregach. Lufy ich karabinów leżały na zgiętej dłoni.

— Broń, dranie, trzymają jak baby — mruknął z niezadowolaniem.

Łoś stał, skrzyżowawszy dłonie na piersiach, i uśmiechał się. Ostatni wyszedł ze statku Marsjanin, odziany w czarną, opadającą w fałdach pelerynę. Jego łysa, pokryta guzami głowa była nie osłonięta. Wąska i bez zarostu twarz miała błękitny odcień.

Grzęznąć w miękkim gruncie, przeszedł przed podwójnym szeregiem żołnierzy. Przez chwilę spojrzenie jego wypukłych, lodowatych oczu zatrzymało się na Gusiewie. Potem patrzył już wyłącznie na Łosia. Zbliżywszy się do ludzi, podniósł małą rękę w szerokim rękawie i cienkim, szklanym głosem wymówił powoli ptasie słowo:

— Talcetl.

Oczy rozszerzyły mu się jeszcze bardziej, zapłonęło w nich hamowane wzruszenie. Powtórzył dziwne słowo i władczy gestem pokazał na niebo.

— Ziemia — powiedział Łoś.

— Ziemia — z trudem powtórzył Marsjanin, marszcząc czoło.

Gusiew wysunął się naprzód, kaszlnął i pochmurnie oświadczył:

— Jesteśmy z Rosji Radzieckiej, jesteśmy Rosjanie. Przybyliśmy, że tak powiem, do was w odwiedziny. Witajcie — dotknął daszka swojej czapki. — My was nie chcemy skrzywdzić i wy nas nie ruszajcie... Mstisławie Siergiejewiczu, on zdaje się ani w ząb po naszymu nie rozumie.

Błękitnawa twarz Marsjanina trwała w bezruchu, ale na jego niskim czole między brwiami zaczęła pęcznieć pod wpływem napięcia czerwona plama. Lekkim ruchem ręki wskazał na słońce i wymówił dziwnie brzmiący, znajomy dźwięk.

— Soacr.

Potem wskazał na grunt pod nogami i uczynił taki ruch rękoma, jak gdyby obejmował kulę.

— Tuma.

Wreszcie określił żołnierzy, otaczających go półkolem, Gusiewa, siebie i Łosia jednym słowem:

— Szocho.

W ten sposób wymienił kilka nazw i dowiedział się ich odpowiedników w języku ziemskim, po czym zbliżył się do Łosia i uroczystym gestem dotknął wskazującym palcem jego czoła — wgłębienia pomiędzy brwiami. Na znak powitania Łoś pochylił głowę. Gusiew natomiast, w odpowiedzi na jego dotknięcie, wsadził czapkę na oczy.

— Traktuje nas jak dzikich.

Marsjanin zbliżył się do aparatu i długo, początkowo z hamowanym zdziwieniem, a potem, zrozumiałwszy widocznie jego zasadę, z zachwytem, oglądał ogromne, stalowe, przykryte warstwą spalenizny jajo. Nagle



klasnął w dłonie, odwrócił się do żołnierzy i zaczął szybko coś do nich mówić, podnosząc ku niebu zaciśnięte pięści.

— Aiu — odpowiedzieli żołnierze wyjąłymi głosami.

On natomiast położył sobie dłoń na czoło i głęboko westchnął; potem, panując nad wzruszeniem, odwrócił się do Łosia i patrząc nań pociemniałymi, wilgotnymi oczyma, powiedział z nutą życzliwości w głosie:

— Aiu, aiu utara szocho, dacia Tuma ra geo Talcetl.

Wypowiedziawszy te słowa, zasłonił oczy ręką i nisko się uklonił. Potem wyprostował się, zawołał żołnierza, wziął od niego wąski nóż i zaczął coś kreślić na karoserii aparatu: nakreślił jajko, nad nim daszek, obok postać żołnierza. Patrzący mu przez ramię Gusiew, powiedział:

— Proponuje nam, że zrobi namiot wokół aparatu i chce dać ochronę. Boję się jednak, Mstisławie Siergiejewiczu, że nam rzeczy pokradną, luki nie mają zamków.

— Przestańcie głupstwa gadać...

— Przecież tam są narzędzia, ubranie... Dobrze już jednemu z nich się przyjrzałem; mordę ma zakazaną!

Marsjanin przysłuchiwał się tej rozmowie z uwagą i szacunkiem. Łoś wyjaśnił mu na migi, że chce zostawić aparat pod ich opieką. Marsjanin zbliżył gwizdek do długich, cienkich warg. Ze statku odpowiedziano takim samym przejmującym gwizdem. Wówczas Marsjanin zaczął dawać jakieś sygnały. Na szczycie środkowego, najwyższego masztu najeżyły się, niby włosy na głowie, krótkie druciki i rozległ się trzask iskier.

Marsjanin wskazał Łosiowi i Gusiewowi statek. Żołnierze przysunęli się bliżej i stanęli dookoła. Gusiew popatrzył na nich, uśmiechnął się drwiąco i zbliżywszy się do aparatu, wyciągnął z niego dwa worki z bielezną i z drobiazgami; potem mocno zamknął luk i wy-

mownie grożąc palcem Marsjanom, trzasnął ręką po mauzerze. Marsjanie obserwowali go ze zdumieniem.

— Cóż, Aleksieju Iwanowiczu, przekonamy się, czy jesteśmy jeńcami, czy gośćmi — nie mamy możliwości ucieczki — śmiejąc się powiedział Łoś. Potem zarzucił worek na ramię i ruszył w kierunku statku powietrznego.

Na jego masztach z wielkim hałasem zakreśliły się pionowe śmigła. Skrzydła opadły. Zawyły śmigła poziome. Goście, lub być może jeńcy, weszli po kruchej drabince na pokład.

## PO TAMTEJ STRONIE SKALISTYCH GÓR

Statek leciał na niewielkiej wysokości nad Marsem w kierunku północno-wschodnim. Łoś oraz łyсы Marsjanin pozostali na pokładzie. Gusiew z żołnierzami zszedł do kabiny.

W jasnej, koloru słomy kabinie usiadł na plecionym fotelu i patrzył przez pewien czas na ostronosych, szczupłych żołnierzyków, którzy mrugali jak ptaki czerwonymi oczyma. Potem wyjął swoją ukochaną, blaszaną papierośnicę, z którą się nie rozstawał w ciągu siedmiu lat na wojnie, uderzył dłonią w pokrywkę i zaczął częstować.

Marsjanie lękliwie zatrzęśli głowami. Jeden z nich wziął jednak papierosa, obejrzał go, powąchał i schował do kieszeni swoich białych spodni. Ale gdy Gusiew zapalił, ogarnęło ich przerażenie i zaczęli się cofać, szepcząc w swoim niezrozumiałym języku:

— Szochó táó táwra, szochó-om.

Czerwonawe, ostronose twarze z trwożliwym zdumieniem obserwowały, jak „szochó” łyka dym. Lecz powoli



przyzwyczajali się do tego i już bez obaw znów zbliżyli się do człowieka.

Nie przejmując się tym, że Marsjanie nie znają rosyjskiego języka, Gusiew zaczął opowiadać nowym przyjaciółom o Rosji, o wojnie, o rewolucji i o swoich bohaterskich czynach.

— Gusiew to moje nazwisko — mówił. — Pochodzi od gęsi. A gęsi to takie ptaszyska na Ziemi, wyście takich nigdy nie oglądali. Zwracają się do mnie: Aleksiej Iwanowicz. W czasie wojny dowodziłem całą dywizją kawalerii. Jestem wielkim bohaterem. Aż strach pomyśleć! Moja taktyka jest prosta: czy to będą szable, czy to będą karabiny maszynowe, zawsze działałem jednakowo — „poddajesz się, sukinsynu, czy nie?” I rąbię z wszystkich sił. Sam cały jestem posiekany, więc kicham na wszystko. U nas w akademii wojskowej są nawet specjalne wykłady: „O metodzie Aleksieja Gusiewa”. Może nie wierzycie? Zaproponowano mi dowództwo korpusu. — Gusiew przesunął paznokciem czapkę i podrapał się za uchem. — Znudziło mi się to wszystko, wybaczcie, nie mogę tak dłużej. Siedem lat wojowałem i mam dość. A tu akurat Mstisław Siergiejewicz nawinął mi się, zaprosił mnie i zaczął błagać: „Aleksieju Iwanowiczu, bez was nie dam sobie rady, lećcie ze mną na Mars”. Oto i jestem.

Marsjanie słuchali i dziwili się. Jeden z nich przyniósł flaszkę, zawierającą brązowy, pachnący muszkatem płyn. Gusiew wyciągnął z worka pół butelki wódki, przywiezionej z Ziemi. Marsjanie wypili i zaczęli piskliwie pokrzykiwać. Gusiew klepał ich po ramieniu i robił wiele hałasu. Potem wyciągnął z kieszeni różne drobiazgi, proponując wymianę. Za scyzoryk, gryzek ołówka i niezwykłą zapalniczkę, zrobioną z naboju karabinowego, otrzymał od Marsjan złote przedmiociki.

W tym czasie Łoś, oparłszy się o burtę statku, spo-

glądał na płynącą pod nim smutną, pagórkowatą równinę. Poznał dom, w którym był poprzedniego dnia. Wokół dostrzegął te same ruiny, kępki drzew i wyschnięte kanały.

Wskazując na tę pustynię, Łoś spytał ze zdziwieniem, czemu cały ten kraj jest opuszczony i wymarły. Wypukłe oczy Marsjanina przybrały nagle wyraz niezadowolenia. Na dany przezeń znak statek wzbił się w górę, zakreślił łuk i skierował się ku skalistym szczytom górskiego pasma.

Słońce stało już wysoko, obłoki znikły. Przy zakrętach i wzbijaniu się w górę wyły śmigła poziome, skrzybiały elastyczne skrzydła, huczały śmigła pionowe. Prócz tego huku i wiatru, gwizdzącego w skrzydłach i masztach, nic nie było słychać: silniki pracowały bezgłośnie. Były one zresztą niewidoczne. Tylko na osi każdego śmigła wirowało okrągłe pudełko, przypominające dynamo, i na szczycie zarówno przedniego, jak i tylnego masztu z lekka trzeszczały dwa eliptyczne kosze ze srebrzystego drutu.

Łoś pytał Marsjanina o nazwy różnych przedmiotów i zapisywał je. Następnie wyciągnął z kieszeni zabraną poprzedniego dnia książkę i prosił o wyjaśnienie fonetycznego brzmienia geometrycznych liter. Marsjanin ze zdumieniem spojrzął na tę książkę. Spojrzenie jego znów stało się zimne, cienkie wargi wykrzywił wyraz obrzydzenia. Ostrożnie wyjął książkę z rąk Łosia i cisnął ją za burzę.

Rozrzedzenie powietrza na tej wysokości było tak wielkie, że Łoś zaczął odczuwać ból w piersiach i łzy napłynęły mu do oczu. Widząc to Marsjanin dał znak, by obniżono lot. Statek leciał teraz nad krwawoczerwonymi dzikimi skałami. Zygzakowaty, szeroki grzbiet górski ciągnął się z południowego wschodu na północny zachód. Cień statku sunął po urwiskach, lśniących



pokładami rud, po stromych, spadzistych, porośniętych mchem ścianach górskich, spadał na dno mglistych przepaści, niby chmurka przepływał po iskrzących się, oblodzonych szczytach górskich i po lustrzanych lodowcach. Okolica była dzika i bezludna.

— Liziazira — skinąwszy w kierunku gór oświadczył Marsjanin i wyszczerzył lśniące od metalu zęby.

Patrząc na te skały, wywołujące smutne wspomnienie rozbitej planety, Łoś zobaczył na dnie przepaści, na kamieniach, kadłub rozbitego statku — odłamki srebrzystego metalu rozrzucone były dookoła niego. Nieco dalej sterczało złamane skrzydło drugiego statku, na prawo widać było nadziany na szczyt skały trzeci zmasakrowany statek. Wszędzie poniewierały się resztki ogromnych skrzydeł, rozbitych kadłubów, sterczących żeber. Było to miejsce walki; wydawało się, że stoczyły ją między tymi nagimi skałami demony.

Łoś zerknął na sąsiada. Marsjanin siedział, przytrzymując pelerynę koło szyi i spokojnie obserwował niebo. Na spotkanie okrętowi leciał klucz długoskrzydłych ptaków. Nagle ptaki wzbily się w granat nieba, błysnęły żółtymi skrzydłami i zawróciły. Śledząc ich zniżający się lot, Łoś zobaczył czarną wodę okrągłego jeziora, położonego w głębi, wśród skał. Kędzierzawe krzaki otaczały go wieńcem. Żółte ptaki siadły na brzegu wody.

Powierzchnia jeziora zaczęła się marszczyć, woda zakotłowała się i z głębi wytrysł słup wody, który uniósł się w górę, rozprysnął na wszystkie strony i opadł.

— Soam — uroczyście powiedział Marsjanin.

Pasma górskie skończyło się. Na północnym zachodzie poprzez przezroczyste fale drgającego skwaru widać było kanarkowożółtą równinę i jakąś lśniącą wiel-

ką wodę. Marsjanin wyciągnął rękę w kierunku cudownego, mglistego pejzażu i powiedział z uśmiechem:

— Azora.

Statek uniósł się nieco w górę. Wilgotne, słodkie powietrze owiewało twarz, szumiało w uszach. Przed nimi leżała obszerna, lśniąca równina Azory, pocięta kanałami, pokryta kępami pomarańczowej roślinności. Azora oznacza w języku Marsjan — radość; jej łąki kanarkowego koloru przypominały te wesołe wiosenne polany, które śnił się w dalekim dzieciństwie.

Kanałami płynęły szerokie, metalowe barki. Na brzegach rozrzucone były białe domki i wzorzyste ścieżki ogrodów. Wszędzie pełzły małe figurki Marsjan. Niektóre odrywały się od płaskich dachów i leciały niby nietoperze nad wodą lub nad gajami. Łąki lśniły od kałuż i iskrzyły się strumieniami. Azora była cudownym krajem.

Gdzieś u kresu równiny promieniała iskrząca się w słońcu, falująca powierzchnia ogromnej wodnej przestrzeni, przy której zbiegały się linie wszystkich kanałów. Statek leciał właśnie w tę stronę i Łoś ujrzał wreszcie ogromny, prosty kanał. Odległy jego brzeg tonął w wilgotnej mgle, a żółtawe, mętne wody toczyły się powoli wzdłuż kamiennego urwiska.

Lecieli długo. I oto u wylotu kanału zaczęła się wyłaniać z wody równa krawędź ściany, ginącej na lewo i na prawo za linią horyzontu. Mur rósł w oczach. Teraz były już widoczne ogromne, stanowiące jego powierzchnię głązy, między którymi wyrastały krzaki i drzewa. Dolecieli do gigantycznego rezerwuaru, napełnionego po brzegi wodą. W wielu miejscach powierzchnia zbiornika pieniała się pióropuszcami wodotrysków.

— Ro — powiedział Marsjanin i uroczyście podniósł palec.



Łoś wyciągnął z kieszeni notes i odnalazł w nim pośpiesznie zrobiony poprzedniego dnia wykres linii i punktów na powierzchni dysku Marsa. Podał szkic Marsjaninowi i wskazał palcem zbiornik na dole. Marsjanin marszcząc czoło przypatrywał się w skupieniu, wreszcie zrozumiał i radośnie kiwając głową, podkreślił paznokciem jeden z punktów na wykresie.

Wychyliwszy się za burzę Łoś zobaczył dwie proste i jedną wygiętą linię. Były to napelnione wodą kanały, łączące się ze zbiornikami. Więc na tym polegała tajemnica: okrągłe plamy na dysku to zbiorniki wody, natomiast linie tworzące trójkąty i łuki są kanałami. Jakież jednak stworzenia mogły zbudować te cyklopiczne mury? Łoś spojrzał pytająco na swojego towarzysza. Marsjanin wyjął dolną wargę i wznosił ręce ku niebu.

— Tao haccha ro hamagacytl.

Statek leciał teraz nad spaloną słońcem równiną. Przecinało ją jaskrawoczerwoną, grubą kreską bezwodne łożysko czwartego kanału, pokryte równymi rzędami, jak gdyby celowo zasadzonej roślinności. Był to widocznie jeden z kanałów, należący do drugiej sieci linii, które na dysku Marsa zaznaczały się bledszym rysunkiem.

Równina przechodziła stopniowo w niewysokie, łagodne wzgórza. Spoza nich zaczęły się ukazywać błękitne zarysy kratowanych wież. Na środkowym maszcie okrętu podniosły się sypiąc iskrami malutkie druczki. Zza wzgórz wyłaniały się wciąż nowe i nowe kontury kratowanych wież i wznoszących się tarasowato gmachów. Powoli, coraz wyraźniej ze słonecznej mgły wynurzało się ogromne miasto.

— Soacera — powiedział Marsjanin.

## SOACERA

Błękitne zarysy Soacery, występy płaskich dachów, pokryte zielenią kratownice murów, owalne lustra jezior i ażurowe wieże, zajmowały coraz większą przestrzeń i ginęły za linią horyzontu. Mnóstwo czarnych punktów leciało nad miastem na spotkanie statku.

Kwitnący kanał pozostał na północy. Na wschód od miasta rozpościerał się widok na pustynne, zawalone gruzem, zryte pola. Na skraju tego pustkowia, rzucając długi cień, wznosił się gigantyczny, potrzaskany, omszony posąg.

Kamienny, nagi człowiek stał wyprostowany; nogi złączone, ręce przyciśnięte do wąskich bioder, wyłobiony pas podpierał wypukłą pierś, w słońcu mgliście świecił jego szyszak, uwieńczony ostrym grzebieniem jakby rybim grzbietem. Jego twarz o szerokich kościach policzkowych i zamkniętych oczach uśmiechała się księżycokształtnymi ustami.

— Magacytl — powiedział Marsjanin i wskazał na niebo.

Daleko za posągiem widniały ruiny ogromnego zbiornika i zarysy walących się sklepień akweduktów. Przyglądając się uważniej, Łoś zrozumiał, że stosy gruzu na równinie, doły i pagórki to pozostałości jakiegoś starożytnego miasta. Nowe miasto Soacera zaczynało się za połyskującym jeziorem, na zachód od tych ruin.

Czarne punkciki na niebie zbliżały się i stawały się coraz większe. Były to setki Marsjan lecących na ich spotkanie, w skrzydlatych łódkach i siodłach, na ptakach z płótna żaglowego i w koszach ze spadochromami.

Pierwsze dopędziło ich i zatoczywszy koło, zawisło nad statkiem — lśniące, złote czteroskrzydłe jak waż-



ka, wąskie cygaro. Posypały się z niego na pokład ich statku różnobarwne kwiaty i papierki, wychyliły się zaciekawione twarze.

Łoś wstał, przytrzymał się liny, zdjął hełm — wiatr rozwiał jego białe włosy. Z kabiny wylał Gusiew i stanął obok. Z łódek leciały na nich naręcza kwiatów. Na błękitnawych, śniadych bądź ceglastych twarzach Marsjan odbijało się podniecenie, zachwyt, przerażenie.

Teraz nad głową, z przodu, z boków, ze wszystkich stron leciały setki powietrznych pojazdów. Oto przemknął pod nimi w koszu ze spadochronem, wymachując rękoma, grubas w pasiastym kołpaku. Tu znowu mignęła patrząca przez lornetkę, pokryta naroślami twarz. A tam — zakłopotany, o rozwianych włosach Marsjanin, kręcąc się przed ich statkiem w skrzydlatym siodle, usiłował skierować na Łosia jakąś dziwną, ruchomą skrzyneczkę. Oto przeleciała, cała w kwiatkach, pleciona łódź, a w niej trzy blade twarze kobiece o wielkich oczach; rozwiewały się na wietrze wstęgi czepków, szerokie błękitne rękawy i tkane złotem szale.

Śpiew śmigieł, szum wiatru w skrzydłach, gwizdy, błysk złota, pstrokaczna ubiorów na tle ciemnego błękitu, a w dole purpurowe, srebrne, lub też kanarkowe listowie drzew i okna lśniące w promieniach słońca — to wszystko było jak sen. Kręciło się w głowie.

— Popatrz, popatrz, matko święta! Co za cuda! — powtarzał Gusiew, rozglądając się dookoła.

Statek przepłynął nad wiszącymi ogrodami i łagodnie opadł na wielki, okrągły plac. W tej samej chwili jak groch posypały się z góry setki łódek, koszy i skrzydlatych siodeł: lądowały i osiadały na białych płytach placu. Ulice, rozchodzące się na kształt gwiazdy od placu, rozbrzmiewały gwarem tłumów; wszyscy

biegli, rzucali kwiaty, jakieś papierki i machali chusteczkami.

Statek wylądował obok wysokiego i ciężkiego jak piramida gmachu, zbudowanego z czarno-czerwonego kamienia. Na jego szerokich stopniach pomiędzy kwadratowymi kolumnami, zwężającymi się ku górze i dochodzącymi tylko do jednej trzeciej wysokości budynku, stała grupa Marsjan. Wszyscy byli ubrani w czarne, długie togi i okrągłe czapeczki.

Była to, jak się Łoś później dowiedział, Najwyższa Rada Inżynierów — naczelny organ kierujący wszystkimi krajami Marsa.

Marsjanin, który im towarzyszył, kazał Łosiowi zaczekać. Żołnierze zbiegli po drabinkach na plac i otoczyli statek, zatrzymując napierający tłum. Gusiew z podziwem patrzył na barwny od strojów, falujący plac, na mnóstwo unoszących się nad głowami skrzydeł, na ogromne bryły szarawych lub czarno-czerwonych gmachów i przezroczyście, wyrastające ponad dachy zaręby wież.

— To ci rozumiem — miasto! — zachwycał się Gusiew.

Marsjanie w czarnych togach, stojący na stopniach — rozstąpili się. Zjawił się wysoki, nieco przygarbiony Marsjanin, również ubrany na czarno, z długą, posępną twarzą i długą, wąską, czarną brodą. Na jego okrągłej czapeczce drżał złoty grzebień podobny do rybiego grzbietu.

Zszedłszy do połowy schodów, oparł się na lasce i długo wpatrywał się zapadniętymi, ciemnymi oczyma w przybyszów z Ziemi. Łoś także patrzył na niego uważnym i czujnym spojrzeniem.

— Patrzcie, jak w nas gały wlepił ten stary diabeł — szepnęła Gusiew. Ale po chwili już odwrócił się do tłumy i beztrosko krzyknął: — Witajcie, towarzysze Marsja-



nie! Przybywamy z braterskim pozdrowieniem od radzieckich republik... Chcemy z wami nawiązać dobrośąsiedzkie stosunki...

Tłum wydał okrzyk zdumienia, zaszemrał, zaszumiał i przysunął się bliżej. Ponury Marsjanin chwycił brodę w garść, obrzucił zamglonym spojrzeniem plac i zatrzymał je na tłumie. Morze wzburzonych głosów zaczęło cichnąć pod tym spojrzeniem. Wówczas odwrócił się do stojących na stopniach, powiedział parę słów i podniósłszy laskę wskazał na statek.

Natychmiast do statku podbiegł jeden z Marsjan, coś cicho i szybko powiedział łysemu Marsjaninowi, który wychylił się do niego za burtę.

Rozległy się gwizdki sygnalizacyjne, dwaj żołnierze wbiegli na pokład, zawyły śmigła i statek z trudem oderwawszy się od placu, popłynął nad miastem, kierując się na północ.

## W LAZUROWYM GAJU

Soacera zniknęła daleko za wzgórzami. Statek leciał nad równiną. Gdzieniegdzie widać było szeregi jednostajnych budynków, słupy i druty wiszących dróg, wieże wiertnicze i załadowane barki, płynące wzdłuż wąskich kanałów.

Ale oto coraz częściej spośród leśnej gęstwiny zaczęły się wyłaniać skaliste szczyty. Statek zniżył lot, przeleciał nad wąwozem i osiadł na łące, pochyło zbiegającej ku ciemnym, wspaniałym zaroślom.

Łoś i Gusiew zabrali swoje worki i zaczęli schodzić, wraz z towarzyszącym im łysym Marsjaninem, do znajdującego się na dole gaju.

Pył wodny bijącego spod drzew źródelka mienił się tęczę nad błyszczącą od wilgoci gęstą trawą. Stado



niskich, porośniętych długą sierścią, czarnych i białych zwierząt pasło się na zboczu wzgórza. Dookoła panował spokój. Cicho szemrała woda. Dmuchał lekki wiaterek.

Długowłose zwierzęta podnosiły się leniwie, ustępując ludziom z drogi. Przewalały się przy tym z boku na bok na swoich niedźwiedzich łapach. Odchodząc odwracały płaskie potulne pyski. Na łąkę sfrunęły żółte ptaki i napuszywszy się, zaczęły otrząsać swoje piórka pod tęczą fontanną.

Zbliżyli się do zagajnika. Rosły tam wspaniałe, podobne do wierzb drzewa o lazurowym kolorze. Nisko zwisające gałęzie szeleściły sucho smolistym listowiem. Poprzez cętkowane pnie drzew lśniło w dali jezioro. Ostry, słodki skwar w tych błękitnych zaroślach przyprawiał o zawrót głowy.

Zagajnik przecięty był mnóstwem drózek, wyspanych pomarańczowym piachem. Na skrzyżowaniach ich stały stare, niekiedy potrzaskane omszone posągi z piaskowca. Nad zaroślami wznosiły się pozostałości kolumn, ruiny cyklopicznego muru.

Dróżka prowadziła do jeziora. Przed oczyma przybyśszów otworzył się widok na jego ciemnogramatową lustrzaną powierzchnię, w której zatonął odwrócony szczyt dalekiej skalistej góry. Ledwo dostrzegalnym ruchem poruszały się w wódzie odbicia płaczących drzew. Słońce błyszczało oślepiająco. Nad małą zatoczką u podnóża omszonych schodów, prowadzących do jeziora, wznosiły się dwa ogromne, potrzaskane i porośnięte pnączami posągi.

Na stopniach schodów pojawiła się młoda kobieta. Głowę jej zdobił żółty, spiczasty kołpaczek. Jej biało-błękitna sylwetka, obok porośniętego mchem i wiecznie uśmiechającego się przez sen ciężkiego Magacytla, robiła wrażenie młodzieńczo smukłej. Kobieta pośliznę-



ła się, złapała się ręką za kamienny występ i podniosła głowę.

— Aelita — szepnął Marsjanin, zasłonił oczy rękawem i pociągnął Łosia i Gusiewa z dróżki do gęstwiny leśnej.

Wkrótce znaleźli się na wielkiej polanie. Stał tam w głębi, wśród gęstej trawy, posepny, szary dom o pochyłych ścianach. Placyk przed budynkiem miał kształt gwiazdy; stąd rozchodziły się proste dróżki, biegnące w dół przez łąkę do lasku, gdzie wśród drzew widać było jakieś niskie kamienne zabudowania.

Łysy Marsjanin gwizdnął. Zza węgła domu ukazał się niziutki tłuścioch w pasiastym chałacie. Jego pąsowa twarz robiła wrażenie natartej ćwikłą. Zbliżył się, krzywiąc się od słońca, ale kiedy usłyszał, kim są przybyście, usiłował natychmiast uciec z powrotem za róg domu. Wówczas łysy Marsjanin powiedział coś tonem rozkazującym a grubas zgięty we dwoje ze strachu, kręcąc się niespokojnie i ukazując samotnie sterczący w bezzębnych ustach żółty ząb, poprowadził gości do domu.

## ODPOCZYNEK

Gości zaprowadzono do maleńkich, jasnych, prawie pustych pokoików, których okna wychodziły na ogród. Ściany pokoju stołowego i sypialni obciągnięte były białymi matami. W kątach stały olbrzymie kadzie z kwitnącymi krzakami. Gusiew uznał, że pomieszczenie to doskonale im odpowiada:

— Fajnie, wygląda jak kosz bagażowy.

Grubas w pasiastym chałacie, widocznie zarządzający domem, krzątał się, bełkotał coś i toczył się od jednych drzwi do drugich, wycierając przy tym brązową

chustką spocone czoło i zapadając od czasu do czasu w stan kamiennego osłupienia. W takich chwilach wybałuszał na gości oczy i pośpiesznie coś szeptał; były to prawdopodobnie jakieś zaklęcia.

Napuściwszy do wanien wody, grubas zaprowadził Gusiewa i Łosia do łazienki, w której unosiły się gęste kłęby pary. Zetknięcie się niewiarygodnie zmęczonego ciała z gorącą, lekko musującą wodą było tak rozkoszne, że Łoś omal nie usnął. Zarządzający wyciągnął go z wanny za rękę.

Łoś z trudem dowłókł się do pokoju, gdzie stół zastawiony był mnóstwem talerzyków z jarzynami, pasztetami, malusienkami, jajkami i owocami. Chrupiące w zębach, maleńkie jak orzeszki kulki chleba topniały w ustach. Nie podano ani noży, ani widelców; w każde danie natomiast wetknięta była malutka łyżeczka. Zarządzający oniemiał patrząc, w jakim tempie ludzie z Ziemi pożerają te wyszukane potrawy. Gusiewowi przysmaki Marsjan ogromnie przypadły do gustu. Szczególnie dobre było wino o zapachu wilgotnych kwiatów — parowało w ustach i orzeźwiającym strumieniem przenikało do żył.

Zaprowadziwszy gości do sypialni, zarządzający przez dłuższy czas jeszcze krzątał się, przykrywając ich kołdrami i poprawiając poduszeczki. Lecz długi i mocny sen zmorzył wkrótce „białych tytanów”. Oddychali i chrapali tak głośno, że drżały szyby i rośliny w wazonach, a łóżka trzeszczały pod ich nie po marsjańsku potężnymi ciałami.

Łoś otworzył oczy. Błękitnawe sztuczne światło lało się z sufitu. W łóżku było ciepło i przyjemnie. „Co się stało? Gdzie jestem?” — pomyślał, ale i tak się nie zorientował i z rozkoszą znowu zamknął oczy.

Przepląły jakieś promienne cienie — były jak błysk wody, widziany poprzez lazururowe listowie. Prze-



czucie zdumiewającego szczęścia, oczekiwanie, że coś, co wyłoni się z tych cieni, musi wkroczyć do jego snów, nappełniło go cudowną trwogą.

Drzemiąc uśmiechał się, ściągał brwi — usiłował przedrzeć się przez tę cienką zaslonę migocących słonecznych cieni, lecz owinął go jakby obłokiem jeszcze głębszy sen.

Łoś usiadł na łóżku. Siedział tak przez pewien czas z opuszczoną głową. Potem wstał i odsunął roletę. Za wąską szybą płonęły lodowatym światłem ogromne gwiazdy; ich układ był dziwny i obcy.

— Tak, tak, tak — powiedział Łoś. — Nie jestem na Ziemi. Lodowata pustynia, bezkresna przestrzeń. Jestem na innym świecie. No tak — przecież umarłem. Życie pozostało tam...

Wbił paznokcie w pierś, tam gdzie bije serce.

— To nie jest ani życie, ani śmierć. Żywy mózg, żywe ciało. Ale życie zostało tam...

Sam nie mógł pojąć, czemu drugą już noc męczy go straszliwa tęsknota za Ziemią, za sobą samym, który żył tam, za gwiazdami. Miał wrażenie, że zerwana została jakaś żywa nić i dusza jego zamiera w czarnym, lodowatym pustkowiu. Znowu opadł na poduszkę.

Kto to?

Łoś zerwał się. W okno wpadał promień dziennego światła. Małeńki słomiany pokoik aż lśnił od czystości. Za oknem szumiały drzewa, gwizdały ptaki. Łoś przetarł oczy i głęboko westchnął.

Do drzwi znowu ktoś delikatnie zapukał. Łoś nagle otworzył drzwi — na progu stał grubas z naręczem żywych, osypanych rosą, lazurowych kwiatów.

— Aiu utara Aelita — wyszeptał podając mu kwiaty.

## MGLISTA KULKA

Jakoś niedobrze nam się wszystko układa, Mstisławie Siergiejewiczu — powiedział Gusiew przy śniadaniu. — Przelecieliśmy, diabli wiedzą, jaką przestrzeń, i masz tobie, siedzimy w tym zapadłym kącie. Nie warto było lecieć po to, żeby się w tych wannach pluskać. W mieście nie pozwolili nam zostać; pamiętacie, jak ten brodaty się nadał? Ach, Mstisławie Siergiejewiczu, miejcie się przed nim na ostrożności. Na razie dają nam pić i jeść, a co dalej będzie?

— Nie macie się czego denerwować, Aleksieju Iwanowiczu — powiedział Łoś, rzucając spojrzenie na lazurowe kwiaty o gorzkawo-słodkim zapachu — pobędziemy tu, rozejrzemy się, zobaczą, że nie jesteśmy niebezpieczni, i puszczą nas do miasta.

— Nie wiem, jaki jest wasz pogląd na tę sprawę, ale ja nie przyjechałem tu po to, żeby zbijać bąki.

— Więc co, według was, powinniśmy robić?

— Dziwi mnie, że pytacie o to. Może zasmakowały wam te słodycze?

— Chcecie się kłócić?

— Nie, ale doprawdy nie warto tu sterczeć po to, żeby wąchać kwiaty, mieliśmy tego, ile dusza zapagnie, na Ziemi. Wydaje mi się, że skoro jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy znaleźli się na Marsie, to Mars należy teraz do nas, jest radziecki. Tę sprawę trzeba raz na zawsze załatwić.

— Dziwak z was, Aleksieju Iwanowiczu.

— Zobaczymy, kto z nas jest dziwakiem — Gusiew poprawił skórzany pas, wzruszył ramionami i chytrze przymrużył oczy. — Rozumiem, że sprawa nie jest prosta — nas jest tylko dwóch. Dlatego oni muszą nam wydać papier, że chcą wejść w skład Rosyjskiej Republiki Federacyjnej. Łatwo nam to nie przyjdzie, rzecz



jasna, ale zauważyliście chyba, że tu, na Marsie, nie wszystko jest w porządku. Znam się na tym.

— Cóż, rewolucję chcecie tu wywołać?

— Na razie nie wiem, zobaczymy potem. Ale z czym wrócimy do Piotrogradu? Pająka zasuszonego im stąd przywieziemy? Nie, tak być nie może. Naszym obowiązkiem jest wrócić i zameldować: planeta Mars została przez nas przyłączona do RSFRR. Wyobraźcie sobie, jak się wówczas zakotłuje w całej Europie. Przecież samego złota tu jest tyle, że statki można nim ładować. Tak to wygląda, Mstisławie Siergiejewiczu.

Łoś przyglądał mu się w zadumie: trudno było określić, czy Gusiew żartuje, czy mówi poważnie. Jego małe oczka uśmiechały się chytrze, ale gdzieś na ich dnie zaczął się wyraz szaleństwa.

Łoś pokiwał głową i dotykając przezroczystych, lazurowych płatków, powiedział w zamyśleniu:

— Nie zastanawiałem się nigdy nad tym, dlaczego lecę na Mars. Po prostu leciałem po to, żeby dolecieć. W dawnych czasach konkwistadorzy uzbrajali okręt i wyruszali na poszukiwanie nowych ziem. Z morza wylądował się nieznany ląd, okręt przybijał do brzegu, kapitan zdejmował z głowy kapelusz o szerokim rondzie i nadawał swoje imię nowoodkrytej ziemi. Następnie rabował wybrzeże. Kto wie, może macie rację: przybić do brzegu to jeszcze mało — trzeba załadować statek skarbami. Musimy poznać ten nowy świat — jakież tam są skarby! Wiedza i mądrość mieszkańców Marsa — i to właśnie, Aleksieju Iwanowiczu, powinniśmy wywieźć stąd na naszym statku!

— Trudno się z wami dogadać, niełatwy macie charakter.

Łoś się roześmiał.

— Drogi przyjacielu — niełatwy jestem tylko w sto-

sunku do siebie samego. Z wami dogadam się na pewno.

Ktoś zapukał do drzwi. Gnąc się w ukłonach ze strachu i szacunku zjawił się zarządzający i na migi poprosił gości, by szli za nim. Łoś szybko wstał, przyglądał białą czuprynę. Gusiew zdecydowanym ruchem podkręcił wąsa. Przez korytarze i schodki ruszyli do odległej części domu.

Zarządzający zapukał do niziutkich drzwi. Rozległ się za nimi pośpiesznie mówiący, jak gdyby dziecinny głos. Łoś i Gusiew weszli do długiego, białego pokoju. Promienie słoneczne z tańczącymi w nich pyłkami kurzu padały przez okna w suficie na podłogę z mozaiki, w której odbijały się równe rzędy książek, posągi z brązu, stoliki na cienkich, ostrych nóżkach i matowe lustra ekranów.

Niedaleko drzwi stała młoda kobieta o popielatych włosach w czarnej, spiętej pod samą szyją sukni z długimi rękawami. Promienie słońca oświetlały jej wysoko upięte włosy i ślizgały się dalej po złożonych oprawach książek. Była to kobieta, którą wczoraj nad jeziorem Marsjanin nazwał Aelitą.

Łoś ukłonił się z szacunkiem. Aelita, nie ruszając się z miejsca, patrzyła nań ogromnymi źrenicami jasnoszarych oczu. Tylko jej podłużna, białobłękitna twarz lekciutko drgnęła. Nieco zadarty nosek i dosyć szerokie usta miały delikatne, dziecięce zarysy. Piers jej pod czarnymi, miękkimi fałdami sukni falowała szybko i nierówno jak po wejściu na stromą górę.

— Ellio utara geo — lekkim i delikatnym jak muzyka głosem powiedziała kobieta i pochyliła głowę tak nisko, że stał się widoczny jej kark.

Łoś w odpowiedzi ścisnął mocno palce, aż zachrzęściły w stawach. Potem, opanowując się z wysiłkiem,



powiedział nie wiadomo dlaczego niezwykle pompatycznie:

— Przybysze z Ziemi witają cię, Aelito!

Powiedział i zaczerwienił się.

— Mam zaszczyt przedstawić się — z godnością oznajmił Gusiew. — Dowódca pułku Gusiew, inżynier Mstisław Siergiejewicz Łoś. Przyszliśmy wam podziękować za gościnę.

Po tych słowach — wypowiedzianych przez ludzi z Ziemi — Aelita podniosła głowę; twarz jej stała się spokojniejsza, źrenice zmniejszyły się. W milczeniu wyciągnęła rękę, odwróciła wążutką dłoń do góry i przez pewien czas tak ją trzymała. Łosiowi i Gusiewowi wydało się, że na jej dłoni zjawiała się bladzielona kulka. Potem Aelita szybkim ruchem opuściła rękę i ruszyła wzdłuż półek z książkami, w głąb biblioteki. Goście podążyli za nią.

Teraz Łoś zauważył, że Aelita sięga mu do ramienia, że jest delikatna i lekka jak te kwiaty o gorzkawym zapachu, które mu rano przysłała. Skraj jej szerokiej sukni płynął powiewnie po lustrzanej mozaice. Odwracając się do nich, uśmiechała się, ale w oczach jej widać było w dalszym ciągu niepokój i zdenerwowanie.

Wskazała im szeroką ławkę, stojącą w półokrągłej wnęce pokoju. Łoś i Gusiew usiedli. Aelita zajęła miejsce naprzeciwko nich przy małym biureczku i oparłszy się na łokciach, zaczęła przyjaznym, lecz przenikliwym spojrzeniem przypatrywać się gościom.

Przez pewien czas panowała cisza. Łosia ogarnęło uczucie spokoju i jakiejś nieznaney błogości — chciałby tak siedzieć i patrzeć bez końca na tę dziwną, cudowną dziewczynę. Gusiew westchnął i powiedział półgłosem:

— Przyjemna dziewczyna, bardzo nawet przyjemna...

Wówczas Aelita zaczęła mówić. Zdawało się, że dotyka strun niezwykłego instrumentu, tak cudowne brzmienie miał jej głos. Wiersz po wierszu powtarzała jakieś słowa, przy czym ledwo poruszała wargami. Mówiąc otwierała i zamykała powoli swoje cudowne, popielate oczy.

Znów wyciągnęła przed siebie rękę dłonią do góry. Prawie w tej samej chwili Łoś i Gusiew zobaczyli we wgłębieniu jej dłoni bladozieloną mglistą kulkę, wielkości niedużego jabłka. Wewnątrz niej coś się poruszało i przelewało.

Teraz obydwaj wraz z Aelitą uważnie obserwowali to mgliste, opalowe jabłko. Nagle falujące w jego wnętrzu strugi znieruchomiały — wystąpiły ciemne plamy. Wpatrzywszy się uważnie, Łoś wydał okrzyk zdumienia: na dłoni Aelity leżała kula ziemiska.

— Talcetl — powiedziała, wskazując ją palcem.

Kula zaczęła wolno się obracać. Ukazały się zarysy Ameryki, azjatycki brzeg Oceanu Spokojnego. Gusiewa ogarnęło podniecenie.

— To my, my Rosjanie — powiedział dotykając paznokciem Syberii.

Wijącym się cieniem przepłynął grzbiet Uralu i niteczka dolnego biegu Wołgi. Zarysowały się brzegi Morza Białego.

— Tu — powiedział Łoś i pokazał Zatokę Fińską.

Aelita spojrzała nań ze zdziwieniem. Kula przestała się obracać. Łoś starał się skupić: przed oczyma jego wyłonił się z pamięci fragment mapy geograficznej i natychmiast na powierzchni mglistej kulki pojawiła się jak gdyby odbitka jego myśli: czarny kleks z rozchodzącymi się w różnych kierunkach niteczkami linii kolejowych, a na zielonkawym tle napis — „Piotrogród”.

Aelita wpatrzyła się uważnie i zasłoniła kulę —



przeświecała ona teraz przez jej palce. Rzuciła spojrzenie na Łosia i pokiwała głową.

— Oejeo, ho sua — powiedziała i Łoś zrozumiał: „Proszę się skupić, przypominać sobie”.

Wówczas zaczął sobie przypominać Petersburg — granitowe wybrzeże, lodowate, granatowe fale Newy, kołyszącą się na nich łódeczkę, zawieszoną we mgle długie przesła Mostu Nikołajewskiego, gęste dymy kominów fabrycznych, mgły i chmury bladego zachodu słońca, mokrą ulicę, szyld sklepiku i staruszka dorożkarza na rogu.

Aelita podparłszy podbródek, w milczeniu spoglądała na kulę. Przepływały w niej odbicia wspomnień Łosia, niekiedy wyraźne, niekiedy znowu jakby zatarte. Wyłoniła się przymglona kopuła Soboru Isakiewskiego, ale przesłoniły ją granitowe schody wybrzeża, fragment ławki, samotna, pogrążona w smutku jasnowłosa dziewczyna... Nagle twarz jej drgnęła, zniknęła — ukazały się dwa sfinksy w tiarach. Popłynęły kolumny cyfr, wykresy, żarzące się palenisko i ponury Chochłów rozdmuchujący węgielki.

Długo patrzyła Aelita na dziwne życie, które ukazało się przed jej oczyma, w mglistych strugach kuli. Lecz oto wszystko zaczęło się płatać; wtargnęły gwałtownie inne obrazy: pasma dymu, łuny pożarów, galopujące konie, jacyś biegnący i padający ludzie. Z tego chaosu wyłoniła się przesłaniając wszystko brodata, zalana krwią twarz. Gusiew głośno westchnął. Aelita z niepokojem spozjrzała na niego i natychmiast odwróciła dłoń. Kula znikła.

Przez kilka minut Aelita siedziała nieruchomo, zasłoniwszy dłońmi oczy. Potem wstała, wzięła z półki jeden z cylindrów, wyjęła z niego kościany wałek i włożyła do otworu stolika z ekranem. Następnie pociągnęła za sznur — górne okna biblioteki znikły pod granatowy-

mi zasłonami. Przysunęła stolik do ławki i włączyła kontakt.

Powierzchnia ekranu rozświetliła się; z góry na dół popłynęły po nim figurki Marsjan, zwierząt oraz domy, drzewa, sprzęty.

Aelita mówiła nazwę każdego przedmiotu oraz czasowniki, określające czynności poruszających się figurek. Niekiedy obrazy zastępowały kolorowe znaki, które Łoś oglądał już w śpiewającej książce, rozlegała się wówczas ledwo słyszalna fraza muzyczna — wtedy Aelita mówiła nazwę pojęcia.

Mówiła cichym głosem. Powoli płynęły znaki tego dziwnego alfabetu. W ciszy, w błękitnawym półmroku biblioteki spoglądały na Łosia szare oczy; mocnym i łagodnym czarem przenikał do jego świadomości głos Aelity. Odczuwał zawrót głowy.

Potem umysł jego stał się dziwnie jasny, jakby podniosła się jakaś mglista zasłona. Nowe słowa i pojęcia utrwały się w jego pamięci. Trwało to długo. Aelita dotknęła ręką czoła, westchnęła i zgasiła ekran. Łoś i Gusiew siedzieli jak odurzeni.

— Idźcie i połóżcie się spać — powiedziała Aelita w języku, którego dźwięk wydawał się im jeszcze obcy, ale sens stawał się już zrozumiały.

## NA SCHODACH

Uplłynęło siedem dni.

Kiedy później Łoś wspominał ten okres swego życia — wydawał mu się on granatowym zmierzchem, niewypowiedzianym spokojem, jakimś nie kończącym się pasmem przeżywanych na jawie widziadeł sennych.

Łoś i Gusiew budzili się wczesnym rankiem. Po kąpieli i lekkim śniadaniu szli do biblioteki. Na progu wi-



tały ich uważne, łagodne oczy Aelity. Słowa, którymi do nich mówiła, były prawie zrozumiałe. Cisza i półmrok tego pokoju oraz delikatny głos Aelity miały w sobie jakiś zadziwiający spokój — jej wilgotne oczy mieniły się, przesłaniały wszystko dookoła, pozostawały jedynie widziadła senne. Po ekranie przepływały cienie. Słowa Aelity bez udziału woli przenikały do ich świadomości.

Słowa początkowo były tylko dźwiękiem, potem z jakiejś mgły wyłoniły się pojęcia, które powoli wypełniały go żywą treścią. Teraz, gdy Łoś wymawiał imię — Aelita, rodziło się w nim dwojakie uczucie: smutek wywołany znaczeniem początkowych liter AE — „widziany po raz ostatni” i to uczucie, którego doznaje człowiek na widok blasku srebrzystego światła — LITA, co oznaczało „światło gwiazdy”. Język nowego świata w sposób delikatny i subtelny przenikał do ich świadomości.

Siedem dni trwało to poznawanie języka. Lekcje odbywały się rano i po zachodzie słońca, aż do północy. Wreszcie Aelita wyraźnie się zmęczyła. Ósmego dnia nikt nie zbudził gości i spali do samego wieczora.

Kiedy Łoś wstał z łóżka, przez okna widać było długie cienie drzew. Dźwięcznie, choć jednostajnie pogwizdywał jakiś ptak. Łoś szybko się ubrał i nie budząc Gusiewa poszedł do biblioteki, lecz gdy zastukał do drzwi, nikt mu nie odpowiedział. Wtedy to po raz pierwszy od siedmiu dni Łoś wyszedł na dwór.

Polana łagodnie zbiegała ku zagajnikowi i ku niskim zabudowaniom. W tamtym kierunku ze smętnym porykiwaniem schodziło stado niezgrabnych zwierząt o długiej sierści — były to haszy, na pół niedźwiedzie, na pół krowy. Ukośne promienie słońca złościły kędzierzawą trawę; cała łąka gorzała płynnym złotem. Nad taflą jeziora uniosły się szmaragdowe żurawie. W da-

li, w blasku zachodzącego słońca widać było ośnieżony stożek górskiego szczytu. Tu również panował spokój, smutek odchodzącego skąpanego w złocie dnia.

Znajomą ścieżką skierował się Łoś do jeziora. Zobaczył znowu płaczące lazurowe drzewa i przeświecającą za cętkowanymi pniami wodę. Tym samym chłodem owiało go lekkie, orzeźwiające powietrze. Ale miał wrażenie, że dopiero teraz po raz pierwszy widzi tę cudowną przyrodę — rozwarły się jego oczy i uszy — przypomniał sobie nazwy otaczających go przedmiotów.

Poprzez gałęzie błyszcząca tafla jeziora. Gdy Łoś zbliżył się do wody, słońce już zaszło. Ogniste pióra zachodu i lekkie języki złotych płomieni ogarnęły pół nieba pożogą. Lecz popiół szybko zasypywał płomień, niebo stawało się coraz czystsze, coraz ciemniejsze i oto zapłonęły gwiazdy. Dziwny układ konstelacji gwiazdnych odbijał się w wodzie. Na brzegu jeziora, koło schodów, wznosiły się czarne kontury dwóch kamiennych olbrzymów — strażnicy tysiącleci siedzieli z twarzami zwróconymi ku gwiazdom.

Łoś zbliżył się do schodów. Oczy jego nie przyzwyczaiły się jeszcze do szybko zapadającego zmierzchu. Oparłszy się o podnóże posągu, wdychał wilgoć jeziora i gorzkawy zapach bagiennych kwiatów. Odbicie gwiazd rozplywało się, nad wodą zaczęła się unosić leciutka mgła. A na niebie gwiazdy płonęły coraz jaskrawiej; teraz wyraźnie widać było uśpione gałęzie, połyskujące kamyki i uśmiechniętą twarz siedzącego Magacytla.

Łoś stał i przyglądał się tak długo, aż zdrętwiała mu oparta na kamieniu ręka. Wówczas odsunął się od posągu i na dole, na schodach zobaczył Aelitę. Siedziała nieruchomo, wpatrzona w odbicie gwiazd w czarnej wodzie.



— Aiu tu ira hashe, Aelita — powiedział Łoś wsłuchując się ze zdumieniem w dziwne brzmienie własnych słów. Wymawiał je z trudnością, tak jak się wymawia ustami zdrętwiałymi od mrozu. — Pytanie — czy mogę pozostać z tobą, Aelito? — jakoś samo przekształciło się w te obce dźwięki.

Aelita powoli odwróciła głowę i powiedziała:

— Tak.

Łoś usiadł obok niej na stopniu. Włosy Aelity okrywał czarny kaptur. W świetle gwiazd widać było jej twarz, ale oczu nie mógł dostrzec, tylko duże cienie oczodołów.

Obojętnym głosem, spokojnie zapytała:

— Czy byłeś szczęśliwy na Ziemi?

Łoś nie od razu odpowiedział, znów zaczął się wpatrywać w jej twarz: twarz Aelity była nieruchoma, w układzie ust czaił się smutek.

— Tak — rzekł wreszcie — tak, byłem szczęśliwy.

— Na czym polega szczęście u was na Ziemi?

Łoś znów jej się przyjrzał.

— Wydaje mi się, że na tym, by zapomnieć o sobie. Ten jest szczęśliwy, kto osiągnął pełnię i radość życia, a sam pragnie żyć dla tych, którzy mu tę pełnię, harmonię i radość życia dają.

Teraz Aelita zwróciła się ku niemu. Zobaczył jej ogromne oczy patrzące ze zdumieniem na białowłosego olbrzyma, człowieka.

— Takie szczęście daje miłość do kobiety — zakończył Łoś.

Aelita odwróciła się. Ostry kołpaczek na jej głowie drgnął. Czyżby się śmiała? Nie. A może płakała? Też nie. Łoś poruszył się niespokojnie. Wtedy zapytała z lekkim drżeniem w głosie:

— Dlaczego porzuciłeś Ziemię?

— Ta, którą kochałem, umarła — powiedział Łoś. —

Nie miałem siły walczyć z rozpaczą, życie stało się dla mnie koszmarem. Jestem zbiegiem i tchórzem.

Aelita wyciągnęła rękę spod płaszcza i położyła ją na dużej ręce Łosia — a po chwili znów ją schowała pod płaszcz.

— Wiedziałam, że to spotka mnie w życiu — powiedziała, jak gdyby pogrążona w rozmyślaniach. — Jeszcze jako mała dziewczynka miewałam dziwne sny. Śniły mi się wysokie, zielone góry. Jasne, inne od naszych rzeki. Obłoki, ogromne białe obłoki i deszcze, potoki wody. Śnili mi się olbrzymi ludzie. Myślałam, że tracę rozum. Później mój nauczyciel mi wyjaśnił, że jest to — aszche — drugi wzrok. W nas, potomkach Magacytlów, przetrwało wspomnienie innego życia, drzemie ono w nas jak płodne ziarno. Aszche to cudowna siła, wielka mądrość. Ale nie wiem, co to jest szczęście.

Aelita wydobyla obie ręce spod płaszcza i klasnęła w dłonie jak dziecko. Kołpaczek znów zadrżał.

— Już od wielu lat przychodzę w nocy na te schody i patrzę na gwiazdy. Wiem dużo. Jestem pewna, że znamy takie rzeczy, o jakich wam nie wolno i nie trzeba wiedzieć. Lecz szczęśliwa byłam tylko wtedy, w dzieciństwie, kiedy śniły mi się obłoki, strugi deszczu, zielone góry i olbrzymy. Nauczyciel ostrzegał mnie, powiedział, że zginę. — Odwróciła się twarzą do Łosia i uśmiechnęła się nagle.

Ogarnęło go jakieś niesamowite uczucie. Jakże cudownie piękna była Aelita... Jakże niebezpiecznym, gorzkawo-słodkim zapachem przepojony był płaszcz, ręce, twarz i oddech tej kobiety.

— Nauczyciel powiedział: „Chao cię zgubi”. To znaczy zgubi mnie uczucie.

Aelita znowu skryła oczy pod kapturem płaszcza.



— Opowiedz mi to, co wiesz — po chwili milczenia poprosił Łoś.

— To tajemnica — odrzekła z powagą. — Ale jesteś człowiekiem i będę musiała opowiedzieć ci o wielu rzeczach.

Westchnęła i spojrzała na niebo. Wielkie konstelacje po obu stronach Drogi Mlecznej lśniły i migotały tak silnie, jakby powiew wieczności rozdmuchiwał ich ogień.

— Posłuchaj — powiedziała wreszcie — posłuchaj uważnie i spokojnie.

## PIERWSZE OPOWIADANIE AELITY

Przed dwudziestu tysiącami lat mieszkańcami Tумы, czyli Marsa, byli złocistoskórzy Aolowie. Dzikie plemiona Aolów — myśliwych i pożeraczy gigantycznych pajaków — osiedliły się w podzwrotnikowych lasach i bagniskach. W naszym języku pozostało zaledwie kilka słów z języka tego plemienia. Druga część Aolów zajmowała brzegi południowych zatok wielkiego lądu. Są tam pieczary wulkanicznego pochodzenia, a w nich wiele słodkich i słonych jezior. Aolowie ci kryli się przed chłodem w głębi pieczar. Zajmowali się rybołówstwem i złowione w zatoce ryby wpuszczali na okres zimy do podziemnych, słonych jezior. Po dziś dzień można tam napotkać stopy rybich ości.

Trzecia część Aolów żyła w pobliżu równika u podnóża gór, w miejscowościach, gdzie spod ziemi tryskały źródła nadającej się do picia wody. Plemiona te umiały budować domy, zajmowały się hodowlą długowłosych chaszy, wojowały z plemionami, pożerającymi pająki, i czciły krwawą gwiazdę Talcetl.

W jednym z plemion, zamieszkujących błogosławio-

ny kraj Azorę, zjawił się niezwykle szocho. Był synem pastucha, wychował się w górach Liziaziry i gdy skończył siedemnaście lat, zszedł z gór do osiedli Azory; chodził z miasta do miasta i głosił takie słowa:

„Miałem sen, niebo się rozwarło i spadła gwiazda. Pogałem swoje chaszy do miejsca, gdzie spadła gwiazda, i zobaczyłem tam leżącego w trawie Syna Nieba. Był wielkiego wzrostu i twarz miał białą jak śnieg na szczytach górskich. Gdy podniósł głowę, przekonałem się, że z oczu jego promienieje światło i szaleństwo. Zląkłem się, padłem na ziemię i długo leżałem na pół martwy. Słyszałem, jak Syn Nieba podniósł mój kij pastuszy i popędził moje chaszy, a ziemia drżała pod jego stopami. I jeszcze słyszałem jego słowa: «Umrzesz, albowiem ja tak sobie życzę». Poszedłem jednak za nim, gdyż szkoda mi było moich chaszy. Bałem się podejść: oczy jego świeciły złym blaskiem i zbliżając się doń za każdym razem musiałem padać na ziemię, by ocalić życie. Szliśmy tak kilka dni, coraz bardziej odalając się od gór i zagłębiając w pustynię.

Syn Nieba uderzał kijem o kamień i wytryskała woda. Chaszy i ja piliśmy tę wodę. Aż wreszcie Syn Nieba powiedział do mnie: «Bądź moim niewolnikiem». Wówczas zacząłem pasać jego chaszy, a on rzucał mi resztki jedzenia”.

Tak mówił pastuch do mieszkańców miast. I mówił jeszcze:

„Łagodne ptaki i zwierzęta żyją nie wiedząc, kiedy nastąpi ich zagłada. Ale drapieżny Ichi rozpostarł już swoje ostre skrzydła nad żurawiem, pająk upłócił już swoją sieć, a oczy straszego Cza płoną już w błękitnym gąszczu. Miejcie się na baczności. Nie macie tylu ostrych mieczy, by porazić Złego, nie macie tak mocnych murów, by się od niego odgrodzić, i nie macie dość długich nóg, by od niego uciec. Widzę na niebie



ognistą linię. Zły Syn Nieba spada na wasze osiedla. Oko jego jest szkarłatne jak płomień Talcetl”.

Mieszkańcy spokojnej, cichej Azory, słuchając tych słów, z przerażeniem wznosili ręce do nieba. A pastuch mówił dalej:

„Kiedy krwiożerczy Cza szuka cię oczyma w zaroślach — stań się cieniem i nos Cza nie poczuje zapachu twojej krwi. Kiedy Ichi spada z różowego obłoku, stań się cieniem i oczy Ichi na próżno będą cię szukać w trawie. Gdy w nocy, przy świetle dwóch księżyców — Ollo i Litha — zły pająk Citli oplątuje siecią twoją chatę, stań się cieniem i Citli nie złapie cię. Stań się cieniem, biedny synu Tумы. Tylko zło przyciąga zło. Oddal od siebie wszystko, co jest pokrewne złu. Pogrzeb swą niedoskonałość pod progiem chaty. Idź do wielkiego źródła Soam i obmyj się jego wodą. Staniesz się wówczas niewidzialny dla złego Syna Nieba — jego krwawe oko na próżno będzie usiłowało przebić twój cień”.

Mieszkańcy Azory uważnie słuchali pastucha. Wielu poszło za nim nad okrągłe jezioro, do wielkiego gejzeru Soam.

Niektórzy pytali go: „Jak można zakopać zło pod progiem chaty?” Niektórzy gniewali się i krzyczeli: „Oszukujesz nas — żebracy namówili cię, byś uspił naszą czujność, po to, by oni mogli zawładnąć naszymi domami”. Inni znów knuli przeciwko niemu: „Zaprowadzimy obłąkanego pastucha na skałę i zrzucimy go do gorącego jeziora, niech sam stanie się cieniem”.

Słyszając to pastuch brał ułłę — drewniany instrument zakończony trójkątem z naciągniętymi nań strunami — siadał pośród rozżalonych, zagniewanych i nieufnych i zaczynał grać i śpiewać. Grał i śpiewał tak cudownie, że milkły ptaki, cichnął wiatr, kładły się stada i słońce zatrzymywało się na niebie. Każdy ze słuchających



miał w tych chwilach wrażenie, że już pogrzebał swą niedoskonałość pod progiem chaty.

Trzy lata nauczał pastuch. A czwartego roku wyszli z bagnisk pożeracze pajaków i napadli na mieszkańców Azory. Pastuch wędrował po osiedlach i mówił:

„Nie wychodźcie za próg, strzeżcie się przed złem, które tkwi w was, strzeżcie się, byście nie stracili swojej czystości”. Słuchano go i byli tacy, którzy nie chcieli walczyć z pożeraczami pajaków; zostali więc wybici przez dzikusów na progu własnych domostw. Wówczas starostowie miast, zmówiwszy się, zaprowadzili pastucha na skałę i zrzucili go do jeziora.

Nauki pastucha rozeszły się daleko poza granice Azory. Nawet mieszkańcy nadmorskich pieczar ryli na skałach wizerunek pastucha grającego na ulle. Ale bywało i tak, że wodzowie niektórych plemion karali śmiercią tych, którzy czcili pastucha; uważali bowiem, że nauki jego są szaleńcze i niebezpieczne. I oto nadeszła godzina, w której spełniło się proroctwo. W kronikach owych czasów powiedziane jest:

„Przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy spadali na Tumę Synowie Nieba. Gwiazda Talcetl wschodziła od razu po zachodzie słońca i płonęła niezwykłym światłem, niby złe oko. Wielu Synów Nieba nie dotarło żywymi, wielu zabijało się o skały lub tonęło w południowym oceanie, lecz wielu dosięgło powierzchni Tумы i pozostało przy życiu”.

Tak głosi kronika o wielkim przesiedleniu Magacytlów. — Należeli oni do jednego z plemion ziemskiej rasy, która zginęła w czasie potopu dwadzieścia tysięcy lat temu.

Magacytlowie lecieli w aparatach z brązu, mających kształt jaja, poruszanych energią wytwarzającą się przy rozpadzie materii. W ciągu czterdziestu dni opuścili Ziemię.



Mnóstwo gigantycznych jaj zginęło w przestrzeni międzyplanetarnej, mnóstwo rozbiło się o powierzchnię Marsa. Niewielka ich liczba lądowała bez uszkodzeń na równinach podzwrotnikowego lądu. Kronika opowiada:

„Wyszli z jaj Synowie Nieba — wysocy i czarnowłosi. Mieli żółte, płaskie twarze. Ich ciała przykrywały pancerze z brązu. Na hełmach nosili ostre grzebienie. Każdy z nich trzymał w lewym ręku krótki miecz, w prawym zwój formulek, które stały się zgubą dla biednych, nieświadomych narodów Tумы”.

Tacy byli Magacytlowie — okrutni i potężni. Na Ziemi — lądzie, który pograżył się na dno Oceanu — władali miastem Stu Żółtych Bram.

Znalazłszy się na lądzie Tумы, skierowali się do osiedli Aolów i zabierali to, co chcieli, a jeśli ktoś stawiał opór, zabijali go. Wygnali stada chaszy na równiny i zaczęli kopać studnie. Zaorali pola i zasiali jęczmieniem. Ale wody w studniach było mało i ziarna jęczmienia poginęły w suchej bezpłodnej glebie. Wówczas rozkazali Aolom iść na równinę kopać kanały nawadniające i budować wielkie zbiorniki wody.

Niektóre plemiona wykonały to polecenie. Inne oświadczyły: „Nie będziemy słuchać przybyszów, zabijemy ich”. Wojska Aolów wyszły na równinę i pokryły ją jak chmury niebo.

Przybyszów było niewielu. Lecz mocni byli jak skały, potężni jak fale Oceanu, okrutni jak burza. Wojska Aolów zostały rozgromione i unicestwione. Zapłonęły osiedla. Rozbiegły się stada. Z bagnisk wyszły krwiożercze Cza i rozszarpywały kobiety i dzieci. Pająki oplątywały swoją siecią chaty. Pożeracze padliny — Ichi, porosły tłuszczem i nie mogły już latać. Nadchodził koniec świata.

Wówczas Aolowie przypomnieli sobie prorocstwo:

„Stań się cieniem dla Zła, biedny Synu Tummy, a krwawe oko Syna Nieba na próżno będzie usiłowało przebić twój cień”. Wielu z nich udało się więc do wielkiego jeziora Soam. Wielu odchodziło w góry w nadziei, że posłyszają w przepaścistych wąwozach górskich oczyszczającą pieśń ułły. Inni rozdawali swój majątek. Szukali w sobie i w bliźnich dobroci. Pieśniami i łzami radości witali dobro. W górach Liziaziry wierzący w pastucha wybudowali Święty Próg, pod którym leżało Zło. Trzy pierścienie nie gasnących ognisk chroniły Próg.

Wojska Aolów wyginęły. W lasach zostali wyniszczeni pożeracze pajaków. Resztki mieszkańców wybrzeża stały się niewolnikami. Lecz Magacytlowie nie tykali wierzących w pastucha, nie ruszali Świętego Progu, nie zbliżali się do gejzeru Soam, nie zapuszczali się w głąb górskich wąwozów, gdzie przelatujący w południe wiatr poruszał tajemnicze struny — śpiewał pieśń ułły.

W ten sposób minęło wiele krwawych i smutnych lat.

Przybysze nie mieli kobiet; zdobywcy musieli umrzeć bez potomstwa. I oto w górach, gdzie ukrywali się Aolowie, zjawił się wysłannik Magacytlów. Urodziwy olbrzym nie miał ani hełmu, ani miecza. W rękę trzymał laseczkę, do której przywiązana była tkanina. Zbliżywszy się do ognisk, otaczających Święty Próg, przemówił do Aolów, którzy wyszli z pieczar:

„Głowa moja jest odsłonięta, pierś obnażona — przebijcie mnie mieczami, jeśli to, co powiem, będzie kłamstwem. Jesteśmy potężni. Władaliśmy gwiazdą Talcetl. Przebyliśmy gwiazdną drogę, którą nazywają Mleczną Drogą. Opanowaliśmy Tummę i zniszczyliśmy wrogie nam plemiona. Zaczęliśmy budować kanały i wielkie zbiorniki wody, by bezpłodne dotąd równiny Tummy stały się żyzne. Zbudujemy jeszcze wielkie miasto



Soacere, to znaczy Słoneczne Osiedle. Pozwolimy żyć każdemu, kto chce żyć. Lecz nie mamy kobiet i musimy wyrzec nie spełniwszy naszego zadania. Dajcie nam wasze dziewice, a spłodzimy z nimi potężne plemię, które zaludni lądy Tумы. Przyjdźcie do nas, pomóżcie nam budować”.

Wysłannik położył laseczkę koło ogniska i usiadł zwrócony twarzą ku Progowi. Oczy miał zamknięte. I wszyscy widzieli na jego czole trzecie oko przykryte błoną, jakby zaognione.

Aolowie zebrali się na naradę i mówili między sobą: „W górach brak paszy dla bydła i mało wody. W zimie marzniemy w pieczarach. Potężne wiatry strącają nasze domostwa do bezdennych przepaści. Usłuchajmy wysłannika i wróćmy do starych gniazd”.

Aolowie wyszli z pieczar na równinę Azory, pędząc przed sobą stada chaszy. Magacytlowie pojęli dziewice aolskie za żony i narodziło się błękitne Plemię Gór. Wówczas rozpoczęto budowę szesnastu gigantycznych zbiorników Ro, w których zbierała się woda w okresie topnienia śniegów na biegunach. Bezpłodne równiny zostały przecięte kanałami i nawodnione.

Z popiołów i ruin wyrosły nowe osiedla Aolów. Pola dawały wspaniałe plony.

Wybudowano mury Soacery. Przy budowaniu zbiorników i murów Magacytlowie posługiwali się gigantycznymi dźwigami, poruszonymi zadziwiającą maszyną. Dzięki potędze swej wiedzy potrafili oni przesuwac ogromne głazy i wpływać na wzrost roślinności. Wiedzę swoją zapisywali do ksiąg kolorowymi plamami i gwiazdzistymi znakami.

Kiedy umarł ostatni przybysz z Ziemi, wraz z nim zaginęła i Wiedza. Dopiero po dwudziestu tysiącleciach my, potomkowie Plemienia Gór, odczytaliśmy tajemne księgi Atlantydów.



## PRZYPADKOWE ODKRYCIE

○ zmerzchu Gusiew z nudów zaczął się włóczyć po pokojach. Dom był wielki, solidnie zbudowany, przystosowany do zamieszkania w zimie. Mnóstwo w nim było korytarzy, schodów, pustych sal oraz galerii, a wszędzie panowała martwa cisza. Gusiew chodził, rozglądał się i przygadywał:

„Bogato żyją, diabły, ale nudnie”.

W oddalonej części domu słyhać było głosy, brzęk naczyń i stukanie kuchennych noży. Zarządzający wykrzykiwał piskliwym głosem jakieś ptasie słowa, komuś wymyślał. Gusiew dobrnął do kuchni, dużej izby o niskim pułapie. W głębi na kominie buchało płomieniem smażące się w patelniach masło. Gusiew zatrzymał się w drzwiach, pociągnął nosem. Zarządzający i kucharka natychmiast przestali się kłócić i cofnęli się ze strachem w głąb izby.

— Czad tu u was okropny, straszny czad — powiedział Gusiew po rosyjsku. — Luft nad piecem musicie zrobić. Niby Marsjanie, a prawdziwi barbarzyńcy!

Widząc przerażenie na ich twarzach, machnął ręką i wyszedł na kuchenny ganek. Tam, usiadłszy na stopniach, wyciągnął swoją odwieczną papierośnicę, by zapalić.

W dole, na polance biegał i pokrzykiwał pastuszek, zapędzając do murowanej obory głucho ryczące chaszy. Stamtąd, ścieżką udeptaną wśród wysokiej trawy, szła w jego kierunku kobieta z dwoma wiaderkami mleka. Wiatr unosił jej żółtą suknię i targał pomponem śmieszego kołpaczka, przykrywającego płomiennorude włosy. Nagle kobieta stanęła, postawiła wiaderka i zaczęła opędząć się od jakiegoś owada, zasłaniając twarz ramieniem. Wiatr zakręcił jej spódnicą. Przysiadła, roze-



śmiała się i chwyciwszy wiaderka, poleciała dalej. Na widok Gusiewa wyszczerzyła białe zęby.

Na imię miała Icha, ale Gusiew nazywał ją pieśczołliwie Ichcia. Ta wesoła, błękitnawośniada dziewczyna o okrągłych kształtach była siostrzenicą zarządzającego.

Szybko przebiegając koło Gusiewa, dziewczyna z leka zmarszczyła nosek. Gusiew zamierzył się, by dać jej klapsa, ale się powstrzymał. Siedział, palił i czekał.

I rzeczywiście, Ichcia wkrótce znowu się zjawiała niosąc koszyk. Usiadłszy niedaleko od Syna Nieba, zaczęła czyścić jarzyny. Niekiedy mrugała gęstymi rzęsami. Wszystko świadczyło o tym, że jest wesołą dziewczyną.

— Dlaczego to u was na Marsie baby są jakieś sine? — zapytał Gusiew po rosyjsku. — Zresztą skąd możesz wiedzieć? Nic nie wiesz o prawdziwym życiu.

Icha odpowiedziała i Gusiew, jak gdyby przez sen, zrozumiał jej słowa.

— Uczyłam się w szkole historii świętej. Powiedziane tam jest, że Synowie Nieba są źli. W książkach piszą jedno, a w życiu to wygląda inaczej. Synowie Nieba wcale nie są źli.

— Pewnie, że jesteście dobrzy — potwierdził Gusiew i zmrużył jedno oko.

Icha dławiała się od śmiechu, łupiny szybko leciały spod jej nożyka.

— Wuj mi mówił, że Synowie Nieba potrafią zabijać spojrzeniem? A ja tego jakoś nie zauważyłam.

— Doprawdy? A co zauważyłaś?

— Bardzo proszę, mów po naszymu — powiedziała Ichcia — bo po waszemu nic nie rozumiem.

— Kiedy po waszemu trudno mi ułożyć zdanie.

— Jak powiedziałaś? — Ichę rozpierała taka weso-

łość, że musiała odłożyć nóż. — Według mnie u was na Czerwonej Gwieździe jest tak samo jak tu.

Wówczas Gusiew chrząknął znacząco i przysunął się bliżej. Icha wzięła swój kosz i odsunęła się. Gusiew znów chrząknął i przysunął się jeszcze bardziej. Wtedy Icha zawołała:

— Spodnie podrzesz, jak będziesz się tak kręcił.

Być może zresztą, Icha powiedziała coś innego, ale Gusiew tak to zrozumiał.

Teraz siedział zupełnie blisko.

Icha lekko westchnęła. Potem spuściła głowę, westchnęła mocniej. Gusiew szybko obejrzał się i objął ją. Dziewczyna odskoczyła, szeroko otwierając oczy. Wtedy Gusiew mocno pocałował ją w usta. Icha rozpaczliwym ruchem przycisnęła do piersi koszyk i nóż.

— Widzisz, Ichcia! — zawołał Gusiew.

Dziewczyna zerwała się i uciekła.

Gusiew pozostał sam i siedział skubiąc wąsy. Uśmiechał się. Słońce zaszło. Na niebo wysypało się mnóstwo gwiazd. Pod same schody zakradło się jakieś puszyste zwierzątko i spoglądało na Gusiewa fosforyzującymi ślepiami. Gusiew się poruszył, zwierzątko zasycało i znikło jak cień.

— Trzeba jednak z tych głupstw zrezygnować — powiedział Gusiew. Obciągnął pas i ruszył do domu. Ale w korytarzu z miejsca natknął się na Ichcię. Zrobił ruch ręką, by się zbliżyła i razem poszli wzdłuż korytarza. Marszcząc się z wysiłku, Gusiew zaczął do niej mówić po marsjańsku:

— Ty się nie bój, Ichcia. Pamiętaj, że w razie czego, ożenię się z tobą. Słuchaj się mnie. (Icha odwróciła się twarzą do ściany.) Za wcześnie kaprysisz — jeszcze się z tobą nie ożeniłem. Wiesz, że jestem Synem Nieba i nie przyjechałem tu po to, żeby się głupstwami zajmować. Mam poważniejsze sprawy na waszej plane-



cie. Ale jestem tu człowiekiem nowym, waszych zwyczajów nie znam. Musisz mi pomagać. Najważniejsze, byś nie kłamała. A teraz powiedz mi, kim jest wasz pan?

— Nasz pan — odpowiedziała Icha, z trudem zrozumiawszy dziwną mowę Gusiewa — nasz pan jest władcą wszystkich krajów Tумы.

— Masz ci los! — Gusiew przystanął. — A może kłamiesz? (Podrapał się za uchem). Jakże on się oficjalnie nazywa? Król, czy jak? Jakie ma stanowisko?

— Nazywa się Tuskub. To ojciec Aelity. Jest głową Rady Najwyższej.

— Tak. Rozumiem.

Gusiew szedł przez pewien czas w milczeniu.

— Słuchaj, Ichciu, tam u was w pokoju widziałem matowe lustro. Chciałbym je obejrzeć. Pokaż mi, jak się je włącza.

Weszli do wąskiego, tonącego w półmroku pokoju, zastawionego niskimi krzesłami. Na ścianie odcinało się jasną plamą zamglone lustro. Gusiew rozsiadł się w fotelu koło ekranu.

— Co chciałbyś zobaczyć, Synu Nieba? — zapytała Icha.

— Pokaż mi miasto.

— Teraz jest noc, nikt nie pracuje, fabryki są nieczynne, sklepy zamknięte, a place puste. A może chcesz zobaczyć widowiska?

— Pokaż.

Icha włączyła kontakt do tablicy rozdzielczej i trzymając koniec długiego sznura, zbliżyła się do fotela, w którym siedział wygodnie rozparty Syn Nieba.

— Zabawa ludowa — oznajmiła, pociągając za sznur.

Rozległ się wielki szum — ponury gwar tysięcznego tłumu. Lustro rozjaśniło się. Gusiew ujrzał niezliczoną

ilość szklanych dachów. Szerokie smugi światła padały na ogromne plakaty, napisy, kłęby wzbijającego się w niebo wielobarwnego dymu. W dole falowało morze głów. Gdzieś fruwały jak nietoperze, to w górę to w dół, skrzydlate postacie. Szklane sklepienia, krzyżujące się smugi światła i falujące tłumy cofały się w głąb, ginęły we mgle kurzu i dymu.

— Co oni robią?! — krzyknął głośno Gusiew, poprzez zgiełk, który rozlegał się z ekranu.

— Oddychają świętym dymem. Widzisz kolorowe kłęby? To palą się liście chawry. To święty dym. Nazywają go dymem nieśmiertelności. Przed oczyma tego, kto go wdycha, przesuwają się cudowne wizje: widzi i poznaje takie cuda, że zaczyna wierzyć w swoją nieśmiertelność. Wielu słyszy dźwięk ułty. Nikt nie ma prawa palić chawry u siebie w domu — grozi za to kara śmierci. Tylko Rada Najwyższa może zezwolić na palenie chawry. Odbywa się to zazwyczaj dwaście razy do roku.

— A co robią tamci?

— Kręcą tarcze z cyframi. Zgadują liczby. Dziś każdy może wybrać jakąś liczbę, ten, kto zgadnie właściwą, jest na zawsze zwolniony od wszelkiej pracy. Rada Najwyższa darowuje mu wspaniały dom, pole, dziesięć chasy i skrzydlatą łódź. O, to wielkie szczęście zgadnąć!

W trakcie udzielania tych wyjaśnień, Icha usiadła na poręczy fotela; Gusiew natychmiast objął ją w póż. Usiłowała się wyrwać, ale zaraz przycichła i siedziała spokojnie. Cuda oglądane w mglistym lustrze zdumiewały Gusiewa. „A nicponie, a bezwstydnicy!” — przygadywał od czasu do czasu. Potem poprosił, by mu pokazała coś jeszcze.

Icha zeszła z poręczy fotela i zagasiwszy lustro, długo krzątała się przy tablicy rozdzielczej, nie mogąc



w żaden sposób włączyć kontaktu. Kiedy wróciła i znowu usiadła na poręczy fotela, kręcąc w rękach kulkę od sznura, twarzą jej była jakby lekko oszołomiona. Gusiew popatrzał na nią uważnie i uśmiechnął się. Wtedy w jej oczach odmalowało się przerażenie.

— Czas już najwyższy, dziewczyno, żebyś za mąż wyszła!

Ichcia odwróciła głowę i westchnęła. Gusiew zaczął ją głaskać po plecach, wrażliwych jak u kotki.

— Ach, ty moja miła, moja śliczna, błękitna...

— Popatrz, jeszcze coś ciekawego — powiedziała słabym głosem i pociągnęła za sznur.

Połowę jasnego ekranu przysłoniły czyjeś plecy. Rozległ się lodowaty głos. Ktoś wolno cedził słowa. Plecy się poruszyły, cofnęły z pola widzenia. Gusiew zobaczył fragment wielkiego sklepienia opartego w głębi na kwadratowej kolumnie oraz fragment ściany, pokrytej złotymi napisami i figurami geometrycznymi. Na dole wokół stołu siedzieli ze spuszczonymi głowami ci sami Marsjanie, którzy na stopniach posępnego gmachu witali statek z ludźmi.

Przed stołem, przykrytym brokatem, stał ojciec Aelity — Tuskub. Na złotym hafcie togi odcinała się czarna broda. Robił wrażenie wykutego z kamienia. Przygnione, ponure oczy patrzyły nieruchomo wprost przed siebie — na ekran. Tuskub przemawiał. Jego kłujące słowa były niezrozumiałe, ale straszne. Oto powtórzył kilka razy słowo — Talcetl — i opuścił, jak gdyby zadając śmiertelny cios, pięść, w której ścisnął rulon papierów. Siedzący naprzeciwko niego Marsjanin o szerokiej, bladej twarzy podniósł się i patrząc na Tuskuba mętnymi oczami, wrzasnął z wściekłością:

— Nie oni, ale ty!

Icha drgnęła. Siedziała twarzą do lustra, ale nic nie widziała i nic nie słyszała — duża ręka Syna Nieba głaskała jej plecy. Gdy w lustrze rozległ się krzyk i Gusiew kilka razy zapytał: „O czym oni mówią?” — dziewczyna jakby obudzona ze snu otworzyła szeroko usta i spojrzała uważnie na ekran. Po chwili jęknęła żałośnie i pociągnęła za sznur.

Lustro zgaśło.

— Omyliłam się... Niechcący połączyłam... Żaden socho nie ma prawa znać tajemnic Rady Najwyższej.

Dziewczyna szczękała zębami. Zatopiła palce w swoich rudych włosach i szeptała z rozpaczą: — Omyliłam się. Jestem niewinna. Ześlą mnie do jaskini, do kraju wiecznych śniegów.

— Uspokój się, dziecko, nikomu nie powiem — Gusiew przyciągnął ją do siebie i głaskał jej miękkie i ciepłe jak sierść angory włosy. Icha przymknęła oczy i zamilkła.

— Ach, ty głupiutka dziewczynko! Ni to zwierzątko, ni to człowiek... Błękitna ty moja, głupiutka.

Głaskał ją delikatnie za uchem, będąc pewny, że to jej sprawia przyjemność. Ichcia podkurczyła nogi i zwinęła się w kłębek. Oczy jej błyszcząły jak u dzikiego zwierzątka. Gusiew był zdumiony i przerażony.

W tym momencie rozległy się kroki i głosy Łosia i Aelity. Dziewczyna zsunęła się z fotela i niepewnie ruszyła do drzwi.

Tej samej nocy Gusiew wszedł do sypialni Łosia i powiedział:

— Nasze sprawy nie wyglądają zbyt dobrze, Mstisławie Siergiejewiczu. Namówiłem tu jedną dziewczynkę, żeby lustro podłączyła. Akurat natknęliśmy się na posiedzenie Rady Najwyższej. Coś niecoś zrozumiałem. Musimy się bronić, bo inaczej zabiją nas! Wiercie mi — to się źle skończy.



Łoś słuchał, ale nic nie słyszał; leżał z rękami podłożonymi pod głowę i rozmarzonym wzrokiem spoglądał na Gusiewa.

— To są czary, Aleksieju Iwanowiczu, czary. Zgaszcie światło.

Gusiew powstał chwilę i ponuro bąknął:

— Tak.

Po czym poszedł spać.

### PORANEK AELITY

Aelita zbudziła się wcześniej i leżała, wsparłszy się na łokciach. Jej szerokie, odsłonięte ze wszystkich stron łóżko stało, zgodnie ze zwyczajem, pośrodku sypialni, na podwyższeniu. Z sufitu, w kształcie głębokiej marmurowej studni, padało rozproszone światło poranka. Ściany sypialni pokryte bladą mozaiką, tonęły w półmroku; snop światła padał tylko na śnieżnobiałą pościel, na poduszcзки, na wspartą na dłoni popielatą główkę Aelity.

Noc spędziła niespokojnie. Przed jej zamkniętymi oczyma przesuwały się chaotyczne strzępy dziwnych i niepokojących wizji sennych. Jej sen był kruchy jak bańka mydlana. Przez całą noc wydawało się jej, że śpi i ogląda jakieś dręczące obrazy. Pogrążona w tym pół śnie, pół jawie myślała: cóż za niepotrzebne sny!

Kiedy promienie porannego słońca przeniknęły górnym otworem i oświeciły jej łóżko, Aelita westchnęła i obudziła się całkowicie. Przez pewien czas leżała bez ruchu. Myśli stały się jasne, lecz dziwny niepokój burzył jej krew. Czuła się bardzo, bardzo niedobrze.

„Niepokój krwi, zamroczenie umysłu, niepotrzebny powrót do tego, co już dawno, dawno minęło. Niepo-

kój krwi to powrót do pieczar, do stad, do ognisk. Wiosenny wiatr, niepokój i poczęcie. Rodzić i wychowywać stworzenia skazane na śmierć, grzebać i znów przeżywać niepokój i męki macierzyństwa. Niepotrzebne, ślepe przedłużanie życia”.

Tak rozmyślała Aelita, myśli jej były pełne głębokiej mądrości, ale niepokój nie mijał. Wstała więc z łóżka, włożyła plecione pantofelki, narzuciła na nagie ramiona szlafroczek i poszła do łazienki; tam rozbrała się, skrzyła włosy w węzeł i zaczęła schodzić po marmurowych stopniach do basenu.

Na najniższym stopniu zatrzymała się — przyjemnie było tak stać w promieniach słońca, wpadających przez okno. Na ścianach migotały ruchliwe plamy światła. Aelita spojrzała w błękitną wodę i zobaczyła w niej swoje odbicie, promień światła padał na jej brzuch. Wargi Aelity wykrzywił grymas obrzydzenia. Skoczyła do lodowatej wody basenu.

Kąpiel odświeżyła ją; wróciła myślami do codziennych trosk. Każdego ranka rozmawiała z ojcem — taki był zwyczaj. W pokoju jej stał mały ekran.

Aelita usiadła przed toaletką, doprowadziła do porządku włosy, natarła pachnącym olejkiem, a potem kwiatową esencją twarz, szyję i ręce, spojrzała na siebie spod oka, nachmurzyła się, potem przysunęła stolik z ekranem i włączyła tablicę rozdzielczą.

W mglistej tafli ukazał się tak dobrze znany gabinet ojca: biblioteka, mapy i wykresy na wirujących pryzmatach. Wszedł Tuskub, usiadł przy biurku, odsunął łokciem rękopisy i poszukał oczyma Aelity. W kąciku jego wąskich warg przemknął uśmiech:

— Jak spałaś, Aelito?

— Dobrze. W domu wszystko jest w porządku.

— Co porabiają Synowie Nieba?

— Są spokojni i zadowoleni. Śpią jeszcze.



— Czy nadal uczysz ich naszego języka?

— Nie. Inżynier mówi już swobodnie, a jeśli chodzi o jego towarzysza, to wystarczą mu te wiadomości, które ma.

— Czy nie wyrażają chęci opuszczenia mojego domu?

— O nie, nie.

Aelita powiedziała to zbyt pośpiesznie. Matowe oczy Tuskuba rozszerzyły się ze zdumienia. Pod wpływem tego wzroku Aelita zaczęła się cofać, aż plecami dotknęła oparcia fotela.

— Nie rozumiem ciebie — powiedział ojciec.

— Czego nie rozumiesz? Czemu nie mówisz mi wszystkiego, ojcze? Co zamierzasz uczynić z nimi? Błagam cię...

Aelita nie skończyła, twarz Tuskuba wykrzywiła się z wściekłości. Lustro zgasło, lecz Aelita wciąż wpatrywała się w jego zamgloną powierzchnię, jak gdyby nie znikła z niej jeszcze straszna, wzbudzająca przerażenie we wszystkich istotach żyjących twarz ojca.

— To okropne — wyszeptała — to będzie straszne.

Gwałtownie poderwała się z miejsca, ale ręce jej opadły i usiadła z powrotem. Opanowywał ją coraz większy niepokój. Rozszerzonymi ze zgrozy źrenicami wpatrywała się w lustro. Trwoga szumiała we krwi, wstrząsały nią dreszcze. „Jakież to wszystko jest straszne, jakie niepotrzebne”.

Mimo woli ujrzała oczyma wyobraźni, jak we śnie tej nocy, twarz Syna Nieba. Malowało się na niej głębokie wzruszenie. Twarz ta zawsze podlegała niepojętym przemianom. Oczy jego niekiedy smutne, niekiedy pełne tkliwości, nasycone słońcem i wilgocią Ziemi były niesamowite jak przepaście za mgłą — tchnęły one burzą i porażały rozum.

Ponownie wstrząsnął nią dreszcz. Serce głucho ło-

motowało w piersi. Pochyliwszy się nad tablicą rozdzielczą, włączyła kontakt. W mglistym lustrze zarysowała się postać drzemiącego wśród mnóstwa poduszek staruszka. Światło z małego okienka padało na jego wyschnięte ręce, spoczywające na włochatym pledzie. Staruszek drgnął, poprawił okulary, spojrzął ponad szklami na ekran i otworzył w uśmiechu bezzębne usta.

— Co mi powiesz, dziecko?

— Jestem niespokojna, drogi nauczycielu — powiedziała Aelita. — Opuszcza mnie jasność umysłu. Nie chcę tego, boję się, ale jestem bezradna.

— Powodem tego niepokoju jest Syn Nieba?

— Tak. Niepokoi mnie w nim to, czego nie jestem w stanie zrozumieć. Przed chwilą rozmawiałam z ojcem. Był zdenerwowany. Czuję, że toczy się walka w Radzie Najwyższej. Obawiam się, że Rada może podjąć straszliwą decyzję. Pomóż mi!

— Powiedziałaś, że Syn Nieba odebrał ci spokój. Lepiej więc będzie, jeśli on zniknie na zawsze.

— Nie! — szybko, gwałtownie i starowczo odpowiedziała Aelita.

Staruszek spochmurniał pod jej wzrokiem. Patrzył na nią i jak gdyby coś przeżuwał swoimi pomarszczonymi wargami.

— Źle rozumiem bieg twoich myśli, Aelito, w twoich myślach panuje zamęt.

— To prawda. Czuję to.

— Oto najlepszy dowód, że nie masz racji. Prawdziwa myśl musi być jasna, bezstronna, nie mogą w niej panować sprzeczności. Zrobię tak, jak sobie życzysz, pomówię z twoim ojcem. On również jest człowiekiem namiętnym, nieopanowanym i to może doprowadzić go do czynów nie będących w zgodzie z rozumem i sprawiedliwością.



— Nie tracę jednak nadziei.

— Uspokój się, Aelito, i słuchaj uważnie... Spójrz w głąb swojego serca. Na czym polega twój niepokój? W głębi twojej istoty tkwi instynkt pierwotny — czerwony mrok — jest to pragnienie przedłużenia życia. Twoja krew się burzy...

— Co innego niepokoi mnie, nauczycielu.

— Nawet w tym wypadku, jeśli on budzi w tobie najbardziej wzniosłe uczucia, wcześniej czy później obudzi się w tobie kobieta i wówczas zginiesz. Tylko prawdziwa mądrość, Aelito, tylko spokojne rozmyślanie o nieuniknionej śmierci wszystkiego, co żyje — tej marnej powłoki cielesnej — tylko oczekiwanie, kiedy twój duch, który już osiągnął doskonałość i nie łaknie już więcej żalonych doświadczeń życia, przekroczy granice świadomości i przestanie istnieć — to jest prawdziwe szczęście. A ty pragniesz powrotu. Unikaj tej pokusy, dziecko. Upaść jest łatwo, szybko stoczysz się z góry, ale wejście z powrotem jest trudne i męczące. Bądź rozsądna.

Aelita słuchała z pochyloną głową...

— Nauczycielu — powiedziała nagle; wargi jej drgnęły, oczy napełniła tęsknota — Syn Nieba mówił, że na Ziemi ludzie znają coś, co jest większe niż rozum, niż wiedza, niż mądrość. Ale co to jest — nie zrozumiałam. Dlatego jestem pełna niepokoju. Wczoraj byliśmy nad jeziorem. Kiedy weszła Czerwona Gwiazda, on wskazał ją ręką i powiedział: „Otacza ją mgła miłości. Ludzie, którzy znają miłość, nie umierają”. Tęsknota przepelnia moje serce, nauczycielu.

Staruszek zasepił się i długo milczał, poruszając przy tym bez przerwy palcami swej chudej ręki.

— Dobrze — odezwał się wreszcie — niech Syn Nieba obdarzy cię tą wiedzą. Dopóki nie poznasz wszy-



stkiego, nie zwracaj się do mnie. Bądź jednak ostrożna.

Lustro zgasło. W pokoju zapanowała cisza. Aelita wzięła z kolan chusteczkę i wytarła nią twarz. Potem przyjrzała się sobie uważnie i surowo. Brwi jej uniosły się w górę. Otworzyła niewielką szkatułkę i nisko się nad nią pochylała, szukając czegoś. Znalazłszy, włożyła na szyję małą, oprawioną w drogocenny metal, zasuszoną łapkę cudownego zwierzątka indri. Według starożytnych wierzeń miała ona pomagać kobietom w trudnych chwilach życia.

Aelita westchnęła i udała się do biblioteki. Łoś, który siedział przy oknie nad otwartą książką, wstał na jej spotkanie. Aelita spojrzała na niego — ten wielki, dobry mężczyzna wydał się jej zaniepokojony. Serce jej zadrżało. Położywszy rękę na piersi, na łapce cudownego zwierzątka, powiedziała:

— Wczoraj obiecałam opowiedzieć o zagładzie Atlantydy. Proszę cię, usiądź i posłuchaj.

## DRUGIE OPOWIADANIE AELITY

Oto co przeczytaliśmy w kolorowych księgach — powiedziała Aelita.

W zamierzchłych czasach środkiem świata na Ziemi było miasto Stu Złotych Bram, spoczywające obecnie na dnie Oceanu. To miasto było ośrodkiem wiedzy i źródłem pokus, które nastęrcza zbytek. Wabiło ono ku sobie zamieszkujące Ziemię plemiona i rozpałało w nich pierwotne namiętności. Często dochodziło do tego, że jakiś młody naród napadał na mieszkańców i opanowywał miasto. Wówczas gasło światło cywilizacji. Lecz mijał znów pewien okres i światło to wybuchało z nową siłą, wzbogacone dopływem świeżej



krwi zwycięzców. Mijały stulecia i znowu hordy koczowniczych plemion, niby chmury, zagrażały wiecznemu miastu.

Założycielami miasta Stu Złotych Bram byli Murzyni afrykańscy, należący do plemienia Zemze. Uważali siebie za potomków czarnej rasy, która w zamierzchłej przeszłości zamieszkiwała ogromny, pochłonięty przez fale, łąd Oceanu Spokojnego — Gwandanę. Ocalałe resztki czarnej rasy rozdrobniły się na mnóstwo plemion. Niektóre z nich zdziczały i zdegenerowały się. Ale we krwi Murzynów żyły wspomnienia wielkiej przeszłości.

Ludzie Zemze obdarzeni byli ogromną siłą fizyczną i wysokim wzrostem. Posiadali niezwykłą właściwość: polegała ona na tym, że wyczuwali na odległość istotę i kształt rzeczy, tak jak magnes wyczuwa na odległość obecność innego magnesu. Ta właściwość rozwinęła się w nich wtedy, gdy zamieszkiwali w grotach tropikalnych lasów.

Ratując się przed jadowitą muchą goch, plemię Zemze opuściło las i zaczęło przesuwać się na zachód, aż zatrzymało się na pofalowanym, omywanym przez dwie wielkie rzeki płaskowzgórzu, gdzie były pomyślne warunki do życia.

Okolice ta obfitowała w owoce i dziczyznę, w górach znajdowały się pokłady złota, ołowiu i miedzi. Lasy, wzgórza i ciche rzeki były piękne i spokojne.

Ludzie z plemienia Zemze zbudowali mur dla ochrony przed dzikimi zwierzętami i ułożyli wielką piramidę z kamieni na znak, że to miejsce należy do nich.

Na szczycie piramidy ustawili słup i przymocowali do niego pęczek piór ptaka Klitli, który był opiekunem plemienia i ratował je od muchy goch w czasie wędrówki. Wodzowie Zemze zdobili swoje głowy piórami i nadawali sobie imiona ptaków.

Na zachód od płaskowzgórza włączyły się plemiona czerwonoskórych. Ludzie Zemze napadali na nich, brali jeńców i zmuszali ich do orania ziemi, budowy domów, wydobywania rudy i złota. Sława miasta rozeszła się po szerokim świecie. Ludzie Zemze budzili strach w czerwonoskórych, gdyż byli silni, potrafili odgadywać zamiary wroga i zabijali ludzi z wielkiej odległości, rzucając zgiętym kawałkiem drzewa. W łódkach zrobionych z kory drzewnej pływali po szerokich rzekach i zbierali daninę od czerwonoskórych.

Potomkowie Zemze ozdobili miasto okrągłymi, kamiennymi gmachami, krytymi trzcina. Tkali wspaniałe materiały z wełny i umieli zapisywać myśli za pomocą obrazów i znaków. Wiedzę tę przechowali w głębi swej pamięci, jako zamierzchłe wspomnienie dawnej cywilizacji.

Minęły stulecia. I oto na zachodzie zjawił się wielki wódz Czerwonych. Nazywano go Uru. Urodził się w mieście, ale jeszcze w młodości poszedł w stepy do myśliwych i koczowników.

Uru zebrał niezliczone tłumy wojowników i ruszył na zdobycie miasta.

W celach obrony potomkowie Zemze wykorzystywali całą swoją wiedzę: razili wrogów ogniem, nasyłali na nich stada rozszalałych bawołów, godzili w nich szybkimi jak błyskawica bumerangami. Czerwonoskórzy górowali jednak żądzą zwycięstwa i liczebnością. Zdobyli miasto i rozgrabili je. Uru ogłosił siebie wozdem świata. Rozkazał czerwonoskórym wojownikom porwać dziewczęta z plemienia Zemze. Ukrywające się w lasach niedobitki pokonanego plemienia wróciły do miasta, by służyć zwycięzcom.

Czerwonoskórzy przyswoili sobie wiedzę, obyczaj i sztukę plemienia Zemze. Z tego skrzyżowania zrodziło się wielu mądrych władców i zdobywców. Ta-



jemnicza właściwość rozpoznawania istoty rzeczy przechodziła z pokolenia na pokolenie.

Dowódcy wojskowi z plemienia Uru rozszerzyli stan posiadania, wymordowali koczowników na zachodzie i na brzegach Oceanu Spokojnego, wybudowali piramidy z kamieni i z ziemi. Wypierali Murzynów w kierunku wschodnim. Nad brzegami Nigru i Kongo, wzdłuż skalistego wybrzeża Morza Śródziemnego, toczącego swoje fale tam, gdzie znajduje się obecnie pustynia Sahara, wybudowali potężne twierdze. Był to okres wojen i budownictwa. Kraje należące do plemienia Zemze nazywały się wówczas Hamagan.

Miasto otoczone zostało nowym murem o stu bramach, obitych blachą ze złota.

Ściągały tu narody całego świata, wiedzione chciwością i ciekawością. Wśród mnóstwa plemion włączających się po jego targowiskach i rozbijających pod jego murami namioty zjawili się jacyś nie spotykani dotąd ludzie. Mieli skórę ciemnooliwkowej barwy, płonące oczy i nosy podobne do ptasich dziobów. Byli mądrzy i przebiegli. Nikt nie pamiętał, jak to się stało, że pozostali w mieście. Ale nie minęło więcej niż pół wieku, a zarówno nauka, jak i handel miasta Stu Złotych Bram przeszły do rąk tego niewielkiego plemienia. Nazywali siebie „Synami Aama”.

Najmędrsi spośród Synów Aama przeczytali starożytne pisma Zemze i zaczęli rozwijać w sobie zdolność widzenia istoty rzeczy. Zbudowali świątynie Śpiącej Głowy Murzyna i jęli wabić ku sobie ludzi — uzdrawiali chorych, wróżyli i ukazywali wierzącym cienie zmarłych.

Dzięki swoim bogactwom i dzięki swojej wiedzy Synowie Aama zdobyli wpływ na rządy w kraju. Przeciągnęli na swą stronę liczne plemiona, a jednocześnie na krańcach Ziemi, jak i w samym mieście, roz-



pętali wojnę w obronie nowej wiary. W krwawej walce zginęła dynastia Uru. Władza przeszła do rąk Synów Aama.

W owych zamierzchłych czasach nastąpił właśnie pierwszy wstrząs Ziemi. W wielu miejscach ze szczytów gór wybuchły płomienie, a popiół przysłonił niebo. Olbrzymie przestrzenie na południe od lądu atlantyckiego poszły na dno oceanu. Na północy wyłoniły się z fal morskich skaliste wyspy i połączyły się ze stałym lądem: w ten sposób powstała równina europejska.

Całą potęgę swej wiedzy skierowali Synowie Aama na krzewienie kultury wśród licznych podbitych ongiś przez Uru plemion.

Lecz Synowie Aama nie lubili wojny. Wysyłali natomiast na wszystkie strony świata ozdobione Głową Śpiącego Murzyna okręty z ładunkiem korzeni, tkanin i kości słoniowej. Wtajemniczeni w kult docierali na tych okrętach do dalekich krajów jako kupcy lub znachorzy. Prowadzili handel i leczyli zamawianiem i zaklęciami choroby i kalectwa. W celu ochrony towarów wznosili w każdym kraju wielki gmach w kształcie piramidy, w którym umieszczali Głowę Śpiącego. W ten sposób krzewił się kult. Jeśli tubylcy wszczynali bunt przeciwko przybyszom, z okrętu schodził na ląd oddział czerwonoskórych, zakutych w brąz wojowników, z przystrojonymi w pióra tarczami, w wysokich, budzących grozę szyszakach.

W ten sposób dawna kraina Zemze urastała znów do wielkiej potęgi. Zwała się obecnie Atlantyda. Na dalekim zachodzie, w ojczystym kraju czerwonoskórych, założone zostało drugie wielkie miasto — Ptitligua. Na wschodzie zaś okręty handlowe Atlantydów docierały do Indii, gdzie podówczas panowała jeszcze czarna rasa. Dalej na wschodnich wybrzeżach azjaty-



ckich Atlantydzi po raz pierwszy natknęli się na olbrzymów o żółtych, płaskich twarzach, którzy obrzucili kamieniami ich okręty.

Kult Śpiącej Głowy udostępniono dla wszystkich — był to główny oręż siły i władzy, lecz sens, wewnętrzną treść tego kultu utrzymywano w ścisłej tajemnicy. Atlantydzi zaczęli dopiero pielęgnować ziarno mądrości Zemze i znajdowali się na początku owej drogi, która doprowadziła całą ich rasę do zagłady.

Oto ich nauka:

„Świat rzeczywisty jest niewidzialny, niedotykalny, niesłyszalny, nie ma ani smaku, ani zapachu. Świat rzeczywisty to ruch myśli. Początkowy i ostateczny cel tego ruchu jest niezbadany. Myśl to materia, twardsza niż kamień i szybsza niż światło. Szukając spokoju, jak wszelka materia, myśl zapada w pewnego rodzaju sen, to jest zwalnia swój ruch, co określamy jako wcielenie się myśli w substancję. Zależnie od stopnia snu, myśl wciela się w ogień, w powietrze, w wodę lub w ziemię. Z tych czterech żywiołów tworzy się świat widzialny. Każda więc rzecz jest chwilowym zgęszczeniem się myśli. Rzecz stanowi jądro sfery zgęszczającej się myśli — na podobieństwo piorunu kulistego, w którym skupia się zgęszczone przez burzę powietrze.

W kryształach myśl znajduje się w stanie całkowitego spoczynku, w przestrzeni zaś międzygwiazdnej — w stanie ciągłego ruchu. Człowiek jest pomostem pomiędzy tymi dwoma stanami myśli. Przez człowieka przepływa do świata widzialnego nieprzerwany potok myśli. Nogi człowieka wyrastają z kryształu, brzuch jego jest słońcem, oczy — gwiazdami, głowa zaś — misą, której brzegi sięgają nieskończoności!

Człowiek jest władcą świata. Podlegają mu żywioły i ruch. Kieruje nimi przy pomocy siły, promieniującej

z rozumu, podobnie jak promieniuje światło z otworu glinianego naczyńia”.

Tak nauczali Atlantydzi. Prosty lud nie rozumiał głoszonej przez nich nauki. Jedni czcili zwierzęta, drudzy — bóstwa pogańskie, jeszcze inni — cienie umarłych, a byli tacy, którzy oddawali cześć boską szmerom nocnym, piorunom i błyskawicom lub też wyrwom w ziemi. Walczyć z mnóstwem tych zabobonów było trudno i niebezpiecznie.

Wówczas kapłani — najwyższa kasta Atlantydów — zrozumieli, że należy zaprowadzić jasny, zrozumiały, jednolity i powszechny kult. Zaczęli budować ogromne, zdobione złotem świątynie i poświęcali je Słońcu — ojcu i władcy życia, srogiemu i życiodajnemu, umierającemu i odradzającemu się wciąż na nowo.

Kult Słońca ogarnął niebawem całą Ziemię. W imię nowej wiary przelano mnóstwo krwi ludzkiej. Na dalekim Zachodzie, wśród czerwonoskórych plemion, Słońce przybrało postać pierzastego węża. Na dalekim Wschodzie Słońce — władca świata umarłych — przybrało postać człowieka o ptasiej głowie.

W centrum świata, w mieście Stu Złotych Bram, wybudowano piramidę tak wysoką, że nad jej szczytem kłębiły się już obłoki — przeniesiono tam Głowę Śpiącego. Na placu u podnóża piramidy stanął posąg złotego skrzydlatego byka o ludzkiej twarzy i lwich łapach. Przed nim płonął nie gasnący znicz.

W czasie zrównania dnia z nocą wobec zgromadzonych tłumów, przy biciu w bębny, wśród tanecznych korowodów obnazonych kobiet — najwyższy kapłan, Syn Słońca, zabijał na ofiarę najpiękniejszego w mieście młodzieńca i spalał go we wnętrzu byka.

Syn Słońca był wszechwładnym panem miasta i kraju. Budował tamy i przeprowadzał nawadnianie pól.



Rozdzielał znajdującą się w magazynach odzież i żywność, wyznaczał każdemu należną mu ilość bydła i ziemi. Liczni urzędnicy byli wykonawcami jego zleceń. Nikt nie miał prawa powiedzieć: „To jest moje” — gdyż wszystko należało do Słońca. Praca była świętością. Próżniactwo karano śmiercią. Na wiosnę Syn Słońca pierwszy ruszał z zaprzęgiem wołów w pole, by zorać bruzdę i pierwszy siał ziarna maisu.

Świątynie pełne były zboża, tkanin i korzeni. Okręty Atlantydów, o purpurowych żaglach, ozdobionych wizerunkiem węża ze słońcem w paszczęce, prwały fale wszystkich mórz i rzek. Nastąpił okres długiego pokoju. Ludzie zapomnieli, jak się trzyma miecz w ręku.

Ale oto nad Atlantydą zaczęła zbierać się nadciągająca od wschodu chmura.

Na wschodnich płaskowzgórzach Azji żyło żółte, skośnookie, potężne plemię Uczkurów. Władczynią ich była kobieta mająca dar wieszczycy. Nazywała się Su Hutam Lu, co oznaczało: „rozmawiająca z księżycem”.

Su Hutam powiedziała Uczkurom:

„Zaprowadzę was do kraju, gdzie Słońce schodzi do wąwozu między górami. Jest tam tyle baranów, ile gwiazd na niebie, płyną tam rzeki kumysu, a jurty są tak wysokie, że do każdej można zapędzić stado wielbłądów. Nigdy jeszcze nie stanęła tam noga waszego konia i nigdy jeszcze nie czerpały wasze hełmy wody z tamtych rzek”.

Uczkurowie zeszli ze swojego płaskowzgórza, napadli na liczne koczujące plemiona żółtoliczych, podbili je i stali się ich wodzami. „Chodźcie z nami do kraju Słońca, który wskazała Su Hutam Lu” — mówili do ujarzmionych.

Czciciele gwiazd — koczownicy — mieli usposobienie marzycielskie i strach był im obcy. Zwinęli swo-



je namioty i popędzili stada na zachód. Szli powoli, wędrówka ich trwała latami. Na przedzie posuwali się jeźdźcy uczkuryjscy, napadając, walcząc i burząc miasta. Za jeźdźcami ciągnęły stada bydła oraz wozy z kobietami i dziećmi. Koczownicy minęli Indie i zalali szeroką falą równinę wschodnio-europejską.

Wielu z nich pozostało tam na brzegach jezior. Wytrwalsi posuwali się dalej na zachód. Na wybrzeżu Morza Śródziemnego zburzyli pierwszą osadę Atlantydwów i dowiedzieli się od zwyciężonych, gdzie leży kraj Słońca. Tu zmarła Su Hutam Lu. Zdjęto jej wraz ze skórą włosy i przymocowano do długiego drąga. Pod tym sztandarem ruszyli dalej wzdłuż wybrzeża. W ten sposób doszli do krańców Europy i oto ze szczytów gór ujrzeli zarysy ziemi obiecanej. Minęło właśnie sto lat od zejścia z płaskowyżu Azji.

Koczownicy zaczęli wyrąbywać lasy i budować tratwy. Na tratwach przeprawili się przez słoną, ciepłą rzekę. Stanąwszy na wysnionej ziemi Atlantydy, koczownicy napadli na święte miasto Tule. Kiedy wdrapali się na wysokie mury, w mieście uderzono w dzwony na trwogę: dźwięk ich był tak miły dla ucha, że najeźdźcy poniechali zamiaru zburzenia miasta, darowali życie mieszkańcom i nie spustoszyli świątyń. Zabrali ze sobą tylko zapasy żywności i odzienia i ruszyli dalej na południowy wschód. Pył wznoszony przez ich stada i wozy zaćmił słońce.

I oto koczownikom zastąpiły drogę wojska czerwonoskórych. Atlantydzi odziani od stóp do głów w złoto, strojni w różnobarwne pióra, byli piękni i delikacni jak kobiety. Jazda Uczkurów zgładziła ich co do jednego. Od tej chwili, kiedy żółtolicy poczuli zapach krwi Atlantydwów, przestali już okazywać litość.

Z miasta Stu Złotych Bram rozesłali gońców na zachód do czerwonoskórych, na południe do Murzynów,



na wschód do plemion Aama i na północ do Cyklopów. Składano ofiary z ludzi. Na szczytach świątyń płonęły bezustannie stopy. Tłumy ścigały na krwawe widowiska, trwoniły bogactwa, oddawały się szaleńczym pļasom, rozpustnym orgiom i pijaństwu.

Kapłani i filozofowie przygotowywali się do wielkiej próby. Przenosili do jaskiń górskich i zakopywali w ziemi księgi Wielkiej Wiedzy.

Rozpoczęła się wojna. Los jej był przesądzony. Atlantydzii występowali tylko w obronie swych bogactw, którymi już się przesycili, podczas gdy koczownikami kierowała chciwość pierwotnych ludzi i wiara w przepowiednię. Walka mimo wszystko była długotrwała i krwawa. Kraj opustoszał. Zapanował głód i mór. Wojska rozbiegały się na wszystkie strony i grabiły, co się dało. Miasto Stu Złotych Bram zostało zdobyte szturmem, a mury jego zburzono. Syn Słońca rzucił się ze szczytu piramidy. Na dachach świątyń pogasty ogień. Ci nieliczni, spośród mędrców i wtajemniczonych, którzy ocaleli, schronili się w niedostępnych grotach górskich. Cywilizacja zniknęła z oblicza Ziemi.

Wśród zburzonych pałaców wielkiego miasta, na porośniętych trawą placach pasły się owce, a żółolicy pasterz śpiewał tęskną pieśń o cudownej, jak miraż na pustyni, ziemi obiecanej, gdzie gleba jest błękitna, a niebo — złote.

„Dokąd mamy iść teraz?” — pytali koczownicy swoich wodzów. „Przyprowadziliśmy was do ziemi obiecanej, osiedlajcie się i żyjcie w pokoju” — odpowiadali im wodzowie. Lecz mnóstwo spośród koczujących plemion nie usłuchało ich i ruszyło dalej na zachód, do kraju Pierzastego Węza. Rozgromił ich tam jednak władca Ptitligua. Inni koczownicy dotarli do równika

i tam zostli wybici przez Murzynów, zniszczeni przez stada słońi i malarię.

Uczkurowie, wodzowie żółtoliczych, wybrali naj-mędrszego z dowódców wojskowych i uczynili go władcą podbitego kraju. Na imię mu było Tubal. Tubal kazał naprawiać mury, doprowadzać do porządku ogrody, orać pola i odbudowywać domy. Wydał wiele mądrych i prostych praw. Przywołał do siebie mędr-ców i wtajemniczonych, którzy skryli się w pieczar-ach i powiedział im: „Moje oczy i uszy są otwarte dla wiedzy”. Uczynił ich swymi doradcami, pozwolił otworzyć świątynie i rozesłał na wszystkie krańce świata gońców obwieszczając, że pragnie pokoju.

Taki był początek trzeciej, najwyższej fali cywili-zacji Atlantydów. Do krwi licznych plemion — czar-nych, czerwonych, oliwkowych i białych wlała się marzycielska, burząca się niby chmiel, krew azjaty-ckich Nomadów, czcicieli gwiazd, potomków wieszczki Su Hutam Lu.

Koczownicy szybko zespolili się z innymi plemio-nami. Z dawnych czasów jurt, stad i dzikiej swobody przetrwały tylko pieśni i legendy. Zjawilo się nowe plemię o mocnej budowie, czarnowłosych, żółtosma-głych ludzi. Uczkurowie, potomkowie jeźdźców i do-wódców wojskowych, stanowili arystokrację miasta. Lubili naukę, sztukę i zbytek. Ozdobili miasto nowymi murami oraz siedmiokątnymi wieżami, pokryli złotem dwadzieścia jeden tarasów gigantycznej piramidy, zbudowali akwedukty i po raz pierwszy wprowadzili kolumnę do architektury.

Przybysze po długich wojnach ujarzmili ponownie te miasta i kraje, które odpadły w czasie zawieruchy. Na północy wojowali z Cyklopami — byli to zdziczali potomkowie plemienia Zemze, którzy uniknęli zespo-lenia się z innymi plemionami. Wielki zdobywca Ra-



ma dotarł do Indii. Połączył on młode plemiona Aryjczyków w jedno państwo Ra. Wzmocniły się więc jeszcze raz i rozrosły do niebywałych rozmiarów obszary Atlantydy — ciągnęły się one teraz od Kraju Piezastego Węża do azjatyckich brzegów Oceanu Spokojnego, z których niegdyś żółtolice olbrzymy miały kamienie na okręty.

Marzycielska dusza zwycięzców dążyła do wiedzy. Odcyfrowano znów starożytne pisma Zemze i filozoficzne księgi synów Aama. Zamknął się stary cykl, rozpoczynał nowy. W pieczarach odnaleziono szczątki „siedmiu papirusów Śpiącego”. Od chwili tego odkrycia datuje się szybki rozwój wiedzy. To, czego nie posiadali synowie Aama — nieświadomej siły twórczej, to, czego nie mieli synowie plemienia Zemze — jasnego i wnikliwego umysłu, to wszystko przepelniało namiętą, niespokojną krew Uczkurow.

Nowa wiedza opierała się na następujących zasadach:

„W człowieku drzemie największa ze wszystkich potęg na świecie — materia czystej myśli. Podobnie jak napięta cięciwa i skierowana wprawną ręką strzała trafia do celu — tak samo i materię czystej myśli może napinać cięciwa woli i kierować ręką wiedzy. Potęga kierowanej myśli jest bezgraniczna”.

Nauka o wiedzy dzieli się na dwie części: na wstępną — rozwój ciała, woli i umysłu — oraz na zasadniczą — poznawanie przyrody, świata i praw, dzięki którym materia kierowanej myśli opanowuje przyrodę.

Pełne opanowywanie wiedzy, rozkwit niebywałej jeszcze na Ziemi i niepowtarzalnej kultury, trwało stulecie; od czterysta pięćdziesiątego do trzysta pięćdziesiątego roku przed Potopem, to jest przed zagładą Atlantydy.

Na Ziemi panował powszechny pokój. Siły przyrody, które wiedza powołała do służenia życiu, oddawały ogromne, wspaniałe przysługi ludzkości. Sady i pola dawały obfite plony, stada się rozmnażały, praca była lekka. Lud zachowywał stare obyczaje i święta i nikt mu nie przeszkadzał żyć, kochać, rodzić i oddawać się wesołości. W legendach stulecie to nazywa się „złotym wiekiem”.

W tym właśnie okresie na wschodnim krańcu Ziemi wzniesiony został sfinks, uosobienie czterech żywiołów w jednym ciele — był to symbol tajemnic śpiącego umysłu. Zbudowano siedem cudów świata: labirynt, kolos na Morzu Śródziemnym, słupy na zachód od Gibraltaru, wieżę astronomiczną na Posejdonosie, posąg siedzącego Tubala oraz miasto Lemutów na jednej z wysp Oceanu Spokojnego.

Do czarnych plemion, wypieranych dotychczas na tropikalne bagna, przenikło światło wiedzy. Murzyni szybko przyswajali sobie cywilizację i rozpoczęli budowę olbrzymich miast w Afryce Środkowej.

Ziarno mądrości Zemze dało wspaniałe plony. Lecz oto najmędrsi z wtajemniczonych w wiedzę zaczęli rozumieć, że w założeniu całego rozwoju cywilizacji leży podstawowe zło. Doszli do przekonania, że dalszy rozwój wiedzy musi doprowadzić do zagłady: ludzkość porazi sama siebie jak żmija, która zapuszcza żądło we własny ogon.

Zło pierwotne tkwiło w tym, że byt — życie Ziemi i stworzeń — brano za coś, co się wyłoniło z myśli człowieka. Poznając świat, człowiek poznawał tylko samego siebie. Umysł był jedyną rzeczywistością, a świat jego tworem, jego widziadłem sennym. Taki pogląd na istotę bytu musiał doprowadzić do tego przekonania, że każdy człowiek zacząłby twierdzić, że on jeden jedyny istnieje realnie, a wszystko pozostaje



stałe — cały świat — to wyłącznie twór jego wyobraźni. A więc w dalszym rozwoju nieunikniona była walka za jedyną osobowość, walka wszystkich przeciwko wszystkim, chęć zgładzenia ludzkości jako zbuntowanej przeciwko człowiekowi jego własnej ułudy sennej — pogarda i wstręt do życia jako do dręczącego koszmaru.

Takie było podstawowe zło mądrości Zemze.

Wiedza poszła dwoma torami. Przedstawiciele jednego odłamu nie widzieli możliwości usunięcia tkwiącego w założeniu zła i twierdzili, że zło jest jedyną potęgą stwarzającą byt. Nazywali siebie czarnymi, gdyż ich wiedza pochodziła od czarnych.

Inni twierdząc, że zło leży nie w samej naturze rzeczy, lecz w odchyleniach umysłu od przyrody, zaczęli szukać sposobu przeciwstawienia się złu.

Mówili: „Promień słońca pada na ziemię, ginie i zmartwychwstaje jako płód ziemi: oto podstawowe prawo życia”. Tak samo przedstawia się sprawa tam, gdzie chodzi o ruch umysłu wszechświata: zejście w dół, ofiarna śmierć i zmartwychwstanie w ciele. Podstawowy grzech — samotność umysłu — usunąć można grzesznym upadkiem. Myśl musi przeniknąć w ciało i przejść przez żywe wrota śmierci. Wrotami tymi jest płęć. Upadek umysłu dokonuje się dzięki potędze pociągu płciowego, czyli Erosa.

Zwolennicy takiego poglądu nazywali siebie białymi, gdyż nosili płócienną tiarę — znak Erosa. Ustanowili oni święto wiosny i misterium grzechu pierwotnego, które odbywało się w precudownych ogrodach starożytnej świątyni Słońca. Niewinny młodzieniec symbolizował rozum, kobieta — wrota śmiertelnego ciała, wąż zaś — Erosa. Z dalekich krajów ściągali ludzie oglądać te widowiska.

Rozbieżność między tymi dwiema drogami wiedzy

była wielka. Rozpoczęła się walka. W tym okresie dokonano zdumiewającego odkrycia — wynaleziono sposób natychmiastowego wyzwolenia siły witalnej, drzemiącej w nasionach roślin. Siła ta — grzmiąca, ognisto-chłodna materia — uwalniając się, wybuchała w przestrzeń. Czarni wykorzystali ją do celów wojny, do swoich narzędzi walki. Zbudowali ogromne latające statki, które siały popłoch i grozę. Dzikie plemiona oddawały cześć boską tym latającym smokom.

Biali zrozumieli, że zbliża się zagłada świata i zaczęli przygotowywać się do niej. Wybierali najlepszych i najsilniejszych spośród prostego ludu i wyprawiali ich na północ i na wschód. Przydzielali im wysokogórskie pastwiska, gdzie przesiedleńcy żyli jak ludzie pierwotni. Obawy białych potwierdziły się. Zbliżał się schyłek złotego wieku, miasta Atlantydy odczuwały przesyt. Nic już nie hamowało wyuzdanej fantazji, pogoni za zwyrodniałymi rozrywkami ani szaleństw wyjałowionego umysłu. Siła, którą zdobył człowiek, zwróciła się przeciwko niemu. Świadomość, że śmierć jest nieunikniona, czyniła z ludzi istoty posępne, okrutne i bezwzględne.

I oto nadeszły ostatnie dni. Zapoczątkowały je wielkie nieszczęścia; centralna część miasta Stu Złotych Bram padła ofiarą trzęsienia ziemi, wielkie połacie łądu poszły na dno oceanu, fale morskie na zawsze oddzieliły krainę Pierzastego Węża od Atlantydy.

Czarni oskarżali białych o to, że siłą swoich zaklęć wyzwolili duchy ziemi i ognia. Lud powstał. Pewnej nocy czarni urządzili rzeź w mieście, przeszło połowę mieszkańców, noszących białą tiarę, wymordowano, reszta uciekła poza granice Atlantydy.

Władzę w mieście Stu Złotych Bram zdobyli najbogatsi członkowie Czarnego Zakonu, tak zwani Magacytlowie, co znaczy „bezlitośni”, którzy głosili: „Zni-



szczy my ludzkość, gdyż jest ona przykrym zwidem umysłu”.

Ażeby w pełni upoić się widowiskiem śmierci, ustanowili na całej Ziemi uroczystości i igrzyska; otworzyli skarbcze państwowe oraz magazyny; przywieźli z północy białe dziewczęta i wydali je pospółstwu, rozwarli podwoje świątyń dla wszystkich, którzy byli spragnieni sprzecznych z naturą rozkoszy; napełnili winem fontanny i smażyli na placach mięsiwo. Szał oświadczył ludem. Działo się to na jesieni, w okresie winobrania.

W nocy, w świetle ognisk na placach, wśród oszalonego winem, tańcami, obżarstwem i uciechami miłosnymi motłochu — zjawili się Magacytlowie. Byli w wysokich hełmach, zakończonych kłującym grzebieniem, oraz w kolczugach, ale bez puklerzy. Prawą ręką rozrzucali kule z brązu, wybuchające zimnym, burzącym płomieniem, lewą zatapiaли miecz w ciała pijanych i oszalałych.

Krwawą orgię przerwał straszliwy podziemny wstrząs. Runął posąg Tubala, popękały mury, zwały się kolumny akweduktów, z głębokich rozpadlin buchnął płomień i chmury popiołu powlokły niebo.

Rankiem krwawy, zamglony dysk słońca oświetlił rumowiska, płonące ogrody, tłumy zmęczonych orgiami, na pół obłąkanych ludzi, stosy trupów. Wówczas Magacytlowie pośpieszyli do latających, jajowatego kształtu aparatów i zaczęli opuszczać Ziemię. Odlatywali w gwiazdną przestrzeń, do ojczyzny myśli abstrakcyjnej.

Gdy odleciało już wiele tysięcy aparatów, rozległ się czwarty, jeszcze potężniejszy wstrząs podziemny. Na północy, z mgły popiołów napłynęła fala oceaniczna i potoczyła się po ziemi, niszcząc wszystko, co żyło.

Zerwała się burza, pioruny biły w ziemię i w do-

mostwa ludzkie. Spadła ulewa, z wulkanu posypały się odłamki skalne.

A za murami wielkiego miasta, ze szczytu ogromnej, obłożonej złotem piramidy, poprzez ocean wody, poprzez dymy i popioły wciąż odlatywali w przestrzeń międzyplanetarną Magacytlowie. Pod wpływem tych wstrząsów rozpadła się ziemia Atlantydy. Miasto Złoty Bram pograżyło się w wzburzonych falach.

## GUSIEW OBSERWUJE MIASTO

Ichcia zupełnie straciła rozum. Spełniała bez wahania wszelkie prośby Gusiewa, stale wodziła za nim matowymi oczami. Było to śmieszne i żalosne. Gusiew traktował ją surowo, lecz sprawiedliwie. Gdy Ichcia słabła od nadmiaru uczuć, sadzał ją sobie na kolana, głaskał po głowie, drapał za uchem i opowiadał różne zabawne historyjki. Słuchała ogłupiała ze szczęścia.

Gusiew za wszelką cenę postanowił czmychnąć do miasta. Czuł się tutaj jak mysz w pułapce: w razie czego niesposób ani obronić się, ani uciec. Groziło im poważne niebezpieczeństwo, co do tego Gusiew nie miał wątpliwości. Rozmowy z Łosiem nie dały żadnych wyników. Łoś nie zamierzał uciekać, cały świat przesłoniła mu postać córki Tuskuba.

„Niespokojny z was człowiek, Aleksieju Iwanowiczu. No i cóż, że nas zabiją — kto jak kto, ale my chyba nie lękamy się śmierci. A jeśli tak — no to trzeba było siedzieć w Piotrogradzie, tam byłoby dla was najbezpieczniej”.

Ichcia na życzenie Gusiewa dostarczyła mu klucze od garażu, w którym stały skrzydlate łodzie. Zakradł się tam z latarnią i całą noc majstrował coś przy niewielkiej, niezawodnie szybkołotnej, dwuskrzydłej ło-



dzi. Mechanizm jej był nieskomplikowany. Malusieńki motorek poruszały drobiny białego metalu, rozpadającego się z monstualną siłą pod wpływem elektrycznej iskry. Energię elektryczną aparat czerpał w czasie lotu z powietrza, które wokół Marsa naładowane było prądami wysokiego napięcia — prąd rozsyłały elektrownie na biegunach. (Opowiadała o tym Aelita.)

Gusiew przepchnął łódź aż pod samą bramę garażu. Klucz zwrócił Ichci. W razie potrzeby zamek można było łatwo zerwać samemu.

Następnie postanowił rozciągnąć ścisły nadzór nad miastem Soacera. Icha nauczyła go włączać mgliste lustro. Mówiący ekran w domu Tuskuba można było łączyć jednostronnie, to znaczy samemu pozostawać niewidocznym i niesłyszczanym.

Gusiew zbadał całe miasto: place, ulice handlowe, fabryki i osiedla robotnicze. Dziwne życie przewijało się przed jego oczyma w zamglonym lustrze.

Niskie, ceglane hale fabryczne, blade przedostające się przez zakurzone okienka światło. Znękane, pomarszczone, o pustych, zapadniętych oczach twarze robotników. Wiecznie pracujące warsztaty i maszyny, zgarbione postacie, odmierzone ruchy rąk — ponure, beznadziejne, mrówcze życie.

Ukazywały się proste, jednostajne ulice dzielnic robotniczych, po nich wlokły się ze zwieszonymi głowami te same smutne postacie. Nudą tysiącleci wiało od tych ceglanych, czysto wymiecionych, bliźniaczo podobnych do siebie korytarzy. Odnosiło się wrażenie, że tu już nikt niczego się nie spodziewa.

Potem ukazały się dzielnice śródmiejskie: tarasowate domy, pstra zielen pnączy, mieniające się od słońca szyby, wystrojone kobiety; pośrodku ulicy stoliki, wąskie wazony pełne kwiatów; wirujący strojny tłum, czarne ubiory mężczyzn, fasady domów — wszystko

to odbijało się w gładkiej, połyskującej zielonkawo jezdni. Tuż nad głowami przemykały złote łódki, przeslizgiwały się cienie od ich skrzydeł; wychylały się roześmiane twarze, powiewały lekkie, kolorowe szale...

W mieście toczyło się podwójne życie. Na ten fakt zwrócił Gusiew uwagę. Jako człowiek z dużym doświadczeniem wyczuwał jednak, że prócz tych dwóch stron życia, istnieje i trzecia — podziemna. I rzeczywiście, po bogatych ulicach miasta, po parkach — wszędzie włóczyło się mnóstwo niechlujnie ubranych, zapijaczonych, młodych Marsjan. Wałęsali się bez żadnego celu, z rękoma w kieszeniach i gapili się na wszystko dokoła. „Oho — myślał Gusiew — znamy się na tym!”.

Ichcia wszystko mu dokładnie wyjaśniała. Tylko na jedno się nie godziła — na połączenie ekranu z Domem Rady Najwyższej Inżynierów.

Z przerażeniem potrząsała rudą czupryną, błagalnie składała ręce:

— Nie proś mnie o to, Synu Nieba, zabij mnie raczej, drogi Synu Nieba!

Pewnego razu — był to czternasty dzień ich pobytu — Gusiew jak zwykle rozsiadł się w fotelu, położył na kolanach tablicę rozdzielczą i pociągnął za sznur przy lustrzanej tafli.

Ukazał się dziwny obraz: na głównym placu stały grupki Marsjan, zaniepokojonych, szepczących coś między sobą. Z ulic znikły stoliki, kwiaty i kolorowe parasolki. Zjawił się oddział żołnierzy; szli trójkątem, podobni do niesamowitych lalek o kamiennych twarzach. Dalej, na ulicy handlowej, gromada biegnących ludzi, bijatyka i jakiś Marsjanin, który nagle wzniosł się pionowo w górę na swej skrzydlatej maszynie. W parku gromadziły się również takie same rozgorączkowane, rozmawiające szeptem grupy. W jednej



z fabryk — wzburzone tłumy robotników o podnieconych, ponurych, rozwścieczonych twarzach.

W mieście widocznie rozgrywały się jakieś niezwykle doniosłe wydarzenia. „O co chodzi?” — pytał Gusięw, potrząsając za ramiona Ichcię. Ale dziewczyna milczała, wpatrując się weń zamglonymi, zakochanymi oczyma.

## TUSKUB

Miasto ogarnął niepokój. Mamrotały coś i migotały lustrzane telefony. Na ulicach, w parkach, na placach zbierały się i plotkowały grupki Marsjan. Czekano na jakieś doniosłe wydarzenia, spoglądano w niebo. Niektórzy opowiadali, że gdzieś palą się składy suszonych kaktusów. W południe otworzono w mieście krany wodociągowe, buchnęła z nich woda, lecz nie trwało to długo... Wielu spośród mieszkańców usłyszało na południowym zachodzie wybuch. W domach zaklejano szyby papierowymi taśmami na krzyż.

Niepokój płynący z centrum miasta, z Domu Rady Najwyższej Inżynierów, rozchodził się po mieście.

Mówiono, że zachwiała się władza i potęga Tusku-ba, że zajdą duże zmiany. W strwożony tłum niby iskry wpadały pogłoski:

„W nocy zgaśnie światło”.

„Staną elektrownie na biegunach”.

„Zniknie pole magnetyczne”.

„W podziemiach Domu Rady Najwyższej uwięziono jakieś osobistości”.

Inaczej przyjmowano te pogłoski na krańcach miasta, w fabrykach, w dzielnicach robotniczych. Prawdopodobnie lepiej znano tu przyczyny ich powstawania. Z pewnym niepokojem, ale i złośliwą radością,



podawano z ust do ust wiadomość, że gigantyczny zbiornik wody, numer jedenasty, wysadzili robotnicy z podziemnej organizacji, że agenci rządowi szukają wszędzie składów broni, że Tuskub ściąga do Soacery wojska.

W południe prawie wszędzie przerwano pracę. Zaczęły się gromadzić tłumy, oczekiwano nowych wydarzeń, spoglądano z ciekawością na młodych, niechlujnie ubranych Marsjan, którzy przyszli nie wiadomo skąd i szwendali się z rękoma w kieszeniach.

Nad miastem przeleciały rządowe łodzie i deszcz białych ulotek posypał się z nieba na ulicę.

Rząd ostrzegał ludność przed szkodliwymi pogłoskami, rozpuszczanymi przez wrogów ludu, i podkreślał z naciskiem, że władza nigdy jeszcze nie była tak potężna i zdecydowana na wszystko.

Miasto na pewien czas przycichło, lecz niebawem znów zaczęły grasować coraz to groźniejsze pogłoski. Dokładnie wiedziano tylko jedno: dzisiejszego wieczoru ma się odbyć decydująca walka w Domu Rady Najwyższej Inżynierów pomiędzy Tuskubem a przywódcą ludności robotniczej Soacery — inżynierem Gorem.

Pod wieczór olbrzymie tłumy zaległy plac przed Domem Rady Najwyższej Inżynierów. Schody, wyjścia i dach budynku były strzeżone przez żołnierzy. Zimny wiatr napędził mgłę, w wilgotnych kłębach huśtały się latarnie rzucając czerwony, rozplywający się w zmierzchu blask. Niewyraźnie rysowały się we mgle ponure ściany gmachu. Wszystkie okna były rzęsiście oświetlone.

Pod ciężkim sklepieniem, w okrągłej sali na ławkach, ustawionych amfiteatralnie, siedzieli członkowie Rady Najwyższej. Twarze ich miały wyraz skupiony i czujny. Na ścianie, wysoko nad podłogą, w zamglo-



nym lustrze zmieniały się szybko widoki miasta — wnętrza fabryk, pośpiesznie przebiegające na skrzyżowaniach ulic postacie, kontury zbiorników wody, wieże elektromagnetyczne, jednostajne, bezładne gmachy składów, pilnowane przez żołnierzy. Ekran łączył się bez przerwy ze wszystkimi lustrami kontrolnymi w mieście. Oto ukazał się plac przed Domem Rady Najwyższej Inżynierów — ocean głów, ginące niekiedy we mgle, szerokie odblaski latarni. Sklepienia sali napęlił złowieszczy gwar tłumu.

Cienki gwizd ściągnął uwagę obecnych. Ekran zgasł. Przed amfiteatrem na podwyższeniu, pokrytym czarno-złotym brokatem, stanął Tuskub. Był blady, spokojny i posępny.

— W mieście panuje niepokój — powiedział Tuskub. — Miasto wzburzyła pogłoska, że są tacy, którzy dziś, tutaj, zamierzają się mi przeciwstawić. Sama ta pogłoska wystarczyła do zachwiania równowagi państwa. Taki stan rzeczy uważam za groźny i szkodliwy. Trzeba raz na zawsze zniszczyć źródło tego niepokoju. Wiem, że wśród nas są tacy, którzy jeszcze dziś w nocy roztrąbią moje słowa po mieście. Mówię otwarcie: w mieście panuje anarchia. Według informacji moich agentów, nie mamy dostatecznych sił w mieście i w kraju, by jej przeciwdziałać. Jesteśmy w przededniu zagłady świata.

Szmer przeleciał po amfiteatrze. Tuskub uśmiechnął się z obrzydzeniem.

— Siła burząca światowy ład, anarchia, płynie z miasta. Spokój ducha, naturalne przywiązanie do życia, potęga uczuć, wszystko to trwoni się tutaj na niepotrzebne rozrywki i wątpliwe przyjemności. Dym chawry — oto dusza miasta: dym i rojenia. Pstrokacizna ulicy, zgiełk, przepych złotych łódek i zazdrość tych, którzy z dołu spoglądają na te łódki. Kobiety, obnaża-

jące plecy i brzuchy, naperfumowane podniecającymi aromatami; kolorowe światełka, przebiegające po fasadach domów publicznych; latające nad miastem łódki-restauracje — oto miasto! Tutaj spokój duszy spala się na popiół. Dążeniem tych czczych dusz jest tylko jedno — żądza... Żądza oszołomienia... A dusze prze-syczone oszałamia tylko krew.

Wypowiadając te słowa Tuskub palcem przebił przestrzeń przed sobą... W sali rozległ się przytłumiony gwar. Tuskub ciągnął dalej:

— Miastu przyświeca ideał anarchii. Jej wołą, jej patosem jest burzenie... Niektórzy myślą, że anarchia to wolność, nie — anarchia pragnie tylko anarchii. Obowiązkiem państwa jest walczyć z burzycielami — to nakaz chwili! Anarchii powinniśmy przeciwstawić wolę ładu. Powinniśmy zmobilizować wszystkie zdrowe siły w naszym kraju i starając się ponieść jak najmniejsze straty, rzucić je do walki z anarchią. Wypowiadamy bezlitosną wojnę anarchii. Nasze środki ochrony mają znaczenie tymczasowe: prędzej czy później policja niechybnie ujawni swoją słabość. W czasie gdy my podwajamy ilość naszych agentów, liczba anarchistów rośnie do kwadratu. Pierwsi powinniśmy rozpocząć ofensywę i zdecydować się na surowe, lecz nieuniknione posunięcie, musimy zburzyć miasto, zgładzić je z oblicza ziemi.

Połowa amfiteatru wybuchła krzykiem i zerwała się z miejsc. Twarze Marsjan były blade, oczy płonęły. Tuskub spojrzeniem przywrócił ciszę.

— Tak czy inaczej miasto obróci się w perzynę — jest to nieuniknione. Wobec tego powinniśmy sami to zburzenie zorganizować. W odpowiedniej chwili omówię szczegółowo plan przesiedlenia zdrowej części ludności miasta do osiedli wiejskich. W tym celu powinniśmy wykorzystać bogaty kraj, położony po tam-



tej stronie gór Liziaziry, opuszczony po wojnie domowej przez mieszkańców. Czekają nas ogromna praca. Lecz przyświeca nam wielki cel. Rzecz jasna, że zburzenie miasta nie uratuje cywilizacji i nie odroczy nawet ani na chwilę jej kompletnej zagłady, lecz w ten sposób świat marsjański będzie mógł umrzeć spokojnie i z godnością.

— Co to ma znaczyć? — rozległy się wysokie, spłoszone głosy.

— Dlaczego musimy umrzeć?

— Oszalał!

— Precz z Tuskubem!

Tuskub chmurząc brwi znów zmusił amfiteatr do ciszy.

— Historia Marsa jest zakończona. Życie wymiera na naszej planecie. Znaczący statystykę urodzin i śmierci. Minie zaledwie kilka stuleci i ostatni Marsjanin stygnącym wzrokiem po raz ostatni spojrzy na zachodzące słońce. Żadną miarą nie możemy powstrzymać wymierania. Przy użyciu surowych i mądrych środków powinniśmy uczynić ostatnie dni świata szczęśliwymi i wspaniałymi. Sprawą pierwszą i zasadniczą jest zniszczenie miasta. Cywilizacja wzięła od niego wszystko, teraz jest ono powodem rozkładu cywilizacji i musi zginąć.

W środku amfiteatru podniósł się Gor — szerokolicy, młody Marsjanin, którego Gusiew widział już w luście.

Mówił wzburzoną głosem wyciągając rękę w kierunku Tuskuba.

— On łże! Chce zniszczyć miasto, by zachować władzę. Skazuje nas na śmierć, by nie utracić władzy. Wie, że uda mu się to jedynie za cenę śmierci milionów. Wie, jak nienawidzą go ci, którzy nie latają w złotych łódkach, którzy rodzą się i umierają w pod-

ziemnych fabrycznych miastach, którzy włączając się w dni świąteczne po zakurzonych korytarzach, ziewają od beznadziejnej nudy, którzy szukając zapomnienia, wdychają zapamiętałe dym przekłętej chawry. Tuskub przygotował dla nas łożo śmierci, niech sam się na nim położy. Nie chcemy umierać. Urodziliśmy się po to, żeby żyć. Wiemy, że naszej planecie grozi wyludnienie. Lecz możemy zaproponować coś, co nas przed tą groźbą uchroni. Uratuje nas Ziemia, ludzie z Ziemi, zdrowa, świeża rasa, w której żyłach płynie gorąca krew. Oto, kogo najbardziej na świecie boi się Tuskub. Ukryłeś w swoim domu, Tuskubie, dwóch ludzi, którzy przylecieli z Ziemi. Boisz się Synów Nieba. Jesteś mocny tylko wśród słabych i odurzonych chawrą. Kiedy przyjdą tu silni, o gorącej krwi, wówczas staniesz się cieniem, koszmarem nocnym, znikniesz jak mara. Tego właśnie lękasz się najbardziej na świecie. Specjalnie wymyśliłeś anarchię, a teraz znów to wstrząsające umysły zburzenie miasta. Tobie potrzebna jest krew — jesteś spragniony krwi. Pragniesz odwrócić uwagę ogółu po to, aby móc sprzątnąć tych dwóch śmiałków, ludzi, którzy mogą nas uratować. Wiem, że rozkazałeś już...

Gor nagle urwał. Jego twarz pociemniała od wysiłku. Tuskub utkwiał ciężkie spojrzenie spod nachmurzonych brwi w jego oczach.

— ...Nie zmusisz mnie... Nie będę milczał! — Gor zachrypl. — Wiem, że wtajemniczony jesteś w diabelskie praktyki starożytnych... Nie boję się twoich oczu...

Gor z trudem otarł szeroką dłońią pot z czoła. Westchnął głęboko i zachwiał się. W ciszy, która zapanała wśród wstrzymującego oddech amfiteatru, osunął się na ławkę, głowa opadła mu na ręce. Słychać było, jak zazgrzytał zębami.



Tuskub uniósł brwi i spokojnie ciągnął dalej:

— Liczyć na przesiedleńców z Ziemi? Za późno. Wlewać świeżą krew do naszych żył? Za późno. Za późno i zbyt okrutne. Przedłużylibyśmy tylko agonię naszej planety. Zwiększylibyśmy jej cierpienia, gdyż niewątpliwie zostalibyśmy niewolnikami zwycięzców. Zamiast spokojnego i majestatycznego zachodu cywilizacji, znów będziemy musieli przeżywać nużące cykle stuleci. Po co? Po co my, stanowiący zgrzybiałą rasę mędrców, mamy pracować na zdobywców? Ażeby żądni życia dzikusy wygnali nas z pałaców i ogrodów, ażeby zmusili nas do budowania nowych zbiorników wody i do wydobywania rudy, ażeby znów równina Marsa rozbrzmiała zgiełkiem wojny? A może, ażeby znów zapęłnić nasze miasta rozpustnikami i obłąkanymi? Przenigdy! Powinniśmy spokojnie umrzeć na progach naszych domostw. Niech czerwone promienie Talcetla przyświecają nam z daleka. Nie wpuścimy tu cudzoziemców. Zbudujemy nowe elektrownie na biegunach i otoczymy naszą planetę panczerem nie do przebicia. Zburzymy Soacere — gniazdo anarchii i szaleńczych nadziei; tu, tu się narodził zbrodniczy plan nawiązania stosunków z Ziemią. Zaorzemy place. Zostawimy tylko niezbędne do życia instytucje i przedsiębiorstwa. Do pracy w nich zmusimy przestępców, alkoholików, obłąkanych i tych wszystkich, którzy marzą o nieziszczalnym. Zakujemy ich w kajdany. Darujemy im życie, którego tak są spragnieni. Tym wszystkim, którzy zgadzają się z nami, przydzielimy posiadłości ziemskie i zabezpieczymy komfortowe życie. Dwadzieścia tysięcy katorżnej pracy uprawniają nas chyba do cichego, beczynnego, kontemplacyjnego życia. Koniec cywilizacji uwieńczony zostanie złotym wiekiem. Zorganizujemy święta ludowe i wspaniałe rozrywki. Ponieważ życie nasze będzie upływało w spokoju, przewidziany

przeze mnie okres bytowania na Marsie, być może, przedłuży się nawet o kilka stuleci.

Amfiteatr słuchał w milczeniu jak zaczarowany. Plamy pokryły twarz Tuskuba. Zamknął oczy, jak gdyby wpatrzony w przyszłość. Urwał w pół słowa...

...Głuchy, wielogłosy gwar tłumu z zewnątrz wdarł się pod sklepienie sali. Gor podniósł się. Twarz miał wykrzywioną. Zerwał z głowy czapkę i cisnął ją przed siebie. Z wyciągniętą ręką rzucił się, przeskakując z ławki na ławkę, w kierunku Tuskuba. Dopadłszy go, schwycił za gardło i zrzucił z brokatowego podwyższenia. Potem odwrócił się do amfiteatru, trzymając wciąż wyciągniętą przed siebie rękę i ochrypłym głosem zawołał:

— A więc dobrze! Śmierć! Niech będzie śmierć! Dla was!... Dla nas — walka...

Kilka osób krzycząc zerwało się ze swoich miejsc i pobiegło w dół, do leżącego na wznak Tuskuba.

Gor rzucił się w kierunku drzwi. Łokciem odepchnął żołnierza. Poły jego czarnej, rozwiewającej się peleryny mignęły przy wyjściu na plac. Gdzieś z daleka rozległ się jego głos. Tłum zaczął wyć jak rozszałaly wichy.

## ŁOŚ POZOSTAJE SAM

Rewolucja, Mstisławie Siergiejewiczu. Całe miasto przewróciło się do góry nogami. Mówię wam — sto pociech!

Gusiew stał w bibliotece. W jego sennych zazwyczaj oczach migotały wesole iskiery, nos miał podniesiony do góry, wąsy nastroszone. Ręce wsadził głęboko za rzemienny pas.

— Zapakowałem już wszystko, co trzeba, do łódki:



żywność, granaty. Jakiś tam ich karabinek zdobyłem. Chodźcie prędzej, rzućcie książkę, lecimy.

Łoś siedział, podkuliwszy nogi, w rogu kanapy i niewidzącym spojrzeniem patrzył na Gusiewa. Od dwóch już godzin czekał na przyście Aelity, podchodził do drzwi, nasłuchiwał — w pokojach Aelity panowała cisza. Znów siadał na kanapie i czekał na odgłos jej kroków. Wiedział, że te lekkie kroki będą dla niego czymś niezwykłym, niebiańskim! Aelita wejdzie, tak jak zawsze, jeszcze piękniejsza, jeszcze bardziej zdumiewająca, niż się spodziewał; przesunie się w świetle padającym z górnych okien i nad lustrzaną posadzką frunie jej czarna suknia. Wszystko w nim zadrży. Całe jego jestestwo drgnie i zamrze jak przed burzą.

— Gorączkę macie, czy co, Mstisławie Siergiejewiczu? Czego tak dziwnie patrzycie? Mówię wam, że trzeba lecieć, wszystko jest przygotowane, chcę was ogłosić komisarzem na Marsie. Sprawa jest czysta.

Gusiew spojrział na Łosia takim wzrokiem, że ten aż głowę opuścił.

— Co się dzieje w mieście? — spytał cichym głosem.

— Diabli wiedzą. Na ulicach kupy ludzi, ryk. Rozbijają szyby.

— Polecie tam, Aleksieju Iwanowiczu, tylko wróćcie dziś w nocy koniecznie. Obiecuję pomoc we wszystkim, na czym wam będzie zależało. Róbcie rewolucję, wyznaczajcie mnie komisarzem, a jeśli trzeba będzie, to mnie rozstrzelajcie. Ale dziś, błagam was, dajcie mi spokój. Zgoda?

— Zgoda! — powiedział Gusiew. — To przez kobiety całe to zamieszanie, niech je gęś kopnie — za siedem gór człowiek polecą, a i tam babę spotka, tfu! Wróć o północy. Ichcia przypilnuje, aby nie zrobiono na mnie donosu.

Gusiew odszedł. Łoś znów wziął książkę i pogрузzył się w rozmyślaniach.

„Czym się to skończy? Czy burza miłosna przejdzie obok. Nie, nie ominie go. Czy cieszy go to uczucie napiętego, śmiertelnego wyczekiwania na chwilę, w której otworzy się przed nim jakiś nie dający się uzmysłowić świat? To uczucie nie jest ani radością, ani smutkiem, ani żądzą, ani ukojeniem... To, co odczuwa, gdy Aelita jest przy nim — to po prostu wchłanianie życia w lodowatą samotność swojego ciała. Pod tymi promiennymi oknami, po lustrzanej posadzce wkracza weń życie. Ale to znowu tylko sen. Jeżeli stanie się to, czego pragnie, życie powstanie w niej, w Aelicie. Wypełni ją wówczas po brzegi urzeczywistnienie się, dreszcz ciała. A jego udziałem znów będzie tęsknota i samotność”.

Nigdy jeszcze tak wyraźnie nie odczuwał Łoś beznadziejnego pragnienia miłości, nigdy jeszcze nie uświadamiał sobie tak jaskrawie tego oszustwa miłości, straszliwego zastąpienia siebie przez istotę płci odmiennej: tego przekleństwa mężczyzny. Pragnął szeroko, we wszechświat, rozrzucić ramiona, otworzyć objęcia, czekać i przyjąć w nie kobietę. I cóż? Kobieta zabierze wszystko i będzie żyła. A on — kochanek, ojciec — pozostanie jak pusty cień o rozrzuconych między gwiazdami ramionach.

Aelita miała rację: niepotrzebnie o tak wielu rzeczach dowiedział się ostatnio, zbyt szybko wzbogacał świadomość. W jego ciele krąży jeszcze gorąca krew, przepełniają go do szpiku kości niespokojne nasiona życia — jest synem Ziemi. Lecz myśl wyprzedziła go o tysiące lat: tu, na tej innej Ziemi, dowiedział się o tym, o czym mu wiedzieć jeszcze nie było wolno. Z umysłu opadły zasłony i powiało nań lodowatą pus-



tynią. Co wykrył jego umysł? Pustynię, a tam, za jej krańcami nowe tajemnice.

Zmusz ptaka, który w promieniach słońca śpiewa z zamkniętymi oczyma, ogarnięty zachwytem i wzruszeniem, by zrozumiał choćby okruszynę ludzkiej mądrości — ptak padnie martwy.

Za oknem rozległ się przeciągły gwizd odlatującej łódki. Po chwili do biblioteki zajrzała Icha.

— Chodź na obiad, Synu Nieba...

Łoś szybko skierował się do stołowego — białego, okrągłego pokoju, gdzie w ciągu ostatnich dni jadał obiady z Aelitą. Było tu gorąco. Przepiękne kwiaty w wysokich wazonach wydzielaly oszałamiający zapach. Icha położyła białe kwiaty przy nakryciu Aelity i odwracając zaczerwienione od płaczu oczy, powiedziała:

— Zjesz obiad sam, Synu Nieba.

Łoś sposepniał. Z ponurą miną usiadł przy stole. Nie dotknął jedzenia — kruszył tylko chleb i wypił kilka pucharów wina.

Z głębi lustrzanej kopuły nad stołem rozległa się, jak zwykle podczas obiadu, cicha muzyka. Łoś zacisnął zęby.

Płynęły dwa głosy — głos strun i głos fletu. Dźwięki te zlewały się, spletały, śpiewały o nieziszczalnym. Wreszcie biorąc najwyższe tony zamierały i oddalały się od siebie. I znowu głębokie, niskie dźwięki brzmiały pełnymi tęsknoty głosami, nawoływały się z niepokojem i znów śpiewały o spotkaniu, zbliżały się i wirowały niby melodia starego, prastarego walca.

Łoś siedział zaciskając wąski puchar w dłoni. Stańawszy za kolumną Icha uniosła skraj sukni i schowała twarz — ramiona jej drgały. Łoś odrzucił serwetkę

i wstał. Tęskna muzyka, duszny aromat kwiatów, słodko-gorzkie wino — wszystko na próżno.

Zbliżył się do Ichy.

— Czy mogę widzieć Aelitę?

Nie odsłaniając twarzy Icha potrząsnęła rudą czupryną. Łoś ujął ją za ramię.

— Co się stało? Czy jest chora? Muszę ją zobaczyć.

Icha prześliznęła się pod łokciem Łośia i uciekła. Na podłodze koło kolumny pozostała zgubiona przez Ichę fotografia. Mokre od łez zdjęcie wyobrażało Gusiewa w pełnym bojowym rynsztunku — hełm, rzemień na piersi, jedna ręka na rękojeści szabli, w drugiej rewolwer, tło stanowiły wybuchające granaty; podpis brzmiał: „Czarującej Ichci na wieczną pamiątkę”.

Łoś odrzucił fotografię, wyszedł na dwór i ruszył łąką w kierunku lasku. Robił ogromne kroki, nie zdając sobie z tego sprawy, i mamrotał przy tym:

— Nie chce mnie widzieć — nie trzeba. Trafić do innego świata, uczynić bezprzykładny wysiłek po to, by siedzieć w rogu kanapy i wyczekiwać, kiedy wreszcie nadejdzie kobieta... To obłąd! Opętanie! Gusiew ma rację — to maligna! „Oszołomił was słodki zapach kwiatów”. Czekać na czułe spojrzenia jak na zbawienie świata... Do diabła!

Te myśli kłuły go dotkliwie. Wydawał chwilami jęk jak przy bólu zębów. Nie obliczając siły podskakiwał parę metrów w górę i spadał, z trudem utrzymując się na nogach. Wiatr rozwiewał jego białe włosy. Straszliwie nienawidził samego siebie.

Dobiegł do jeziora. Woda była jak lustro; na jej czarnogranatowej powierzchni płonęły snopy promieni słonecznych. Było duszno. Łoś usiadł na kamieniu, podparłszy rękami głowę.

Z przezroczystej głębi jeziora powoli podnosiły się



okrągłe, purpurowe ryby o długich ruchliwych igłach i obojętnie patrzyły na Łosia wodnistymi oczyma.

— Czy słyszycie mnie, głupie, wylupiastookie ryby — półgłosem spytał Łoś. — Jestem spokojny, mówię zupełnie przytomnie. Dręczy i pali mnie ciekawość; pragnę chwycić ją w objęcia, gdy wchodzi w swojej czarnej sukni do pokoju. Pragnę usłyszeć, jak gwałtownie zacznie uderzać jej serce. Wiem, że wtedy sama przedziwnym ruchem przysunie się do mnie. Wiem, że jej oczy zalśnią niesamowicie... Widzicie, ryby — zatrzymałem się, przerwałem, nie myślę, nie chcę. Dosyć. Niteczka została zerwana — koniec. Jutro do miasta. Walka — doskonale. Śmierć — doskonale. Byle nie muzyka, nie kwiaty, nie złudne omamienie. Mam już dość zaduchu. Magiczna kulka na jej dłoni — precz z tym, do diabła, to wszystko jest kłamstwem, ułudą!...

Łoś wstał, podniósł duży kamień i cisnął w gromadę ryb. Głowa mu pękała z bólu. Światło razито w oczy. Z daleka lśnił lodowcami ostry, wznoszący się za lasem, szczyt górski. „Trzeba odetchnąć lodowatym powietrzem”. Łoś zmierzył okiem przestrzeń dzielącą go od diamentowej góry i poprzez błękitnawe zarośla ruszył w jej kierunku.

Drzewa skończyły się, przed nim leżało bezładne połałdowane płaskowzgórze — a na jego dalekim krańcu lodowy szczyt. Na drodze, pod nogami, chrzęścił żużel i żwir; wszędzie widniały otwory porzuconych kopalń. Łoś uparcie postanowił zatopić zęby w ten iskrzący się z daleka śnieg.

Z boku, z wąwozu, unosił się brązowy obłok pyłu. Gorący wiatr przyniósł rozgwar mnóstwa głosów. Z wysokości pagórka Łoś zobaczył wielką grupę Marsjan, wlokących się po wyschniętym łożysku kanału. Nieśli noże osadzone na długich kijach, kilofy i młoty do rozbijania rudy. Szli potrząsając bronią i ryczeli dzi-

kimi głosami. Za nimi, nad brązowym obłokiem, płynęły drapieżne ptaki.

Łoś przypomniał sobie dawne słowa Gusiewa i pomyślał: „Tak — żyj, walcz, zwyciężaj, giń... A serce, szalone, nieszczęśliwe serce — trzymaj na uwiezi”.

Tłum skrył się za górami. Łoś szedł szybko, poruszony tym spotkaniem i mającą się rozegrać walką, ale nagle przystanął i spojrział w górę. Na granatowym niebie płynęła, zniżając swój lot, skrzydlata łódź. Oto błysnęła, zatoczyła koło, coraz niżej i niżej, prześliznęła się nad głową i osiadła na ziemi.

W łodzi podniosła się postać owinięta w białe jak śnieg futro. Spod skórzanego hełmu patrzyły na Łosia wzruszonym spojrzeniem oczy Aelity. Serce w nim załomotało. Zbliżył się do łódki. Aelita odchyliła wilgotny od oddechu futrzany kołnierz. Pociemniałym wzrokiem wpatrywał się Łoś w jej twarz.

— Chcę cię zabrać stąd — powiedziała. — Byłam w mieście. Musimy uciekać. Umieram z tęsknoty za tobą.

Łoś chwycił palcami burtę łódki i z trudem łapał oddech.

## CZARY

Łoś usiadł za Aelitą. Pilot — czerwonoskóry chłopiec — zapuścił motor i skrzydlata łódź łagodnie uniosła się w górę.

Zimny wiatr runął im na spotkanie. Białe jak śnieg futerko Aelity przepojone było świeżością burzy, górskim chłodem. Aelita odwróciła się do Łosia, jej policzki płonęły.

— Widziałam ojca. Kazał mi zabić ciebie i twojego towarzysza. — Błysnęły jej zęby. Rozwarła palce. Do



jej pierścienia przymocowany był na łańcuszku kamienny flakonik. — Ojciec powiedział mi: „Niech usną spokojnie, zasłużyli na szczęśliwą śmierć”.

Szare oczy Aelity zwilgotniały. Lecz w tej samej chwili roześmiała się i ściągnęła pierścień z palca. Łoś chwycił ją za rękę.

— Nie rzucaj — odebrał jej flakonik i włożył do kieszeni. — Ta ciemna kropelka to twój dar, Aelito. To sen, to spokój. Teraz ty jesteś życiem i śmiercią. — Schylił się ku niej tak, że poczuł jej oddech. — Gdy nadejdzie straszna godzina samotności, znów odczuję cię w tej kropelce.

Usiłując zrozumieć jego słowa, Aelita zamknęła oczy i oparła się o Łosia. Nie, i tak nie podobna go zrozumieć. Jej plecy opierają się o gorącą pierś Łosia, jego ręka dotyka białego futra na jej ramieniu — wydaje się, że ta sama krew krąży w ich żyłach, że ogarnął ich ten sam zachwyty, że stanowią jedno ciało i że razem lecą w jakieś pradawne, promienne wspomnienie.

Minęło kilka minut. Łódka zrównała się teraz z wysokością pałacu Tuskuba. Mechanik odwrócił się. Twarze Łosia i Aelity miały jakiś dziwny wyraz. W źrenicach ich świeciły złociste punkciki. Wiatr poruszał śnieżnobiałą sierść futerka Aelity. Jej pełne zachwyty oczy utkwione były w świetlistym oceanie nieba.

Chłopiec-pilot schował swój ostry nos w kołnierz i roześmiał się bezdźwięcznie. Położył łódź na skrzydło i tnąc powietrze stromym skosem, wylądował koło domu.

Aelita ocknęła się i zaczęła rozpinąć futerko, lecz jej palce ślizgały się po ptasich łebkach na wielkich guzikach. Łoś wyniósł ją z łódki, postawił na trawie i schylony stał przed nią.

— Przygotuj zamkniętą łódź — powiedziała Aelita do chłopca.

Uśmiechając się i raz po raz w roztargnieniu odwracając się do Łosia, szła przed nim w głąb domu, do siebie, nie spostrzegając przy tym ani czerwonych zapłakanych oczu Ichci, ani żółtej jak melon, przerażonej twarzy zarządzającego.

Po raz pierwszy zobaczył Łoś pokoje Aelity — niskie, złote sklepienia, ściany pokryte malowidłami sylwetkowymi, przypominającymi figurki na chińskiej parasolce — poczuł przyprawiający o zawrót głowy gorzka-wo-ciepły aromat.

— Siadaj — rzekła cichutko Aelita.

Łoś usiadł. Przyłgnęła do jego nóg, położyła mu głowę na kolanach, ręce na piersi i zamarła w bezruchu.

Z rozrzewnieniem patrzył na jej wysoko ułożone popielate włosy, trzymał jej ręce. Wargi Aelity drgnęły. Łoś się pochylił.

— Może nudzisz się ze mną? — zapytała. — Wybac. Nie umiem jeszcze kochać. Czuję się niepewnie. Powiedziałam do Ichy: kiedy on zostanie sam, postaw jak najwięcej kwiatów w stołowym pokoju i niech przygrywa mu uła.

Aelita oparła się łokciami o kolana Łosia. Twarz jej przybrała wyraz marzycielski.

— Słyszałeś? Zrozumiałeś? Myślałeś o mnie?

— Widzisz i wiesz — powiedział Łoś. — Kiedy nie widzę cię, wariuję wprost z niepokoju. Kiedy cię widzę — mój niepokój jest jeszcze większy. Wydaje mi się teraz, że to tęsknota za tobą pędziła mnie przez gwiazdy.

Aelita głęboko westchnęła. Twarz zajaśniała szczęściem.

— Ojciec dał mi truciznę, ale wiedziałam, że mi nie wierzy. Powiedział: „Zabiję ciebie i jego”. Niewiele nam zostało do życia. Lecz przecież czujesz — otwierają się przed nami chwile nieskończonej błogości.



Urwała, gdyż dostrzegła, że w oczach Łosia zapłonęło twarde postanowienie — uparcie zacisnął usta.

— Dobrze — powiedział. — Będę walczyć.

Aelita przysunęła się doń i szepnęła:

— Jesteś olbrzymem z moich dzieciennych snów. Masz cudowną twarz. Jesteś silny, jesteś Synem Nieba. Jesteś mądry i mężny. Twoje ręce są z żelaza, kolana — z kamienia. Twoje spojrzenie zabija. Od twójego spojrzenia kobietom drętwieje serce.

Głowa Aelity bezsilnie opadła na jego ramię. Słowa stały się niewyraźne, ledwo dosłyszalne. Łoś odsunął włosy z jej twarzy.

— Co ci jest?

Wówczas raptownie, jak dziecko zarzuciła mu ramiona na szyję. Wielkie łzy potoczyły się po jej szczupłej twarzyczce.

— Nie umiem kochać — powiedziała — nie znałam tego nigdy... Zlituj się nade mną, nie gardź mną! Będę ci opowiadać ciekawe historie. Opowiem o strasznych kometach, o walce statków powietrznych, o zagładzie wspaniałego kraju po tamtej stronie gór. Nie zaznasz nudy kochając mnie. Nigdy nikt mnie nie pieścił. Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, pomyślałam: „Widziałam go już w dzieciństwie, to jest mój olbrzym”. Pragnęłam, byś wziął mnie na ręce i zabrał stąd. Tu jest ponuro, beznadziejnie, tu jest śmierć, śmierć. Słońce grzeje skąpo. Lodowce już nie tają na biegunach. Wysychają morza. Nieskończone pustynie, miedziane piachy pokrywają Tumę... Ziemia, Ziemia!... Kochany olbrzymie, zabierz mnie na Ziemię. Chcę widzieć zielone góry, strumienie wód, obłoki, zwierzyne, wielkoludów... Nie chcę umierać...

Aelita tonęła we łzach. Wydawała się teraz Łosiovi zupełnie małą dziewczynką. Bawił go i budził w nim

czułość ruch, którym klasnęła w dłonie, mówiąc o wielkoludach.

Łoś ucałował jej zapłakane oczy. Zamilkła, ale uszczeczka drgały. Spoglądała na niego jak na bajkowego olbrzyma zakochanym, zachwyconym spojrzeniem.

Nagle w półmroku, panującym w pokoju, rozległ się cichy gwizd i w tej samej chwili zapłonęło zamglonym światłem owalne lustro na toaletowym stoliku. Ukazała się głowa patrzącego przenikliwym wzrokiem Tuskuba.

— Jesteś? — zapytał.

Aelita niby kotka zeskoczyła na dywan i podbiegła do ekranu.

— Jestem tu, ojcze.

— Czy Synowie Nieba żyją jeszcze?

— Nie, ojcze. Dałam im truciznę; są martwi.

Mówiła w sposób zimny i szorstki. Stała plecami do Łosia, zasłaniając sobą ekran.

— Czego życzysz sobie jeszcze, ojcze?

Tuskub milczał. Plecy Aelity zaczęły podnosić się do góry, głowa odchyliła się do tyłu.

— Łiesz! — ryknął rozwścieczonym głosem Tuskub. — Syn Nieba jest w mieście. Stań na czele powstańców!

Aelita zachwiała się. Głowa ojca znikła.

## PIEŚŃ Z ZAMIERZCHŁYCH CZASÓW

**A**elita, Ichcia i Łoś lecieli łodzią o czterech skrzydłach w kierunku gór Liziaziry.

Radioodbiornik elektromagnetycznych fal pracował bez przerwy — był to maszt ze skrawkami drutu. Pochylona nad maleńkim ekranem Aelita nasłuchiwała i patrzała.

Trudno było się połapać w powodzi tych rozpaczli-



wych telefonogramów, wołań, krzyków i niespokojnych pytań, lecących i wirujących po magnetycznych polach Marsa. Jednak niemal bez przerwy rozbrzmiewał stalowy głos Tuskuba, przenikał cały ten chaos i panował nad nim. W lusterku przeszliżgiwały się cienie wzburzonego świata.

Kilka razy w tym pomieszaniu dźwięków ucho Aelity odróżniało dziwny głos wołający przeciągle:

„...Towarzysze, nie słuchajcie szeptanej propagandy... niepotrzebne nam są żadne ustępstwa... do broni, towarzysze, wybiła ostatnia godzina... cała władza rad... rad... rad...”

Aelita odwróciła się do Ichci:

— Twój przyjaciel jest szaleńczo odważny, jest to prawdziwy Syn Nieba, nie bój się o niego.

Ichcia, niby koza, tupnęła nóżką i potrząsnęła rudą czupryną. Aelicie udało się stwierdzić, że ich ucieczka nie została zauważona. Zdjęła z uszu słuchawki. Palcami przetarła zapoconą szybkę iluminatora.

— Spójrz — powiedziała do Łosia — za nami lecą ichi.

Łódź płynęła na ogromnej wysokości nad Marsem. Obok łódki, w oślepiającym świetle dnia, leciała na błoniastych skrzydłach para pokrytych burą sierścią, wyliniałych zwierząt. Ich okrągłe głowy o płaskim, uzębionym dziobie zwrócone były ku okienkom. Oto jedno z nich, zobaczywszy Łosia, dało nura i uderzyło paszczą o szybkę. Łoś odsunął głowę, Aelita roześmiała się.

Minęli Azorę. Na dole przed nimi ciągnęło się skaliste pasmo Liziaziry. Łódź zaczęła obniżać lot, przeleciała nad jeziorem Soam i wylądowała na dość obszer-  
nym, zawieszonym nad przepaścią placyku.

Łoś wraz z pilotem wciągnęli łódź do groty, wzięli na ramiona kosze i zaczęli schodzić w ślad za kobieta-

mi po ledwo dostrzegalnych wśród skał, wytartych na skutek wielowiekowego używania schodach. Aelita lekko i szybko szła przodem. Przytrzymując się występów skalnych, rzucała uważne spojrzenia na Łosia. Spod jego wielkich nóg leciały kamienie i echo rozlegało się w przepaści.

— Tędy schodził Magacytl, niosąc różdżkę pokoju — powiedziała Aelita. — Zaraz zobaczysz to miejsce, gdzie płonęły kręgi świętych ognisk.

W połowie drogi schody skręciły w głąb skały do wąskiego tunelu. Z mroku powiało wilgocią. Zahażając o kamienne stropy plecami i nisko pochylając głowę, Łoś z trudem poruszał się między wypolerowanymi ścianami. Po omacku znalazł ramię Aelity i poczuł na wargach jej oddech... „Kochana” — szepnął po rosyjsku.

Tunel zakończył się na wpół oświetloną pieczarą. Dookoła błyszcząły bazaltowe kolumny. W głębi unosiły się kłęby pary. Szemrała woda, z niewidocznych w mroku sklepień pieczary jednostajnie spadały krople.

Aelita szła przodem. Jej czarny płaszcz i ostro zakończony kapturek prześlizgiwały się nad jeziorem, ginąc niekiedy w obłokach pary. „Ostrożnie” — powiedziała z ciemności i ukazała się na wąskim, stromym łuku starożytnego mostu. Łoś poczuł, że pod jego nogami drga sklepienie mostu, lecz wszystko mu przysłaniał lekki, majaczący przed nim w półmroku płaszcz.

Stawało się coraz jaśniej. Nad głową zabłysły kryształły. Grota zakończyła się kolumnadą z niskich kamiennych słupów. Za nimi ukazała się zalana słońcem panorama skalistych szczytów i górskich zbiorników wody Liziaziry.

Po drugiej stronie kolumnady znajdował się obszerny, porośnięty rdzawym mchem taras. Brzegi jego two-



rzyły strome urwiska. Ledwo dostrzegalne schody i ścieżki prowadziły w górę do miasta w grotach. Pośrodku tarasu leżał do połowy zapadły w grunt, porośnięty mchem Święty Próg. Był to wielki sarkofag z masywnego złota, ze wszystkich stron pokryty prymitywnymi wizerunkami ptaków i zwierząt. Spoczywał na nim posąg śpiącego Marsjanina, który jedną rękę miał podłożoną pod głowę, drugą przyciskał do piersi ułłę. Ruiny kolumnady otaczały tę zadziwiającą rzeźbę.

Aelita uklękła przed Progiem i pocałowała w serce posąg śpiącego. Kiedy wstała, twarz jej przybrała wyraz łagodny i zamyślony. Icha również uklękła u nóg śpiącego, objęła je i przytuliła się do nich twarzą.

Z lewej strony skały, pomiędzy na wpół startymi napisami, widać było trójkątne, złote drzwiczki. Łoś zeskrobał z nich mech i z trudem je otworzył. Była to starożytna siedziba strażnika Progu — ciemna pieczara, kamienne ławki, palenisko i granitowe łoże. Wnieziono tu kosze. Icha przykryła podłogę matą, posłała dla Aelity łóżko, nalala oliwy do zawieszzonego pod sufitem kaganka i zapaliła go. Pilot poszedł pilncwać skrzydlatej łodzi.

Aelita i Łoś siedzieli na skraju przepaści. Słońce chowało się za ostre szczyty górskie. Długie cienie ciągnęły się od gór i załamywały się w przepaściach górskich. Posępny, bezpłodny i dziki był ten kraj, w którym ukrywali się niegdyś przed ludźmi starożytni Aolowie.

— Kiedyś te góry pokrywała roślinność — powiedziała Aelita. — Pasły się tu stada chaszy, a na dnie przepaści szumiała woda. Tuma umiera. Zamyka się cykl długich, długich tysiącleci. Być może jesteśmy ostatnimi mieszkańcami Tuma: odejdziemy i Tuma opustoszeje.

Aelita umilkła. Słońce zaszło w pobliżu, za zębate

pasmo górskie. Płonąca krew zachodu rozlała się wysoko na niebie w liliowym półmroku.

— Serce mówi mi jednak co innego — Aelita wstała i idąc wzdłuż urwiska, podnosiła kawałeczki suchego mchu i suche gałązki. Zebrawszy je do płaszcza, wróciła do Łosia i ułożyła stos, po czym przyniosła z pieczary kaganek i klęcząc podpaliła trawy. Rozpalające się gałązki zatrzeszczały.

Wówczas Aelita wyciągnęła spod płaszcza maleńką ułłę i opierając się łokciami o kolano dotknęła strun. Struny zabrzęczały delikatnie jak pszczoły. Aelita podniosła głowę ku zapalającym się w mroku nocy gwiazdom i zaczęła śpiewać cichym, niskim i smutnym głosem:

Zbierz suche trawy, pomiot zwierząt i gałązki, ułóż je dobrze.  
Kamieniem o kamień uderz, kobieto, przewodniczeko dwóch  
dusz,

Wyrzesaj iskrę — i niech stos zapłonie.  
Siądź przy ognisku, wyciągnij ręce nad ogniem,  
Mąż twój siądzie po drugiej stronie tańczących płomieni.  
Poprzez pasma wznoszącego się ku gwiazdom dymu  
Oczy mężczyzny patrzą w głąb twego ciała, w głąb twojej  
duszy.

Oczy jego płoną bardziej niż gwiazdy, są gorętsze niż ogień,  
odważniejsze niż fosforyzujące oczy Cza.

Pamiętaj, że słońce się zamieni w zimny węgiel,  
Znikną gwiazdy na niebie, zgaśnie zły Talcetł nad światem,  
Lecz ty, nieśmiertelna kobieto, siedzisz koło ogniska,  
wyciągając ręce do płomieni,

I słuchasz głosu tych, co czekają zbudzenia do życia,  
Głosu, wydobywającego się z mroku twojego ciała.

Ognisko się dopalało. Opuściwszy ułłę na kolana, Aelita patrzyła na żarzące się węgle — czerwony odblask padał na jej twarz.

— Według starożytnych zwyczajów — powiedziała surowo — kobieta, która zaśpiewała mężczyźnie pieśń ułły, staje się jego żoną.



## ŁOŚ LECI Z POMOCĄ GUSIEWOWI

○ północy Łoś wyskoczył z łodzi, która lądowała w ogrodzie posiadłości Tuskuba. Okna domu były ciemne — a więc Gusiew nie wrócił jeszcze. Pochyliła ścianę oświetlały gwiazdy, ich błękitne promienie odbijały się w czarnych szybach. Spoza dachu wychylał się dziwny ostrokątny cień. Łoś wpatrywał się w to miejsce, starając się odgadnąć, co to może być.

Chłopiec-pilot pochylił się doń i szepnął z obawą w głosie:

— Ostrożnie, nie trzeba tam chodzić.

Łoś wyjął mauzer z futerału. Wciągnął w płuca chłodne powietrze. Z pamięci wynurzył się obraz płonącego nad przepaścią stosu, poczuł zapach palących się traw. Ujrzał gorące spojrzenie pociemniałych oczu Aelity... „Czy wrócisz?... — pytała, stojąc przy ognisku. — Spełnij swój obowiązek, walcz, zwyciężaj, ale nie zapomnij — to wszystko jest tylko snem, to tylko cienie... Tu, przy ognisku — żyjesz, tu nie umrzesz. Nie zapomnij, wróć...” Stała koło niego. Oczy jej tuż przy jego oczach wpatrywały się w bezdenną noc, pełną gwiazdowego pyłu: „Wróć, wróć do mnie, Synu Nieba...”

To wspomnienie przeszło go żarem i zgasło — trwało zaledwie sekundę, tak długo, jak długo Łoś wydobywał rewolwer z futerału. Rzuciwszy jeszcze raz spojrzenie na dziwny cień po drugiej stronie dachu, poczuł, jak gorąca krew płynie mu do serca — walka, walka.

Lekko pobiegł w kierunku domu. Chwilę nasłuchiwał, prześliznął się pod bocznym murem i zajrzał za róg. Przed wejściem do domu leżał na boku rozbity statek. Jedno jego skrzydło, wzniesione ku gwiazdom, sterczało nad dachem... Łoś rozróżnił kilka przypominających rozrzucone worki postaci — były to trupy.

W domu panowała cisza i ciemność.

„Czyżby Gusiew?” Łoś podbiegł do zabitych. „Nie, to Marsjanie”. Jeden leżał głową w dół na schodach, drugi wisiał wśród szczątków okrętu. Najwidoczniej strzelano do nich z domu.

Łoś podbiegł do schodów. Drzwi były uchylone. Ruszył w głąb domu.

— Aleksieju Iwanowiczu! — zawołał.

Było cicho. Włączył kontakt, zapłonął światłem cały dom. Pomyślał, że jest to nieostrożność z jego strony, ale zaraz o tym zapomniał. Zrobił kilka kroków i pośliznął się na lepkiej kałuży.

— Aleksieju Iwanowiczu! — krzyknął.

Wśluchiwał się — cisza. Wtedy wszedł do wąskiego saloniku, w którym znajdowało się zamglone lustro, usiadł w fotelu i zaczął się zastanawiać: „Czy czekać tu? Czy lecieć na pomoc? Ale dokąd? Do kogo należy ten rozbity statek? Zabici nie wyglądają na żołnierzy — są to przypuszczalnie robotnicy. Kto z nimi stoczył tu walkę? Czy Gusiew? Czy ludzie Tuskuba? Nie wolno zwlekać”.

Wziął tablicę rozdzielczą i włączył lustro: „Plac Rady Najwyższej Inżynierów”. Pociągnął za sznurek, lecz w tej samej chwili straszliwy grzmot odrzucił go od lustra: tam w czerwonym świetle latarń klębiły się chmury dymu, wybuchały stosy iskier. Jakaś postać o zalanych krwią oczach przysłoniła całe pole widzenia.

Łoś pociągnął za sznur. Odwrócił się od ekranu.

„Czyż Gusiew nie da znaku, gdzie go szukać w tej zawierusze?”

Z rękoma założonymi do tyłu Łoś spacerował tam i z powrotem po saloniku. Nagle drgnął, przystanął, szybko się odwrócił, z trzaskiem odbezpieczył rewolwer. Przez drzwi przy samej podłodze wysunęła się jakaś głowa. Zobaczył rude włosy i pomarszczoną twarz.



Podskoczył do drzwi. Leżał przy nich Marsjanin w kałuży krwi. Łoś wziął go na ręce, podniósł i ułożył w fotelu. Nieszczęśliwy miał rozdarty brzuch.

— Śpiesz się, giniemy, Synu Nieba — ledwo dosłyszalnym głosem powiedział Marsjanin. — Ratuj nas... Otwórz moją rękę.

Łoś otworzył kostniejącą pięść umierającego i wyjął z niej kartkę papieru.

„Posyłam po was okręt wojenny z siedmiu robotnikami — z trudem odczytał Łoś. — Są to ludzie, na których można polegać. Otoczyliśmy Dom Rady Najwyższej Inżynierów. Łądujcie na sąsiednim placu, koło wieży. Gusiew”.

Łoś nachylił się nad rannym, by dowiedzieć się, co tu zaszło, lecz Marsjanin już tylko chrypiał wstrząsany dreszczem.

Łoś ujął jego głowę w swoje dłonie. Marsjanin przestał chrypieć, oczy jego wylazły z orbit. Miały teraz wyraz przerażenia i błogości zarazem: „Uratuj...” Światło w oczach rannego nagle zgasło, usta wykrzywił śmiertelny skurcz.

Łoś zapiął kurtkę, szyję owinął szalem i ruszył do wyjścia. Lecz gdy tylko otworzył drzwi, zza kadłuba rozbitego statku wytrysnął snop błękitnych iskier i ciżbę nocną przeszył stłumiony odgłos wystrzału. Kula strąciła hełm z jego głowy. Zaciskając zęby Łoś zbiegł ze schodów, rzucił się w kierunku statku i z ogromnym wysiłkiem, naciskając całym ciężarem swojego ciała, przewrócił kadłub statku na tych, którzy siedzieli w zasadzce.

Rozległ się trzask pękającego metalu i przeraźliwy pisk; wielkie, sterczące do góry skrzydło opadło, przygniatając wypełzających spod odłamków Marsjan. Skulone figurki biegly zygzakami po zamglonej polance. Łoś dopędził ich jednym susem i wystrzelił. Najbliższy

Marsjanin upadł na wznak, prosto w trawę. Drugi rzucił karabin i usiadł na ziemi, chowając twarz w dłoniach.

Łoś złapał go za kołnierz srebrzystej kurtki i podniósł jak szczeniaka do góry. Był to żołnierz.

— Czy nasłał cię Tuskub? — zapytał Łoś.

— Tak, Synu Nieba.

— Zabiję cię!

— Dobrze, Synu Nieba.

— Na czym przylecieliście? Gdzie jest wasz statek?

Zawieszony w powietrzu, przed strasznym obliczem Syna Nieba, Marsjanin rozszerzonymi z przerażenia oczyma pokazał na drzewa: w ich cieniu stała niewielka łódź wojskowa.

— Czy widziałeś w mieście Syna Nieba?

— Tak.

— Lećmy do niego. Prowadź statek.

Łoś wskoczył do łodzi wojskowej. Marsjanin siadł przy kierownicy. Zawył motor. Na spotkanie im rzucił się nocny wiatr. W czarnym niebie zaczęły się kołysać ogromne, dzikie gwiazdy.

## PRZYGODY GUSIEWA

○ dziesiątej rano Gusiew odleciał z posiadłości Tusku do Soacery, zabierając ze sobą mapę lotniczą, broń, żywność i sześć ręcznych granatów — w tajemnicy przed Łosiem Gusiew przewiózł je z Piotrogradu.

W południe Gusiew zobaczył Soacere. Ulice śródmieścia były puste. Dookoła Domu Rady Inżynierów, na ogromnym placu w kształcie gwiazdy, stały okręty wojskowe i wojsko, tworząc trzy koncentryczne koła.

Gusiew obniżył lot. Zauważono go. Z placu pionowo wzbił się w górę błyszczący statek o sześciu skrzyd-



łach. Na pokładzie jego stały srebrzyste figurki. Gusiew zatoczył koło nad statkiem. Ostrożnie wyjął z plecaka granat.

Na statku zaczęły wirować kolorowe koła i zadrżały druty na masztach.

Gusiew wychylił się z łodzi i pogroził Marsjanom pięścią. Na statku rozległ się słaby okrzyk i srebrzyste figurki podniosły króciutkie karabinki do góry. Z ich luf zionęły kłębki żółtego dymu. Gwizdnęły kule. Od łodzi Gusiewa oderwał się kawałek burty.

Gusiew wesoło zaklął i gwałtownym ruchem skierował swoją łódź na statek. Pędząc jak wicher nad wrogim okrętem, rzucił nań granat. Usłyszał odgłos ogłuszającego wybuchu. Wyprostował kierownicę i obejrzał się. Koziołkując w powietrzu, dymiąc i rozpadając się na części, okręt runął na dachy.

Od tego wszystko się zaczęło.

Lecąc nad miastem, Gusiew poznawał place, gmachy rządowe, arsenał i dzielnice robotnicze, które oglądał w zamglonym lustrze. Pod długim fabrycznym murem szumiał, niby morze w czasie burzy, wielotysięczny tłum Marsjan. Gusiew zniżył swój lot. Tłum cofnął się. Łoś wylądował na uwolnionym placu.

Poznano go. Tysiące rąk podniosło się w górę, tysiące krtani wybuchło krzykiem: „Magacytl! Magacytl!” Tłum zaczął nieśmiało przysuwać się do niego. Widział drżące twarze, błagalnie wpatrzone oczy, szkarłatne jak rzodkiewki, łyse czaszki. Był to szary tłum robotniczy, biedota.

Gusiew wylazł z łódki, zarzucił worek na ramię i ruchem powitalnym wysoko podniósł rękę.

— Witajcie, towarzysze! — Zapanowała martwa cisza. Wśród tego tłumu, składającego się ze szczupłutkich, drobnych Marsjan, Gusiew robił wrażenie olbrzyma.

— Chciałbym się dowiedzieć, czy zebraliście się po to, żeby dyskusje prowadzić, czy po to, żeby wojować? Jeśli chcecie dyskutować, to beze mnie, nie mam na to czasu, żegnajcie...

Ciężkie westchnienie wyrwało się z piersi tłumu.

— Ratuj nas, ratuj! Synu Nieba! — rozległo się kilka zrozpaczonych głosów i tłum podchwycił ten okrzyk.

— A więc chcecie walczyć? — powiedział Gusiew i krzyknął ochryplym głosem: — Walka już się rozpoczęła. Przed chwilą napadł na mnie okręt wojenny. Posłałem go do wszystkich diabłów. Do broni, za mną! — krzycząc to, uczynił taki ruch, jakby chwycił konia za uzdę.

Przez tłum przepychał się Gor. Gusiew od razu go poznał. Gor był szary ze zdenerwowania, wargi mu drżały. Wpił się palcami w ramię Gusiewa.

— Co to ma znaczyć? Do czego nawołujesz? Nas zniszczą. Nie mamy broni. Nie mamy żadnych środków do walki...

Gusiew wydarł się z uścisku jego ręki.

— Najważniejszą bronią jest decyzja. Kto jest zdecydowany, ten zdobywa władzę. Nie po to przyleciałem z Ziemi, żeby tu rozmowy prowadzić... Leciałem po to, żeby nauczyć was, jak trzeba się decydować. Porośliście mchem, towarzysze Marsjanie. A więc ci, którzy nie lękają się śmierci — za mną! Gdzie jest wasz arsenał? Po broń! Wszyscy za mną!...

— Aj-aj-aj — zapiszczeni Marsjanie.

Zrobił się wielki ścisk. Gor rozpaczliwym ruchem wyciągnął ręce w kierunku tłumu.

Tak rozpoczęło się powstanie. Nareszcie znalazł się wódz. Entuzjazm ogarnął tłumy. Gor, który powoli i w oparciu o teorię przygotowywał powstanie i nie zmienił swojej taktyki nawet po wczorajszym zajściu,



teraz nagle jak gdyby się obudził. Wygłosił dwanaście płomiennych przemówień, które zamglone lustra nadały dla dzielnic robotniczych.

Czterdzieści tysięcy Marsjan ruszyło na arsenał. Gusiew podzielił tłum na niewielkie grupki, które posuwały się pod osłoną domów, drzew i pomników. Wydał rozkaz, by przy wszystkich lustrach kontrolnych, informujących rząd o sytuacji w mieście, stanęły kobiety i dzieci; polecił im wykrzykiwać pogroźki pod adresem Tuskuba. Zastosował ten podstęp w celu uśpienia czujności rządu.

Najbardziej obawiał się Gusiew ataku ze strony statków powietrznych. Ażeby odciągnąć uwagę przeciwnika, wysłał pięć tysięcy nie uzbrojonych Marsjan do centrum miasta; mieli oni domagać się ciepłej odzieży, chleba i chawry.

— Żaden z was nie wróci żywy — powiedziała. — Pamiętajcie o tym. W drogę!

Jak gdyby z jednej wspólnej krtani pięć tysięcy Marsjan zawołało: „Aj, aj, aj!” — po czym uczestnicy pochodu otworzyli ogromne parasole z napisami i ruszyli na śmierć śpiewając smutną zabronioną piosenkę:

Pod szklanymi dachami,  
Pod żelaznymi łukami  
Wali dym z kamiennego garnka z chawrą.  
Wesoło nam, bardzo wesoło,  
Dajcie nam do rąk kamienny garnek!  
Aj, aj, aj! Już nie wrócimy,  
Nie wrócimy do kopalni,  
Ani do kamieniołomów,  
Nie wrócimy do strasznych  
Martwych korytarzy,  
Ani do maszyn, ani do maszyn.  
Chcemy żyć! Aj-aj! Żyć!  
Dajcie nam do rąk kamienny garnek!

Wkrótce zniknęli sprzed oczu, pochłonął ich labirynt wąskich uliczek.

Arsenału, niskiego kwadratowego gmachu w starej

części miasta, strzegł mały oddział wojskowy. Żołnierze stali półkolem na placu przed okutą brązem bramą, zasłaniając dwie dziwne maszyny złożone z drutów spiralnych, z dysków i kul. Taką maszynę widział już Gusiew w opuszczonym domu. Powstańcy podążali tu mnóstwem krętych uliczek, aż otoczyli wreszcie mocne, strome mury arsenału.

Wyglądając zza węgła i przebiegając z miejsca na miejsce pod osłoną drzew, Gusiew obejrzał plac, na którym miała się rozegrać walka; po obejrzeniu doszedł do wniosku, że arsenał należy zdobywać atakiem frontalnym, uderzając wprost na bramę. Przechodząc koło jednego z domów, polecił wyważyć drzwi z brązu i ciągnąć je na sznurach. Idącym do ataku kazał przeczyć naprzód hurmem i wrzeszczeć przy tym w sposób jak najbardziej przeraźliwy to swoje „aj, aj, aj!”

Straż arsenału spokojnie spoglądała na zamęt, panujący na bocznych uliczkach, tylko maszyny zostały wysunięte nieco naprzód i po spirali drutów zaczęło przebiegać fioletowe światło. Widząc to Marsjanie mrużyli oczy i mówili ściszonymi świszczącymi głosami: „Miej się na baczności, Synu Nieba!”

Nie było czasu do stracenia.

Gusiew chwycił za sznury i wyteżając się z całych sił zaczął ciągnąć drzwi z brązu i chociaż były bardzo ciężkie, dawał sobie jakoś radę.

W ten sposób pod osłoną ściany dotarł do placu — znajdował się już kilka kroków od wejścia do arsenału. Szeptem wydał rozkaz, by szykowano się do ataku. Wytarł czoło rękawem: „Teraz pokażemy, co potrafimy” — przemknęło mu przez myśl i podnosząc drzwi, użył je jako tarczy.

— Oddajcie arsenał!... Oddajcie, do wszystkich dia-



blów! — ryknął jakimś nie swoim głosem i uginając się pod ciężarem pobiegł w kierunku żołnierzy.

Rozległ się odgłos kilku strzałów i brzęk kul, odskakujących od brązowych drzwi. Gusiew zachwiał się i rozwścieczony pobiegł szybciej, klnąc okropnie. A dookoła niego z wyciem i piskiem, wyskakując ze wszystkich bram, zza wszystkich drzwi, ze wszystkich klatek schodowych, biegło mnóstwo Marsjan. W powietrzu z hukiem rozerwała się bomba. Lecz atakujący tłum stratował żołnierzy i maszyny.

Wymyślając Gusiew dobiegł do bramy i rogiem brązowych drzwi uderzył w zamek. Wrota otworzyły się z trzaskiem. Gusiew wbiegł na kwadratowe podwórko, gdzie stały rzędy skrzydlatych okrętów.

Arsenał został zdobyty. Czterdzieści tysięcy Marsjan otrzymało broń. Gusiew połączył się telefonicznie z Domem Rady Inżynierów i zażądał wydania Tuskuba.

W odpowiedzi na to żądanie rząd wysłał przeciwko arsenałowi eskadrę powietrzną... Gusiew wyleciał jej na spotkanie wszystkimi statkami arsenału. Okręty rządowe rzuciły się do ucieczki. Ale dopędzono je i rozbito nad ruinami starożytnej Soacery. Okręty padały z nieba do nóg olbrzymiego posągu uśmiechniętego Magacytla o zamkniętych oczach. Światło zachodzącego słońca odbijało się w łuskach jego hełmu.

Niebo zostało zdobyte przez powstańców. Rząd ścigał oddziały policyjne do Domu Rady Najwyższej. Na dachu jego ustawiono maszyny, wysyłające pociski wybuchowe w postaci piorunów kulistych. Część statków, znajdujących się w rewolucyjnej eskadrze, stracono. Ku wieczorowi Gusiew rozpoczął oblężenie placu Domu Rady i wydał rozkaz budowania barykad na ulicach, rozchodzących się promieniście od placu centralnego. „Nauczę was robić rewolucję, diabły cegla-

ste!" — przygadywał Gusiew pokazując, jak należy wywracać płyty trotuaru, wyrwać drzwi, napętnać koszule piachem.

Naprzeciwko Domu Rady Najwyższej powstańcy ustawili dwie zdobyte w arsenale maszyny i skierowali ogień na wojsko. Dowództwo rządowe unieszkośliwiło jednak ten atak, otaczając plac polem elektromagnetycznym.

Wówczas Gusiew wygłosił swoje ostatnie w tym dniu przemówienie, bardzo krótkie, ale za to dobitne: wlaź na barykadę i cisnął kolejno trzy granaty. Siła wybuchu była przerażająca: trzy stosy płomieni wystrzeliły w powietrze, a wraz z nimi wyleciały w górę kamienie, kawałki maszyn, żołnierze. Plac zniknął w chmurze kurzu i gęstego dymu. Marsjanie z wyciem ruszyli do ataku. (Był to ten właśnie moment, w którym Łoś, znajdujący się wówczas w domu Tusku, zajrzał do zamglonego lustra).

Na rozkaz wrogiego dowództwa pole magnetyczne zostało zlikwidowane. Z obu stron nad placem nad walczącymi zatańczyły ogniste piłki wybuchające granatowym płomieniem. Od grzmotów drżały posępne piramidy domów.

Walka trwała niedługo. Przesadzając pokryty trupami plac, Gusiew wdarł się na czele wyborowego oddziału do domu Rady Najwyższej. Dom był pusty. Tusku oraz wszyscy inżynierowie uciekli.

## ZWROT

**W**ojska powstańcze zajęły wszystkie najważniejsze punkty, które wskazał Gor. Noc była chłodna. Straże marzły na swych posterunkach. Gusiew kazał rozpaścić ognisko. Wywołało to ogólne zdumienie — od tysięcy lat już nie rozpalano w mieście ognia, o płasa-



jących płomieniach śpiewano tylko w starożytnej pieśni.

Ułożywszy stos z połamanych mebli, Gusiew pierwszy rozpałił ognisko przed Domem Rady Najwyższej. „Ułła, ułła” — zaczęli po cichu zawodzić Marsjanie na widok ognia. I oto na wszystkich placach zapłonęły ogniska. Czerwonawy odblask płomieni ożywił mury domów, migotał w szybach.

W oknach ukazały się błękitnawe twarze, z trwogą i przerażeniem wpatrujące się w nigdy dotąd nie oglądany ogień i w ponure, obdarte postacie powstańców. Wiele z tych domów opustoszało tej nocy.

W mieście panowała cisza. Słysząc było trzask płonących ognisk i pobrzękiwanie broni, jak gdyby życie cofnęło się o tysiące lat wstecz i świat rozpoczął na nowo swój dziejowy pochód. Nawet kosmate, świecące nad ulicami i nad ogniskami gwiazdy wydawały się jakieś inne; ci, którzy siedzieli przy ogniskach, mimo woli podnosili głowy i wpatrywali się w ich zapomniany i od nowa ożywiony w pamięci obraz. Lecąc na skrzydlatym siodle, Gusiew sprawdzał translokację wojsk. Spadał z rozgwieźdzonego mroku na plac i przemierzał go rzucając gigantyczny cień. Wydawał się prawdziwym Synem Nieba, posągiem, który zszedł z kamiennego cokołu. „Magacytl — Magacytl”, szeptali ogarnięci zabobonnym lękiem Marsjanie. Było wielu takich, którzy widzieli go po raz pierwszy i podpełzali doń, aby go dotknąć. Inni znów płakali jak dzieci i mówili: „Nie zginiemy teraz... Będziemy szczęśliwi... Syn Nieba przyniósł nam życie”.

Widział naokoło siebie wątłe ciała, przykryte wyszarzałą, jednakową u wszystkich odzieżą, pomarszczone, ostronose, zniszczone twarze, smutne oczy, od wieków nawykłe do wpatrywania się w obrót kół maszyn lub w mroki kopalni, i chude ręce. Te nie

umiejące wyrażać radości ręce, twarze i oczy, w których odbijał się płomień stosów — zwrócone były w stronę Syna Nieba.

— Odważnie, chłopcy, nie ma się kogo bać. Bądźcie weselsi! — zwracał się do nich Gusiew — nie istnieje takie prawo, które może skazać człowieka na to, by niewinnie całe życie cierpiał — nie bójcie się. Gdy ich pokonamy, życie się do nas uśmiechnie.

Późną nocą wrócił Gusiew do Domu Rady — był zziębnięty i głodny. W sali o sklepionym suficie, pod niskimi, złotymi łukami spało dwudziestu uzbrojonych Marsjan. Lustrzana podłoga zapluta była rozżutą chawrą. Pośrodku sali na blaszanych skrzynkach od nabojów siedział Gor i pisał coś przy świetle latarki elektrycznej. Na stole poniewierały się otwarte pudełka od konserw, flaszki i skórki chleba.

Gusiew usiadł w rogu stołu i chciwie rzucił się na jedzenie. Potem otarł ręce o spodnie, przytknął flaszkę do ust i zapytał ochrypłym głosem:

— Gdzie się podział przeciwnik? Muszę to...

Gor podniósł na niego zaczerwienione oczy, przyjrzał się okrwawionej szmacie, którą obwiązana była głowa Gusiewa, przyjrzał się jego mocnym, żującym szczękom, sterczącym wąsom i rozdętym nozdrzom.

— Nie mogę się w żaden sposób dowiedzieć, gdzie u diabła podziały się wojska rządowe — ciągnął dalej Gusiew. — Na placu leży ich około trzystu, ale przecież armia liczyła nie mniej niż piętnaście tysięcy. Pod ziemię zapadła się, czy co? Przecież ukryć się nie mogli — taka armia, to nie igiełka. Gdyby się zapadła pod ziemię, wiedziałbym o tym. Kiepska sprawa. Nieprzyjaciel może znaleźć się na naszych tyłach.

— Tuskub, rząd, resztki wojsk i część ludności odeszła do labiryntu Królowej Magr, są w podziemiach miasta — powiedział Gor.



Gusiew zerwał się z miejsca.

— Czemu nie mówiłeś o tym od razu?

— Ścigać Tuskuba jest bezcelowe. Siadaj i jedz, Synu Nieba. — Gor wyciągnął z kieszeni paczkę suchej jak pieprz chawry, wziął trochę do ust i zaczął pozwolić żuć. Oczy jego zwilgotniały i pociemniały, zmarszczki wygładziły się.

— Kilka tysięcy lat temu nie budowaliśmy dużych domów, nie mogliśmy ich ogrzewać — elektryczność była nam nie znana. W czasie chłódów zimowych ludność schodziła pod powierzchnię Marsa i kryła się na wielkiej głębokości. Ogromne sale urządzone w wydrążonych przez wodę pieczarach, kolumnady, tunele, korytarze ogrzewane były wewnętrznym żarem planety. W kraterach wulkanicznych temperatura była tak wysoka, że wykorzystywaliśmy ją dla wydobycia pary. Po dziś dzień pracują na niektórych wyspach prymitywne maszyny parowe, pochodzące z tego okresu. Tunele, łączące podziemne miasta, ciągną się w głębi planety. Szukanie Tuskuba w tym labiryncie jest sprawą beznadziejną. On jeden zna tajemne plany labiryntu Królowej Magr — władczyni dwóch światów, rządzącej niegdyś całym Marsem. Sieć tuneli prowadzi z Soacery do pięciuset miast żywych i do przeszło tysiąca wymarłych. W każdym z tych miast są składy broni i porty latających statków. Nasze siły są rozrzucone, jesteśmy marnie uzbrojeni. Tuskub ma regularne wojsko, po jego stronie są właściciele ziemscy, plantatorzy chawry i ci wszyscy, którzy przed trzydziestu laty, po niszczycielskiej wojnie, stali się właścicielami domów w mieście. Tuskub jest mądry i podstępny. Naumyślnie sprowokował ostatnie zajścia, ażeby zdławić resztki oporu... Ach, złoty wiek!... Złoty wiek!

Gor pokręcił głową rzucając na pół przytomne spoj-

zenie. Na policzkach jego wystąpiły fioletowe plamy. Chawra zaczynała nań działać.

— Tuskub marzy o złotym wieku: pragnie zapoczątkować ostatnią epokę Marsa — złoty wiek. Tylko wybrani, tylko godni najwyższego szczęścia wkroczą do tej epoki. Równość jest nieosiągalna, równość nie istnieje. Szczęście powszechne — to wytwór obłąkanych umysłów, otumanionych chawrą. Tuskub powiedział, że dążenie do równości i sprawiedliwości niszczy najwyższe osiągnięcia cywilizacji. — Na ustach Gora ukazała się czerwona piana. — Wracajmy do nierówności, do niesprawiedliwości! Niby drapieżne ichi osaczają nas minione wieki. Niewolnicy zostaną przykuci do maszyn, do warsztatów, do kopalni... Dla jednych — pełnia cierpień. Dla drugich, dla wybrańców — pełnia szczęścia... Oto złoty wiek. Mrok i zgrzytanie zębów. Niech będą przekłete nasze matki i nasi ojcowie! Po co człowiek się rodził? Niech będzie przekłeta chwila, w której się urodziłem!

Gusiew patrzył na niego i nerwowo żuł papierosa.

— Doczekaliście się!... Nie ma co mówić...

Gor siedział pochylony na skrzyniach od nabojów i długo milczał; robił teraz wrażenie zgrzybiałego starca.

— Tak, Synu Nieba. My, mieszkańcy starożytnej Tupy, nie rozwiązaliśmy zagadnienia. Widziałem cię dziś w czasie walki. Szaleje w tobie płomień radości. Jesteś marzycielski, namiętny i beztroski. Wy, Synowie Nieba, rozwiążecie kiedyś zagadnienie bytu. My — nigdy, jesteśmy na to zbyt starzy. Spaliliśmy się, zamieniliśmy się wewnątrz w popiół. Nie wykorzystaliśmy naszej chwili.

Gusiew zaciągnął pasek.

— No, dobrze. Co tam mówić o spopieleniu! Co zamierzasz robić jutro?

— Jutro trzeba przy pomocy lustrzanego telefonu



odszukać Tuskuba i rozpocząć z nim pertraktacje o wzajemnych ustępstwach...

— Od początku głupstwa gadasz, towarzyszu — przerwał mu Gusiew. — Ja wydam rozkazy na jutro: trzeba ogłosić na całym Marsie, że władza przeszła w ręce robotników. Trzeba żądać bezwzględnego posłuszeństwa. Zbiorę paczkę zuchów i ruszę z eskadrą lotniczą na bieguny, zdobędę stacje elektromagnetyczne. Niezwłocznie zatelegrafuję na Ziemię do Moskwy, żeby przysłano nam czym prędzej posiłki. Zbudują aparaty w ciągu pół roku, a droga trwa...

Nagle Gusiew zachwiał się i upadł na stół. Cały dom drżał, ze sklepień posypały się ozdobne rzeźby. Śpiący na podłodze Marsjanie zerwali się z miejsc i z przerażeniem rozglądali się dookoła. Nowy, jeszcze silniejszy wybuch wstrząsnął domem. Rozległ się brzęk tłuczonych szyb. Drzwi się rozwarły. Z placu doleciały krzyki i strzały.

Marsjanie, którzy rzucili się do drzwi, cofnęli się i utworzyli przejście. Na progu ukazał się Syn Nieba — Łoś. Trudno było go poznać: oczy mu zapadły głęboko i pociemniały, biło od nich dziwne światło. Marsjanie usuwali się przed nim ze czcią i lękiem. Jego białe włosy stały dębem.

— Miasto jest otoczone — powiedział Łoś dobitnie i twardo. — Całe niebo roi się od statków wroga. Tuskub burzy dzielnice robotnicze.

## KONTRATAK

Gdy rozległ się drugi wybuch, Łoś wraz z Gorem znajdowali się na schodach pod kolumnami. W północnej stronie miasta trysnął siny wachlarz ognia.

W ślad za grzmotem zerwał się wichur. Szkarłatna łuna objęła połowę nieba.

Na gwiazdzistym placu, załoczonym wojskiem, panowała martwa cisza. Marsjanie w milczeniu patrzyli na pożar. Ginęły ich rodziny i ich domostwa. Wraz z kłębamii czarnego dymu ulatywała ostatnia nadzieja.

Po krótkiej naradzie z Gorem i Łosiem Gusiew kazał przygotować eskadrę lotniczą do boju. Skrzydlate statki znajdowały się w arsenale. Tylko pięć tych ogromnych ważek czuwało na placu. Gusiew wysłał je na zwiady. Statki wzbiły się w górę — niby płomień błysnęły ich skrzydła.

Z arsenału odpowiedziano, że zgodnie z rozkazem wojsko wsiada na okręty. Mijały długie chwile. Łuna rozżarzała się coraz bardziej. Miasto zaległa złowieszczą cisza. Gusiew co minutę posyłał Marsjan do lustrzanego telefonu, by przyspieszali startowanie statków powietrznych. Sam zaś, miotając się ogromnym cieniem po całym placu i krzycząc ochrypłym głosem, usiłował ustawić w szeregi bezładne grupy ludzi. Od czasu do czasu z nasrożoną miną i z najeżonymi wąsami podbiegał do schodów i krzyczał do Gora.

— Powiedz im tam, w arsenale (tu podał niezrozumiały dla Gora wyraz), ażeby pośpieszyli się...

Gor ciągle chodził do telefonu. Nareszcie nadeszła wiadomość, że statki wyruszają. I rzeczywiście, niebawem tuż nad miastem, na tle ogarniętego łuną nieba, poszybowały ważki. Gusiew rozstawił nogi i zadarłszy głowę do góry, z przyjemnością przypatrywał się ich lotowi. W tej właśnie chwili zagrzmiął trzeci, najpotężniejszy wybuch.

Błękitne miecze płomieni przeszły drogę statków, które wzbiły się w górę, zawirowały i znikły. Miejsce ich zajęły chmury popiołu i kłęby dymu.



Pomiędzy kolumnami zjawił się Gor. Głowę wtulił w ramiona. Twarz drżała, usta wykrzywił grymas.  
— Arsenał wysadzony w powietrze. Flota nie istnieje.

Gusiew odchrząknął i przygryzł wąsa. Łoś stał, przyciskając głowę do kolumny i patrzył na lunę. Gor wspiął się na palce i zajął w jego szklane oczy.

— Biada tym, którzy przeżyją dzisiejszy dzień.

Łoś nie odpowiedział. Wtedy Gusiew pokręcił głową i ruszył na plac. Zabrzmiała jego komenda. I oto kolumna za kolumną skierowali się Marsjanie w głąb miasta, na barykady.

Skrzydlaty cień Gusiewa w siodle przelatywał nad placem i z góry rozlegał się jego głos:

— Prędzej, prędzej, ruszajcie się, zdechlaki!

Plac opustoszał. Ogromna luna pożaru oświetliła zbliżające się z przeciwległej strony ważki: wylatywały one fala za falą, zza horyzontu i płynęły nad miastem. Były to statki Tuskuba.

— Uciekaj, Synu Nieba — powiedział Gor — możesz się jeszcze uratować.

Łoś wzruszył tylko ramionami. Zbliżając się statki zniżyły swój lot. Z mroku ulic wystrzeliło na ich spotkanie kilka ognistych kul. To powstańcy ostrzeliwali wrogą flotę. Długie szeregi skrzydlatych galer zataczały koła nad placem, rozłączały się i płynęły nad ulicami i dachami. Ich pokłady raz po raz oświetlały wybuchy. Jedna z galer wywróciła się i zaczęła połamanymi skrzydłami o dachy. Inne lądowały na rogach placu, wyrzucając mnóstwo żołnierzy w srebrzystych kurtkach. Żołnierze rozbiegali się po ulicach. Zaczęła się strzelanina z okien, zza węglów. Leciały kamienie. Statki coraz gęściej pokrywały niebo, coraz więcej purpurowych cieni ślizgało się w mroku.

W pobliżu, na tarasie jednego z domów, Łoś zoba-

czył barczystą postać Gusiewa, ku której właśnie skierowało się pięć, sześć statków. Podniósłszy ogromny kamień Gusiew cisnął go do najbliższych galer. W tej samej chwili otoczył go ze wszystkich stron krąg lśniących skrzydeł.

Wtedy Łoś pomknął do niego, biegł co sił w nogach, jak we śnie. Lecz i nad nim groźnie warcząc motorami i buchając ogniem, zaczęły kołować statki. Zaciśnął zęby, jego przenikliwe spojrzenie notowało każdy szczegół.

W kilku susach przesadził plac i znów zobaczył na tarasie narożnego domu Gusiewa. Oblepił go ze wszystkich stron tłum Marsjan. Przywalony niby niedźwiedź tą kupą ludzi, rozrzucił ją młóćąc dookoła pięściami. Odrzuciwszy jednego z Marsjan, który wczepił mu się w gardło, z wysiłkiem miotał się po tarasie, włócząc za sobą mnóstwo małych figurek. Wreszcie upadł.

Łoś krzyknął i czepiając się występów domu dotarł na taras. Z tłumy kwiczących postaci znowu wyłoniła się głowa Gusiewa z wybaluszonymi oczami i rozbitymi ustami. Kilku żołnierzy wczepiło się w Łosia. Odrzucił ich z obrzydzeniem i runął do kotłującej się kupy ciał. Chwyając żołnierzy zaczął ich wyrzucać niby śmiecie za balustradę. Taras opustoszał. Gusiew usiłował stanąć, głowa mu opadała. Łoś wziął go na rękę, zaniósł do małego, oświetlonego łuną pożaru pokoiku i ułożył na dywanie.

Gusiew chrypiał. Łoś wrócił do drzwi. Koło tarasu przelatywały statki, sunęły ostronose, rozglądające się dookoła twarze. Należało spodziewać się ataku.

— Mstisławie Siergiejewiczul — zawołał Gusiew. Usiadł już, dotykał swojej głowy i pluł krwią. — Wszystkich naszych rozbito... To przechodzi ludzkie pojęcie. Zlecieli się ze wszystkich stron i zaczęli kosić...



Jednych pozabijali, inni pochowali się. Zostałem sam... Ech, jaka szkoda! — Stanął i z trudem zrobił kilka kroków, zatrzymując się przed posągiem jakiegoś najwiodoczniej sławnego Marsjanina. — Poczekaj, draniu!

Złapał posąg i rzucił się do drzwi.

— Aleksieju Iwanowiczu, po co to?

— Nie mogę. Puśćcie!

Stanął na tarasie. Z przelatującego statku błysnął płomień wystrzałów. Potem rozległ się wybuch.

— Aha! — zawołał Gusiew.

Łoś wciągnął go do pokoju i zatrzasnął drzwi.

— Zrozumcie, Aleksieju Iwanowiczu — jesteśmy rozbici, wszystko stracone, trzeba ratować Aelitę...

— Po co mi tą babą zawracacie głowę?...

Usiadł i sapiąc zaczął wykrzykiwać rwącym się głosem:

— Niech to diabli porwą! Wszystko na świecie — nie tak, jak trzeba. Niedobrze się dzieje i na tej przeklętej planecie! „Ratuj nas, błagają, ratuj...” Wołają wciąż: „Żeby choć trochę pokosztować życia!” Życia!... Cóż na to poradzę?... Krew za nich przelałem. Wszystko na nic! Wrażliwy nie jestem, Mstisławie Siergiejewiczu, ale patrzeć na to nie mogę. Zębami dręczycieli rozerwę...

Sapiąc znów ruszył do drzwi. Łoś ujął go za ramię, potrząsnął i surowo spojrzał mu w oczy.

— To, co tu zaszło — to koszmar, to majaczenie w gorączce. Chodźmy. Może uda nam się przebić. Do domu, na Ziemię!

Gusiew rozmasował krew i błoto po twarzy.

— Chodźmy.

Wyszli z pokoju na platformę, tworzącą obręcz nad głęboką studnią. Kręcone, spiralne schody prowadziły w dół. Mętne światło pożaru oświetlało poprzez szklany dach tę zawrotną głębię.

Łoś i Gusiew zaczęli schodzić wąskimi schodami — na dole panowała cisza. Z góry jednak dolatywał odgłos coraz częstszych wystrzałów i słychać było skrzywienie zahaczających o dachy domostw statków. Rozpoczął się widać atak na ostatnie schronisko Synów Nieba.

Łoś i Gusiew biegli nie kończącą się spiralą w dół. Światło stawało się niewyraźne. W półmroku na dole oczy ich odróżniły drobną postać, która z trudem pełzała im na spotkanie. Wreszcie zatrzymała się i zawołała słabym głosem: — Wedrą się tu zaraz! Śpieszcie się! Na dole jest wejście do labiryntu...

Był to ranny w głowę Gor. Mówił zwilżając językiem wargi.

— Idźcie przez wielkie tunele. Uważajcie na znaki na ścianach. Żegnajcie. Jeśli wrócicie na Ziemię, opowiedzcie o nas. Może na Ziemi będziecie szczęśliwi. Naszym udziałem jest lodowaty chłód pustyni, śmierć, smutek... Nie wykorzystaliśmy odpowiedniej chwili... Życie należy kochać miłością namiętą i zaborczą...

Z góry doleciał hałas. Gusiew zbiegł na dół. Łoś chciał pociągnąć Gora za sobą, lecz Marsjanin zaciśnawszy zęby, wczepił się w poręcz schodów.

— Idźcie. Ja tu chcę umrzeć.

Łoś dopędził Gusiewa. Minęli ostatnią platformę. Pionowa drabina prowadziła stąd na dno studni. Na dole zobaczyli wielką kamienną płytę, w którą wśrubowane było żelazne koło. Z trudem pociągnęli płytę do góry, z ciemnego otworu powiał suchy wiatr.

Gusiew ześliznął się na dół pierwszy. Zamykając za sobą płytę Łoś zobaczył, że na schodach zjawiły się, ledwo dostrzegalne w czerwonym półmroku, postacie żołnierzy.



Żołnierze biegli spiralnymi schodami w kierunku Gora. Gor wyciągnął przed siebie ręce i padł pod ich ciosami.

## LABIRYNT KRÓLOWEJ MAGR

Łoś i Gusiew posuwali się ostrożnie w stęchłym i dusznym mroku.

— Skręcamy, Mstisławie Siergiejewiczu...

— Co, wąsko?

— Szeroko, ręce nie sięgają ścian...

— Znów jakieś kolumny. Stój! Gdzie jesteśmy...

Z górą trzy godziny minęło, od chwili kiedy zeszli do labiryntu. Zapałki im się skończyły, a swoją latarkę Gusiew zgubił jeszcze w czasie bójki. Posuwali się w nieprzeniknionym mroku.

Podziemne korytarze, wiodąc coraz bardziej w głąb, rozgałęziały się i krzyżowały bez końca. Niekiedy słychać było wyraźny, jednostajny szum spadających kropel. Rozszerzone źrenice odróżniały jakieś mętne zarysy, lecz te drżące plamy były tylko przywidzeniem, które zrodził mrok.

— Stój!

— Co się stało?

— Nie ma dna.

Zaczęli się wsłuchiwać. Twarze ich owiewał łagodny, suchy wiaterek. Z daleka, z głębi dolatywały jakieś westchnienia — jak gdyby ktoś wdychał i wydychał powietrze. Ogarnęła ich trwoga, gdyż wyczuli, że stoją nad otchłanią. Gusiew wymacał nogami kamień i pchnął go w ciemność. Po paru sekundach doleciało do nich słabe echo upadku.

— Przepaść.

— A co to oddycha?

— Nie wiem.

Zawrócili i natknęli się na mur. W prawo i w lewo ciągnęła się ściana, dłonie ich ślizgały się po szczelinach i występach muru. Brzeg niewidocznej czeluści znajdował się bardzo blisko ściany — mieli go raz po prawej, raz po lewej stronie. Zrozumieli, że zabłądzili i że nie znajdują wejścia, przez które trafili do tego wąskiego korytarza.

Stanęli obok siebie, ramię przy ramieniu, i oparli się o szorstką powierzchnię ściany. Stali i przysłuchiwali się usypiającym westchnieniom wydobywającym się z głębi.

— Czyżby koniec z nami, Aleksieju Iwanowiczu?

— Tak, Mstisławie Siergiejewiczu, chyba koniec.

Po chwili milczenia Łoś zapytał cicho nie swoim głosem:

— Teraz też nic nie widzicie?

— Nie.

— Tam na lewo, daleko?

— Nie, nic.

Przestępując z nogi na nogę Łoś mówił coś sam do siebie.

— Namiętnie i zaborczo kochać życie... Tylko tak...

— O kim mówicie?

— O nich. Ale i o nas też.

Gusiew poruszył się niespokojnie i westchnął.

— Słyszycie, jak dyszy?

— Kto — śmierć?

— Diabli wiedzą, kto! — Gusiew mówił, jak gdyby pogrążony w swoich myślach. — Długo o niej myślałem, Mstisławie Siergiejewiczu. Leżał nieraz człowiek w polu z karabinem, deszcz padał, dookoła mrok. O czym można było myśleć? Myśl sama nawracała do śmierci. Nieraz widziałem siebie skostniałego, z wyszczerzonymi zębami, poniewierającego się niby koń obozowy na brzegu drogi. Nie wiem, co będzie po



śmierci — nie wiem tego. Lecz póki jestem żywy, muszę wiedzieć, czy jestem padliną końską czy człowiekiem? A może to wszystko jedno? Kiedy będę umierał, oczy mi zajdą bielmem, zęby zacisnę, skręci mnie śmiertelny skurcz i koniec... Czy w tej minucie świat, który mnie otaczał, to wszystko, co widziałem swoimi oczyma, przewróci się czy też nie? Strach pomyśleć, że będę gdzieś tam leżał martwy, z wyszczerzonymi zębami — przecież pamiętam siebie od trzeciego roku życia — a na świecie wszystko będzie szło swoim trybem? Nie mogę tego zrozumieć. Od dziewięćset cztertnastego roku zabijamy ludzi i przyzwyczailiśmy się do tego: bo cóż to jest człowiek? Wystarczy weń wycelować i już po nim. Nie, Mstisławie Siergiejewiczu, to nie jest takie proste. Którejś nocy leżałem ranny na wozie, nosem do góry, i na gwiazdy patrzałem. Tęskno i smutno mi było, że aż strach. Co za różnica, myślałem sobie, pomiędzy mną a wszą. Wiesz ma pragnienie — i ja mam. Wszy trudno umierać i mnie tak samo. Czeka nas jednakowy koniec. I patrzę w górę, a tam mnóstwo gwiazd wysypało — była wczesna jesień. Zadrzało we mnie serce. Wydało mi się, że te wszystkie gwiazdy są we mnie. Zrozumiałem wtedy, Mstisławie Siergiejewiczu, że ja to nie to samo co wiesz. Nie. Zalałem się łzami. Tak jest. Człowiek to nie wiesz. Rozłupać moją czaszkę — straszna rzecz, wielka zbrodnia. A ludzie gazy trujące wymyślili. Chcę żyć, Mstisławie Siergiejewiczu! Nie wytrzymam dłużej w tej przeklętej ciemności... Dlaczego właściwie tak stoimy?

— Ona jest tutaj — powiedział Łoś tym samym nie swoim głosem.

W tym momencie z daleka, po niezliczonych korytarzach doleciał odgłos grzmotu. Zadrzał grunt pod nogami, drgnęła ściana. W mroku posypały się ka-

mienie. Fala grzmotu przetoczyła się i ucichła. To był siódmy wybuch. Tuskub dotrzymał słowa. Według odległości, z której doleciał odgłos wybuchu, można było stwierdzić, że Soacera została daleko na zachodzie.

Przez pewien czas słychać było szelest spadających kamyków. Potem zapanowała cisza, zrobiło się jeszcze ciszej niż przed wybuchem. Gusiew pierwszy zauważył, że westchnienia na dole ucichły. Teraz stamtąd dolatywały jakieś dziwne dźwięki — szemranie i syki — miało się wrażenie, że tam wrze jakiś płyn. Gusiew wpadł w szal, rozłożył ręce po ścianie i pobiegł wydając okrzyki, wymyślając, kopiąc po drodze kamienie.

— Korytarz wiedzie dookoła. Słyszycie? Tu musi być wyjście. Cholera, głowę sobie stłukłem! — Przez pewien czas poruszał się w milczeniu, potem doleciały do Łosia słowa rzucone w największym podnieceniu: — Mstisławie Siergiejewiczu... Wyłącznik... Słowo daję, wyłącznik...

Rozległ się zgrzyt zardzewiałego metalu. Pod niską murowaną kopułą zapłonęło mętne światło. Żebra płaskich sklepień tej kopuły opierały się na wąskim kole gzymsu, wiszącego nad okrągłą studnią o średnicy mniej więcej dziesięciu metrów.

Gusiew ciągle jeszcze trzymał w ręku korbkę. Po przeciwnej stronie szybu, pod łukiem kopuły, przyciskając się do muru stał Łoś. Dłonią zasłaniał oczy przed rażącym światłem. Potem Gusiew zobaczył, jak Łoś odjął rękę od oczu i spojrzał na dół. Wpatrując się w dno szybu, pochylał się coraz niżej. Nagle ręce jego zadrżały, jak gdyby strząsał coś z palców. Podniósł głowę, włosy mu się zjeżyły tworząc rodzaj aureoli, oczy rozszerzało śmiertelne przerażenie.

— Coście tam zobaczyli? — zawołał Gusiew i wówczas dopiero spojrzał na dno szybu. A na dole koły-



sała się i falowała jakaś burobrazowa masa. Ona to wydawała ten syczący dźwięk i ten wzmagający się złowieszczy szelest. Masa podnosiła się i wydymała do góry. Cała jej powierzchnia pokryta była wielkimi, jak gdyby końskimi, zwróconymi ku światłu oczyma i kosmatymi łapami.

— Śmierć! — krzyknął Łoś.

Było to ogromne skupisko pajaków. Wybuch widać naruszył ich spokojne bytowanie w ciepłej głębi szybu; zaniepokojone, pnąc się całą masą, zaczęły podnosić się do góry. Syczały przy tym, wydając dźwięki, przypominające szemranie potoku... Oto jeden z pajaków na zgiętych pod ostrym kątem łapach pobiegł po gzymsie.

Wejście na gzyms znajdowało się niedaleko Łosia.

— Uciekaj! — zawołał Gusiew i jednym skokiem przesadził szyb, zahaczając głową o kopułę. Znalazszy się koło Łosia, złapał go za rękę i pociągnął do przejścia w tunelu. Umykali ze wszystkich sił.

Pod sklepieniami tunelu świeciły rozmieszczone z rzadka latarnie. Gęsty kurz leżał na podłodze, na odłamkach kolumn i posągów, na progach wąskich drzwi, prowadzących do innych podziemnych korytarzy. Gusiew i Łoś długo szli wzdłuż tego korytarza, który kończył się salą o płaskich sklepieniach i niskich kolumnach. Pośrodku stał zrujnowany posąg, wyobrażający kobietę o tłustej, okrutnej twarzy. W głębi czerniały otwory pieczar mieszkalnych. I tutaj gruba warstwa kurzu pokrywała zarówno posąg królowej Magr, jak i potłuczone naczynia.

Łoś stanął, oczy miał szkliste i rozszerzone.

— Jest ich tam miliony — powiedział, oglądając się. — Czekają, aż przyjdzie ich godzina, w której owdadną życiem, zapanują na Marsie...

Gusiew pociągnął go do najszerszego, przylegają-

cego do sali tunelu. Szli nim dosyć długo, latarnie świeciły tu mętnie. Minęli most, przerzucony nad przepaścią — na dnie leżały części jakichś gigantycznych maszyn. Szli dalej wzdłuż jednostajnych, pokrytych szarym kurzem murów. Smutek przytłoczył ich dusze. Nogi ugiwały się ze zmęczenia. Łoś kilkakrotnie już zwracał się do Gusiewa.

— Idźcie, ja się położę.

Serce zamierało mu w piersi. Opanowało go straszliwe przygnębienie — szedł potykając się po śladach Gusiewa, po kurzu. Krople zimnego potu ściekały mu z twarzy. Zajrzał tam, skąd nie może być powrotu. A jednak jakaś potężniejsza siła oderwała go od tej granicy między życiem a śmiercią; włókł się więc teraz po nie kończących się, pustych korytarzach.

Tunel raptownie skręcił. Gusiew krzyknął. Przed ich oczyma w półokrągłej ramie zaśnił kobaltowy granat nieba i mieniący się od lodu i śniegu szczyt górski, szczyt tak pamiętny Łosiowi. Wydostali się z labiryntu w pobliżu posiadłości Tuskuba.

## CHAO

**S**ynu Nieba, Synu Nieba — odezwał się cieniutki głosik.

Gusiew i Łoś zbliżali się do domu Tuskuba od strony lasku. Z lazurowego listowia wychyliła się ostro-nosa twarzyczka. Był to chłopiec w szarym futerku — mechanik Aelity. Klasnął w ręce i zaczął skakać z radości, wykrzywiając przy tym twarzyczkę jak tapir. Rozsunąwszy gałęzie, pokazał skrzydlatą łódź, ukrytą między ruinami zbiornika wody.

Opowiedział, że noc przeszła spokojnie, ale tuż nad ranem rozległ się oddalony grzmot i na horyzoncie



zapłonęła luna. Przypuszczając, że Synowie Nieba zginęli, skoczył do łódki i poleciał do schronu Aelity, która również słyszała wybuch i przyglądała się ze szczytu skały dalekiemu pożarowi. „Wróć do domu i czekaj na Syna Nieba — powiedziała do chłopca. — Jeśli wpadniesz w ręce sług mojego ojca, to umrzyj w milczeniu, jeśli Syn Nieba nie żyje, to znajdź jego ciało, weź znajdujący się przy nim kamienny flakonik i przywieź mi go”.

Z zaciśniętymi zębami wysłuchał Łoś opowiadania chłopca. Potem udali się wraz z Gusiewem nad strumyk, by omyć się z krwi i kurzu. Gusiew wyciął z drzewa gruby kij, po czym siedli do łódki i wzbili się w promienny lazur nieba.

Gusiew wraz z mechanikiem wciągnęli łódkę do groty, położyli się przy wejściu i rozwinęli mapę. W tym momencie z góry, ze skały stoczyła się Icha. Patrząc na Gusiewa zakryła twarz dłońmi. Łzy lały się strumieniami z jej zakochanych oczu. Gusiew zaśmiał się radośnie.

Łoś zszedł sam do Świętego Progu. Miał wrażenie, że na skrzydłach wiatru zlatuje po stromych schodach, po wąskich przejściach i po wiszących mostkach. Co się stanie z Aelitą i z nim, czy uratują się, czy zginą? Nie potrafił rozumować, myśli się rwały. Zaprzętało go i wzruszało tylko jedno: że zobaczy zaraz „urodzoną ze światła gwiazd”. Byleby znów ujrzeć jej szczupłą, błękitną twarzyczkę — zapomnieć o wszystkim, zatonać w fali radości.

Szybko minąwszy ledwo widoczny w oparach górskiego jeziora garbaty most, Łoś tak samo, jak i wówczas, zobaczył po drugiej stronie kolumnady księżycową panoramę gór. Ostrożnie stanął na wiszącej nad przepaścią platformie. Święty Próg połyskiwał matowym złotem.

Było upalnie i cicho. Pragnął ucałować czule rudy mech noszący ślady jej nóg.

Na dole wznosiły się nagie szczyty gór. Na tle głębokiego granatu lśniły lodowce. Przejmująca tęsknota ścisnęła mu serce. Oto popiół ogniska, oto zgnieciony mech, tu śpiewała Aelita pieśń ułły. Jaszczurka o spiczastym grzbiecie z sykiem przebiegła po głazach i zamarła w bezruchu, odwracając do niego głowę.

Łoś zbliżył się do trójkątnych drzewiczek w skale, uchylił je i wszedł go groty.

Oświetlona zwieszającym się z sufitu kagankiem spała wśród białych poduszek Aelita. Leżała na wznak, zarzuciwszy nagie ramię pod głowę. Jej szczupła twarzyczka była smutna i łagodna, zaciśnięte powieki drgały — zapewne miała jakieś sny.

Wzruszony Łoś usiadł u jej wezgłowia i z rozczuleniem patrzył na towarzyszkę swojej doli i niedoli. Zniósłby najsroźsze męki, by cień smutku nigdy nie padł na tę cudowną twarz, ażeby nie dopuścić do zagłady tej uroczej młodości, aby nic nie przerwało tego równego oddechu. Gdy oddychała, pasmo popielatych włosów wznosiło się i opadało na jej policzek.

Myśl Łosia powróciła do stworów, które oddychają, szeleszczą i syczą na dnie studni, oczekując swojej godziny. Jęknął pod wpływem bólu i przerażenia. Aelita obudziła się i westchnęła. Oczy jej przez chwilę spoglądały nieprzytomnie na Łosia. Brwi ze zdumienia uniosły się w górę. Opierając się obydwoma rękoma na poduszkach, Aelita usiadła.

— Synu Nieba — powiedziała czule i po cichu. — Kochany mój, najdroższy...

Nie przykryła swojej nagości, tylko rumieniec wstydu z lekka zabarwił jej policzki. Łosiowi wydało się, że plecy Aelity o błękitnawym odcieniu i wąskie biodra zrodzone są ze światła gwiazd. Nadal klęczał w



milczeniu koło jej łóżka — radość ujrzenia ukochanej była tak wielka, że stracił mowę. Gorzkawo-słodki aromat jej ciała przysłaniał mu cały świat.

— Widziałam cię we śnie — powiedziała Aelita. — Niosłeś mnie w ramionach po szklanych schodach, wchodziłeś coraz wyżej i wyżej. Słyszałam bicie twojego serca, czułam falowanie napływającej krwi. Ogarnęła mnie tęsknota. Czekałam, że się zatrzymasz, że ukoisz moją tęsknotę. Chcę poznać miłość. Znam tylko ból tęsknoty... Obudziłeś mnie. — Umilkła, podniosła ku niemu oczy. — Jak dziwnie patrzysz na mnie, mój olbrzymiel

Nagle odsunęła się od niego. Wargi miała na wpół otwarte, wydawało się, że chce się bronić jak małe zwierzątko.

— Chodź do mnie — głuchym głosem powiedział Łoś.

Potrząsnęła głową.

— Jesteś podobny do strasznego Cza.

Zasłonił twarz dłońmi, próbował się opanować, czując, że w nim płonie i szaleje pożar. Oderwał ręce od twarzy.

— Co ci? — cicho spytała Aelita.

— Nie bój się.

Przysunęła się doń i powiedziała ledwo dosłyszalnym szeptem:

— Boję się Chao. Umrę.

— Nie bój się. Chao — to ogień, to życie... Nie bój się Chao. Chodź, ukochana moja!

Wyciągnął do niej ręce. Aelita westchnęła cichutko, rzęsy przysłoniły blask jej oczu, twarz zbladła. I nagle gwałtownym ruchem zgasła kaganek.

Jej palce zaplątały się w śnieżnych włosach Łosia...

Za drzwiami pieczary rozległ się hałas, przypominający brzęczenie mnóstwa pszczół. Ale ani Łoś, ani Aelita nie słyszeli go. Hałas za drzwiami wzmógł się. I oto z przepaści wyfrunął niby monstualna osa ogromny, zahaczający dziobem o skały okręt wojenny.

Statek zawisł na wysokości pieczary. Z burty wyrzucono drabinę. Po niej zszedł Tuskub, prowadząc oddział żołnierzy w pancerzach i w metalowych hełmach.

Żołnierze utworzyli półkole przed grotą. Tuskub zbliżył się do trójkątnych drzwi i zapukał w nie laską.

Łoś i Aelita pogrążeni byli w głębokim śnie. Tuskub odwrócił się do żołnierzy i wskazując laską na grotę rozkazał:

— Weźcie ich!

## UCIECZKA

Okręt wojenny szybował przez pewien czas nad skałami Świętego Progu, ale potem skierował się w stronę Azory i tam wylądował. Wówczas Icha i Gusiew pobiegli na dół. Na wydeptanej platformie zobaczyli Łosia, leżał przy wejściu do groty, twarzą ku ziemi, w kałuży krwi.

Gusiew wziął go na ręce — Łoś nie oddychał, oczy jego były mocno zamknięte, na piersi i na głowie miał zakrzepłą krew. Aelity nigdzie nie było widać. Zbierając w grocie jej rzeczy Icha zanosila się od płaczu. Nie znalazła tylko płaszcz z kapiszonem, widocznie martwą lub żywą Aelitę zabrano w tym płaszczu na pokład okrętu.

Icha zrobiła tłumoczek z tego, co zostało po „zrodzonej ze światła gwiazd”. Gusiew zarzucił Łosia na



plecy i ruszyli z powrotem przez mosty nad kipiącym w mroku jeziorem i po schodkach zawieszonych nad tonącymi we mgle przepaściami — tą drogą powracał niegdyś Magacytl, niosąc przywiązany do kołowrotka pasiasty fartuch dziewczyny aolskiej i zwiastując w ten sposób pokój i życie swojemu ludowi.

Na górze Gusiew wyprowadził łódź z pieczary i posadził w nią zawiniętego w prześcieradło Łosia, po czym ściągnął pasek, nasunął głębiej hełm i rzekł surowym głosem:

— Żywy im się nie poddam. Lecz jeśli uda mi się powrócić na Ziemię... To wrócimy tutaj... (Tu zostały wypowiedziane trzy niezrozumiałe słowa.) — Z tymi słowami wszedł do łódki i wypróbował kierownicę. — A wy, przyjaciele, idźcie do domu czy gdzie chcecie — zwrócił się do Ichy i mechanika. — Nie wspominajcie mnie źle. — Wychylił się z pokładu i pożegnał się z mechanikiem i z Ichą. — Nie zabieram cię, Ichciu, bo lecę na pewną śmierć. Dziękuję ci, najdroższa, za miłość. Tego my, Synowie Nieba, nie zapominamy. Żegnaj!

Popatrzał na słońce, zmrużył oczy i wzbił się w górę. Icha i chłopiec w szarym futerku długo patrzyli za odlatującą łodzią Synów Nieba. Nie zauważyli jednak, że na południu, zza księżycowych skał, wzniósł się w niebo, przecinając im drogę, skrzydlaty punkcik. Gdy łódź Gusiewa rozplynęła się w potokach słońca, Icha z taką rozpaczą rzuciła się na omszone głązy, że chłopiec przestraszył się — czyżby chciała też porzucić posępną Tume?

— Icha, Icha — powtarzał żałośnie. — Cho tua mirratua, murra...

Gusiew nie od razu zauważył przecinający mu drogę okręt wojenny. Sprawdziwszy mapę spoglądał na oddalające się pasmo górskie Liziaziry i kierował się

na wschód, ku polom kaktusowym, tam gdzie pozostał aparat.

Za nim w łodzi siedział Łoś, przykryty rozwiewającym się na wietrze i przylepiającym się do ciała prześcieradłem. Był nieruchomy i robił wrażenie śpiącego — postać jego nie miała w sobie nic z potwornej bezmyślności trupa. Dopiero teraz odczuł Gusiew, jak drogi mu jest ten towarzysz.

Katastrofa odbyła się w sposób następujący: Gusiew, Ichcia i mechanik siedzieli w grocie, koło łódki — nastrój był wesoły. Nagle z dołu doleciały odgłosy strzałów. Potem — krzyk. A po chwili z przepaści niby jastrzęb wzbił się w górę okręt wojenny, pozostawiając na dole nieruchome ciało Łosia. Okręt zaczął zataczać koła, badając okolice.

Gusiew splunął za burtę — miał już Marsa powyżej uszu. Marzył o tym, by jak najprędzej dotrzeć do aparatu i wlać Łosiowi do ust kroplę spirytusu. Dotknął jego ciała: było ledwie ciepłe. Nie występowały jednak objawy kostnienia. „Bóg da — przyjdzie do siebie” — myślał Gusiew, wiedząc z własnego doświadczenia, że kule Marsjan nie czynią dużej szkody. „Ale czy nie za długo trwa to omdlenie” — pomyślał z niepokojem i odwrócił się, by spojrzeć na zachodzące słońce. W tym momencie zobaczył spadającą z góry statek.

Gusiew z miejsca zawrócił na północ, aby uniknąć spotkania. Ale to samo uczynił okręt. Od czasu do czasu nad jego pokładem wybuchały żółte kłęбки dymu. Gusiew wzbił się w górę. Liczył na to, że lecąc w dół, podwoi szybkość i ucieknie od prześladowcy.

W uszach gwizdał lodowaty wicher, lzy nabiegały do oczu i zamarzały na rzęsach. Stado chaotycznie wymachujących skrzydłami obskurnych ichi rzuciło się na łódkę. Ale nie nadażyło za nią i pozostało w ty-



le. Gusiew od dawna już nie orientował się co do kierunku. Krew huczała mu w skroniach, rozrzedzone powietrze chłostało lodowatym biczem. Wreszcie Gusiew zdecydował się i na pełnym gazie ruszył w dół. Okręt został w tyle i znikł za horyzontem.

Na dole, jak daleko sięgało oko, widać było teraz czerwonomiedzianą pustynię. Dookoła żadnego śladu życia, ani jednego drzewka. Jedynie cień łódki przelatywał po płaskich wzgórzach, po falach piachu i po szczelinach połyskującego niby szkło gruntu. Gdzieś tam rzuciły smutny cień ruiny jakichś domostw. Cała pustynia poorana była łożyskami wyschniętych kanałów.

Słońce chyliło się ku równej linii horyzontu, po niebie rozlewało się miedziano-smutne światło zachodu, a Gusiew ciągle widział pod sobą sfalowaną pustynię piachów, wzgórza, ruiny zasypywanej pyłem, umierającej Tумы.

Szybko zapadła noc. Gusiew wylądował na piaszczystej równinie. Wyskoczył z łódki, odchylił przesćieradło z twarzy Łosia, podniósł jego powieki, przylgnął uchem do serca — Łoś nie był ani żywy, ani martwy. Na jego palcu wskazującym Gusiew zauważył zawieszony na łańcuszku kamienny, odkorkowany flakonik.

— Ach, pustynia, pustynia — westchnął Gusiew odchodząc od łodzi. W bezmiarze czarnego nieba zapłonęły lodowate gwiazdy. W ich świetle piach robił wrażenie szarego. Było tak cicho, że uszy łowiły szelst piachu, osypującego się do głębokich śladów nóg... Męczyło pragnienie. Do duszy wpełzała tęsknota.

— Ach, pustynia, pustynia! — Gusiew wrócił do łódki i usiadł przy kierownicy. Dokąd lecieć? Układ gwiazd na niebie był dziwaczny i nieznan.

Włączył motor, lecz śruba po zrobieniu paru obrotów stanęła. Motor odmawiał posłuszeństwa — pudło z proszkiem wybuchowym było puste.

— Nie ma rady — sam do siebie powiedział Gusiew. Znowu wylazł z łódki, wetknął kij za pas i wyciągnął Łosia. — Chodźmy, Mstisławie Siergiejewiczu — zarzucił go sobie na plecy i ruszył grzęznąc po łydki w piachu. Szedł długo; doszedłszy do pobliskiego pagórka złożył Łosia na pokrytych piachem stopniach jakichś schodów, po czym przyjrzał się w świetle gwiazd samotnie sterczącej na szczycie wzgórza kolumnie i położył się na wznak. Śmiertelne znużenie, niby odpływ, zaszumiało w jego krwi.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, czy długo tak leżał. Piasek go chłodził, krew tętniła wolniej. Wreszcie Gusiew usiadł i tęsknie podniósł głowę do góry. Niewysoko nad pustynią świeciła posepna, szkarłatna gwiazda. Robiła wrażenie wielkiego ptasiego oka. Gusiew wpatrywał się w nią jak zaczarowany.

— Ziemia! — zawołał. Wziął Łosia na plecy i pobiegł w kierunku gwiazdy. Wiedział teraz, w której stronie znajduje się aparat.

Ciężko dysząc i oblewając się potem, Gusiew przekakiwał ogromnymi susami kanały, potykał się o kamienie i z okrzykami wściekłości biegł coraz dalej i dalej — wciąż miał przed oczyma bliską, ciemną linię horyzontu. Kilka razy kładł się twarzą na piasek, ażeby oparami wilgoci odświeżyć spieczone usta. Potem znów podnosił towarzysza i szedł dalej, wpatrzony w czerwone promienie Ziemi. Jego wielki cień sunął samotnie po cmentarzysku świata.

Zapłonął ostry, wyszczerbiony sierp Ołły. W środku nocy weszła okrągła Lichta — jej światło było łagodne i srebrzyste, podwójne cienie legły na falach piasku. Te dwa dziwne księżyce płynęły po niebie —



jeden w górę, drugi zaś ku zachodowi. W ich świetle zgasł Talcetl. Z daleka widniały lodowate szczyty Liziaziry.

Pustynia skończyła się. Zbliżał się świt. Gusiew wyszedł na pole kaktusowe. Zwalił nogą jedną z roślin i chciwie nasycił głód jej pulchnym, wodnistym mięszem. Gwiazdy zgasły. Na fioletowym niebie zarysowały się różowe brzegi obłoków. Nagle do uszu Gusiewa doleciał odgłos uderzeń żelaznych młotków; jednostajny, metalowy dźwięk przeszywał ciszę poranka.

Wkrótce Gusiew zrozumiał, o co chodzi: ponad zaroślami kaktusów sterczały trzy maszty wrogiego okrętu wojennego. Stamtąd dolatywały odgłosy uderzeń — to Marsjanie burzyli aparat.

Gusiew pobiegł pod osłonę kaktusów i zobaczył jednocześnie statek i ogromny, zardzewiały garb aparatu. Ze dwudziestu Marsjan waliło wielkimi młotami po jego nitowanej karoserii. Praca najwidoczniej dopiero co się rozpoczęła. Gusiew położył Łosia na piachu i wyjął swój kij dębowy zza pasa.

— Zapamiętajcie mnie dobrze, sukinsyny! — jakimś obcym, piskliwym głosem wrzasnął Gusiew, wyskakując zza krzaków. Podbiegłszy do okrętu jednym uderzeniem kija zmiażdżył metalowe skrzydło, strącił maszt i uderzył w burtę jak w beczkę. Z wewnątrz okrętu wyskoczyli żołnierze. Rzucając broń, posypali się jak groch z pokładu i rozbiegli się na wszystkie strony. Żołnierze, rozbijający aparat, z cichym wyciem poczołgali się po bruzdach i skryli w zaroślach. Pole w ciągu minuty opustoszało — tak wielkie przerażenie ogarnęło Marsjan wobec wszechwiedzących i nie dających się pochwycić śmierci Synów Nieba.

Gusiew odśrubował luk, podciągnął do aparatu Łosia i obaj Synowie Nieba skryli się w jego wnętrzu.

Zatrzasnęła się pokrywa. Przyczajeni za krzakami kaktusów Marsjanie zobaczyli niezwykle i wstrząsające widowisko.

Ogromne, rdzawe jajo, wielkości domu, zagrzmiało, uniosły się w górę brązowe chmury pyłu i dymu. Na skutek straszliwych wstrząsów zadrżała Tuma. Z wyciem i rykiem gigantyczne jajo zaczęło skakać po kaktusowym polu. Zawisło w obłoku kurzu i niby meteor śmignęło w niebo, zabierając straszliwych Magacytlów do ich ojczyzny.

## NIEBYT

No, jak tam, Mstisławie Sergiejewiczu — żyjecie?

Coś oparzyło usta Łosia. Płynny ogień rozlał się po żyłach i po kościach. Łoś otworzył oczy. Zamglona gwiazdka płonęła tuż nad nimi. Niebo było dziwne: żółte i stebnowane jak kufer. Coś miarowo stukało, zamglona gwiazdka drżała.

— Która godzina?

— Zegar stoi, więc nie wiem — odpowiedział czyjś głos.

— Od dawna lecimy?

— Od dawna, Mstisławie Sergiejewiczu.

— A dokąd?

— Diabli wiedzą, nie mogę się połapać, mrok i gwiazdy... Walimy do kosmicznej przestrzeni.

Łoś znów zamknął oczy, usiłując przebić pustkę niepamięci, lecz żadne wspomnienie nie stanęło przed jego oczyma, znów pogrążył się w głębokim śnie.

Gusiew przykrył go jak najcieplej i wrócił do przyrządów obserwacyjnych. Mars wydawał się teraz mniejszy od spodeczka. Księżycowymi plamami odcinały się na nim zarysy wyschniętych mórz i martwych



pustyń. Zasypany piachem dysk Tummy stawał się coraz mniejszy, aparat odlatywał coraz dalej, do nieprzeniknionego mroku. Niekiedy w oko wpadał promyk gwiazdy. Lecz na próżno Gusiew rozglądał się dookoła — czerwonej gwiazdy nigdzie nie było.

Gusiew ziewnął i zazgrzytał zębami — opanowała go nuda otaczającej pustki wszechświata. Sprawdził zapasy wody, żywności, tlenu, po czym owinął się w koc i położył obok Łosia.

Minął jakiś nieokreślenie długi okres czasu i Gusiewa obudził głód. Łoś leżał z otwartymi oczami; twarz jego o wpadniętych policzkach, pokryta zmarszczkami, była dziwnie postarzała.

— Gdzie my jesteśmy? — spytał szeptem Łoś.

— Cały czas w tym samym miejscu, w przestrzeni.

— Przecież byliśmy na Marsie.

— Widocznie zupełnie straciliście pamięć, Mstisławie Siergiejewiczu.

— Tak, coś ze mną nie w porządku. Chcę sobie przypomnieć, ale wszystko się jakoś płacze. Nie mogę zrozumieć, co to właściwie było — czyżby sen? Dajcie mi pić...

Łoś zamknął oczy i po chwili spytał zmienionym głosem:

— Czy ona też była tylko snem?

— Kto?

Łoś nie odpowiedział, spuścił głowę i znów zamknął oczy.

Gusiew zajrzał kolejno do wszystkich okienek obserwacyjnych, ale dookoła panował nieprzenikniony, beznadziejny mrok. Nie miał chęci myśleć, nie chciał wspominać tego, co było, na nic nie czekał. Po co? Usypiająco terkotał motor i rytmicznie drgał aparat mknąc z zawrotną szybkością w bezdennej pustce.

Minął znów jakiś straszliwie długi okres czasu. Gu-

siew siedział skurczony, skuty obezwładniającym pół-  
snem. Łoś spał. Chłód wieczności osiadał niedostrze-  
galnym pyłem na sercu i na mózgu.

Straszny jęk rozdarł nagle ciszę. Gusiew poderwał  
się, wytrzeszczając z przerażenia oczy. Krzyczał Łoś  
stojąc pośród rozrzuconych kołder — bandaż opadał  
mu na twarz.

— Ona żyje!

Podniósł kościste ręce do góry i rzucił się do skó-  
rzanej ściany, waląc w nią pięściami i wpijając w nią  
paznokcie.

— Ona żyje! Puśćcie mnie... Duszę się! Ona była,  
ona istniała!...

Długo szamotał się i krzyczał, aż opadł wreszcie  
całkowicie wyczerpany na ręce Gusiewa. Znowu na-  
stąpiła cisza, Łoś znowu pogrążył się we śnie.

Gusiew nadal siedział skulony pod kołdrą. Niby po-  
piół zagasły w nim wszelkie nadzieje, skostniały uczu-  
cia. Słuch przyzwyczaił się do żelaznego tętna apa-  
ratu i nie chwycił już dźwięków. Łoś bełkotał i jęczał  
we śnie, twarz jego niekiedy rozświetlało niezwykłe  
szczęście.

Gusiew spoglądał na śpiącego i myślał: „Masz szczę-  
ście, że śpisz, mój kochany! Nie budź się, nie trzeba,  
śpij, śpij... Gdy się obudzisz, skurczysz się jak ja pod  
kołdrą i zaczniesz drzeć jak wrona na zmarzłym pnia-  
ku. Ach, ta noc, ta noc, chyba to już koniec wszyst-  
kiego!...”

Nie chciało mu się nawet zamknąć oczu — siedział  
skurczony, wpatrując się w jakiś połyskujący gwoź-  
dzik. Nadeszło wielkie zubożenie, zbliżał się nie-  
byt...

W ten sposób przemknęła niezmierna przestrzeń  
czasu.



Nagle rozległy się dziwne szmery i hałasy, coś od zewnątrz ocierało się o żelazny pokrowiec aparatu.

Gusiew otworzył oczy. Stopniowo wracała mu przytomność, zaczął nasłuchiwać. Wydawało mu się, że aparat sunie między zwałami kamieni i żwiru. Coś zważyło się na ścianę i pełzło po niej. Dolatywały szmery i szurania. Coś uderzyło o ścianę z przeciwnej strony — aparat zatrzęsł się. Gusiew obudził Łosia. Podpełzli do okienek obserwacyjnych i wydali jednocześnie okrzyk zdumienia. Otaczała ich pustynia, usłana połyskującymi jak diamenty odłamkami. Kamienie i zwały krystalicznych głazów lśniły jak gwiazdy. A nad dalekim horyzontem tej diamentowej pustyni zawisło wśród czarnej nocy kosmate słońce.

— Mijamy najprawdopodobniej głowę komety — szepetem powiedział Łoś. — Włączcie reostaty. Należy wyrwać się z tego obszaru, w przeciwnym razie kometa porwie nas ku słońcu.

Gusiew przywarł okiem do górnego okienka obserwacyjnego. Łoś zajął miejsce przy reostatach. Uderzenia o pokrowiec aparatu wzmagaly się.

— Ostrożniej — na prawo głaz! — wołał Gusiew z góry — pełnym gazem... Góra, góra leci... Przejechaliliśmy... chodu, chodu, Mstisławie Siergiejewiczul

## ZIEMIA

Diamentowe pola stanowiły ogon błakającej się w przestrzeni komety. W ciągu dłuższego czasu aparat wciągnięty w orbitę jej przyciągania, lawirował wśród kosmicznych kamieni. Szybkość jego lotu wzrastała bez przerwy, działały niezłomne prawa matematyki — stopniowo kierunek lotu aparatu i meteorytów zmieniał się: powstał rozszerzający się coraz bardziej ką.

Złocista mgławica — głowa nieznanej komety oraz jej ogon — potok meteoroidów — wszystko to mknęło po hiperboli, wzdłuż beznadziejnej krzywej, aby zatoczywszy krąg naokoło słońca na wieki zniknąć w przestrzeni międzyplanetarnej. Krzywa lotu aparatu coraz bardziej zbliżała się do elipsy.

Prawie nieziszczalna nadzieja powrotu na Ziemię zbudziła Łosia i Gusiewa do życia. Teraz nie odrywając się od okienek obserwacyjnych wpatrywali się w niebo. Słońce tak nagrzewało aparat z jednej strony, że zmuszeni byli się rozebrać.

Pola diamentowe pozostały gdzieś daleko w dole. Wydawały się teraz iskierkami, po czym przekształciły się w białą mgławicę i znikły. Oto z ogromnej odległości ujrzeli mieniącego się tęczowymi pierścieniami i otoczonego satelitami Saturna. Aparat oderwany siłą przyciągania komety znów wracał do systemu słonecznego.

Przez pewien czas mrok przecinała jakaś linia świetlna. Wkrótce jednak zbladła i zgasła. Były to asteroidy — rój drobnych planetek wirujących dookoła słońca. Ich siła przyciągania jeszcze bardziej wygięła krzywą lotu aparatu. Nareszcie poprzez jedno z górnych okienek Łoś zobaczył dziwny, oślepiający, wąski sierp — była to Wenus. Prawie w tej samej chwili Gusiew, obserwujący niebo przez inne okienko, zaczął straszliwie sapać i cały czerwony i spocony odwrócił się do Łosia.

— Ona, jak Boga kocham, ona!

W czarnym mroku ciepłym światłem promieniała srebrzysto-granatowa kula. Obok niej jeszcze jaskrawiej płonęła mała, nie większa od jagody borówki kuleczka. Aparat mknął nieco bokiem w stosunku do nich. Wówczas Łoś postanowił zastosować niebezpieczny manewr ustawienia szyjki aparatu tak, aby wy-



buchy nadały mu inny kierunek lotu. Manewr się udał. Kierunek zaczął się zmieniać. Ciepła kula powoli stanęła w zenicie.

Przestrzeń czasu mknęła bez przerwy. Łoś i Gusiew albo wpatrzeni byli w okienka obserwacyjne, albo ścięci zmęczeniem padali na rozrzucone skóry i kołdry. Siły ich dobiegały kresu. Męczyło pragnienie, zapasy wody były wyczerpane.

Nagle na pół przytomny Łoś zobaczył, że skóry, worki i kołdry zaczęły pełznąć po ścianach. W powietrzu zawisło nagie do pasa ciało Gusiewa. Robiło to wrażenie gorączkowych wizji. Po chwili zawieszony w powietrzu Gusiew leżał plackiem przy okienku obserwacyjnym. Lecz oto stanął, złapał się za serce i bełkocząc coś, zaczął trząść rozczochraną czupryną, twarz jego zalała się łzami, wąsy opadły.

— Matko, matko rodzona!

Mimo stanu zamroczenia Łoś zrozumiał, że aparat odwrócił się i leci szybką do przodu, porwany siłą przyciągania Ziemi. Doczołgawszy się do reostatów, przykręcił je — aparat zadrżał, rozległy się grzmoty. Pochylił się nad okienkiem obserwacyjnym.

W mroku wisiała ogromna, wodnista, zalana słońcem kula. Oceany robiły wrażenie błękitnych, zarysy wysp odcinały się zielenią, chmury kryły przed oczyma jakiś ład. Wilgotna kula obracała się powoli. Łzy przeszkadzały patrzeć. Dusza płacząc z miłości mknęła na spotkanie tego błękitnawego, nasyconego wilgocią świata. Ojczyzna ludzkości! Rdzeń życia! Serce kosmosu!

Kula ziemską przesłoniła połowę nieba. Łoś wykręcił reostaty do ostatecznych granic. Lot jednak miał zbyt gwałtowny przebieg — pokrowiec rozzarzył się, zaczął topnieć, skórzane obicie aparatu dymiło. Ostatnim wysiłkiem Gusiew odkręcił pokrywę łuku. W o-

twór wtargnął lodowaty wichur. Ziemia otwierała objęcia na powitanie synów marnotrawnych.

Uderzenie było bardzo mocne. Pokrowiec pękł. Aparat zarył się głęboko w porośniętą trawą pagórek.

Było południe, niedziela, trzeci czerwca. W wielkiej odległości od miejsca upadku — na brzegu jeziora Michigan — ludzie pływający w łodziach, siedzący na otwartych werandach restauracji i kawiarni, puszczaający w bezchmurne niebo latawce — wszyscy ci ludzie, którzy wyjechali na dzień niedzielnego odpoczynku po to, by nacieszyć się pięknem zielonych brzegów, szumem czerwcowego listowia, usłyszeli dziwne, trwające około pięciu minut wycie.

Wycieczkowicze, którzy pamiętali wojnę światową, mówili, że tak wyły zazwyczaj pociski ciężkiej artylerii. Wielu spośród nich udało się spostrzec szybko prześlizgujący się, jajokształtny cień.

Przed upływem godziny wielki tłum zebrał się koło miejsca upadku aparatu. Ciekawi nadbiegali ze wszystkich stron, przełazili przez parkany, mknęli samochodami i w motorówkach. Pokryte warstwą spalenizny, zgniecione i pęknięte jajo stało pochylając się na bok na pagórku. Na jego temat wypowiedziano wiele przypuszczeń, ale jedno było bardziej bzdurne od drugiego. Szczególnie wzrosło podniecenie tłumu, kiedy został przeczytany wyryty rylcem na pół otwartej pokrywie napis: „RSFRR. Wylecieliśmy z Piotrogradu 18 sierpnia 192... roku”. Zdumiało to obecnych szczególnie dlatego, że był przecież 3 czerwiec tysiąc dziewięćset... Jednym słowem, notatka na aparacie zrobiona została trzy i pół roku temu.

Gdy zaś z wnętrza tajemniczego aparatu doleciały słabe jęki, tłum umilkł i cofnął się w przerażeniu. Zjawił się oddział policji, lekarz i dwunastu koresponden-



tów z aparatami fotograficznymi. Otworzono luk i wy-  
ciągnięto z wnętrza aparatu, zachowując jak najwięk-  
szą ostrożność, dwóch półnagich ludzi: jeden z nich  
chudy jak szkielet, w poważnym wieku, z białymi wło-  
sami, leżał bez przytomności — drugi, z rozbitą twa-  
rzą i złamanymi rękoma, wydawał żałosne jęki. W tłu-  
mie rozległy się głosy współczucia i płacz kobiet. Wę-  
drowców z nieba wniesiono do samochodu i przewie-  
ziono do szpitala.

Głosem wezbrany szczęściem i dźwięcznym jak  
kryształ śpiewał ptak za oknem. Śpiewał o promieniu  
słońca, o błękitnie nieba. Nieruchomo leżąc wśród po-  
duszek, Łoś słuchał tego śpiewu. Łzy ściekały po jego  
pooranych zmarszczkami policzkach. Kiedyś słyszał  
już ten kryształowy głos. Ale gdzie i kiedy?

Za oknem, przez na wpół odchyloną, z lekka wydetą  
porannym wietrzykiem firankę widać było lśniącą jak  
srebro rosę na trawie. Cienie wilgotnych liści porusza-  
ły się na firance. Ptak śpiewał. Gdzieś daleko zza lasu  
wylaniał się biały, gęsty obłok.

Czyjeś serce tęskniło za tą ziemią, za obłokami, za  
szumem ulewy, za lśniącą rosą i za olbrzymami, któ-  
rzy wędrują wśród zielonych pagórków... Przypomniał  
sobie — tak samo pewnego słonecznego ranka nie na  
Ziemi śpiewał ptak o snach Aelity... Aelita... Czy ist-  
niała naprawdę? Może to był tylko sen? Nie. Szklany  
głosik ptaka śpiewa o tym, że kiedyś nad wieczorem  
błękitnawa kobieta o szczupłej, smutnej twarzyczce,  
siedząc w nocy przy ognisku, śpiewała prastarą pieśń  
o miłości.

Oto czemu łzy ciekną po policzkach Łosia. Ptak  
śpiewa o tej, która pozostała za gwiazdami i o starym,  
siwym marzycielu, który przemierzył niebiosy.

Wiatr mocniej poruszył firanką, brzeg jej bardziej

się odchylił i do pokoju wpadł zapach miodu, ziemi i wilgoci.

Pewnego dnia, właśnie takiego ranka, w szpitalu zjawił się Skyles. Ucisnął mocno rękę Łosia — „Winiszuję, drogi przyjacielu” — i zsunąwszy kapelusz na tył głowy, usiadł koło łóżka.

— Mocno panu ta podróż dała się we znaki — powiedział Skyles. — Byłem przed chwilą u Gusiewa, ten świetnie się trzyma; rękę ma w gipsie, szczeka złamana, ale ciągle się śmieje — zadowolony bardzo, że powrócił. Posłałem do jego żony, do Piotrogradu pięć tysięcy dolarów i depeszę. Depeszowałem w pańskiej sprawie do swojego pisma; otrzymał pan ogromną sumę za swoje „Szkice z podróży”. Ale będziecie musieli udoskonalić wasz aparat — lądowaliście bardzo niedobrze. U diabła! — w głowie wprost się nie mieści, że to już cztery lata minęło od tego szalonego wieczoru w Piotrogradzie! Radzę panu, drogi przyjacielu, wypić kieliszek dobrego koniaku, to panu przywróci życie.

Skyles prowadził wesołą rozmówkę, ale równocześnie z troską spoglądał na Łosia. Sam zaś miał twarz pogodną i opaloną, oczy gorzały żądzą ciekawości. Łoś wyciągnął do niego rękę.

— Cieszę się, że pan mnie odwiedził, panie Skyles.

## GŁOS MIŁOŚCI

**C**hmury śniegu leciały wzdłuż Wybrzeża Zdanowskiego. Zadymka tańczyła na trotuarach, oszalałe płatki śniegu wirowały wokół kołyszających się latarni. Śnieg zasypał bramy wejściowe i okna, za rzeką zamieć szalała w jęczącym parku.



Wzdłuż wybrzeża, z podniesionym kołnierzem, zgijnając się pod naporem wichru, szedł Łoś. Ciepły szal rozwiewał się za jego plecami, nogi ślizgały się po lodzie, wiatr chłostał twarz. O zwykłej porze wracał z fabryki do swojego samotnego mieszkania. Mieszkańcy Wybrzeża Żdanowskiego przyzwyczaili się do jego dziwnej postaci, do kapelusza o szerokim rondzie, do szala, zakrywającego dół twarzy, i do przygarbionych pleców. Nawet wtedy, kiedy się kłaniał i wiatr rozwiewał jego białe włosy, nikogo już nie zastanawiało dziwne spojrzenie jego oczu, które ujrzaly to, czego jeszcze nikt na Ziemi nie oglądał.

W dawnych czasach jego dziwaczna, wlokąca się wśród śniegów postać w rozwiewającym się szalu, dałaby zapewne natchnienie jakiemuś młodemu poecie. Lecz teraz były inne czasy: poetów nie zachwycały ani zamiecie śnieżne, ani gwiazdy, ani kraje położone poza kresem świata. Porywały ich natomiast rozlegające się w całym kraju uderzenia młotów, syczenie pił, szelest sierpów, gwizd kos — wesołe, ziemskie pieśni.

Już pół roku minęło od dnia powrotu Łosia na Ziemię. Pierwsza sensacja, która wybuchła na wieść o przybyciu dwóch ludzi z Marsa, przeminęła. Łoś i Gusiew zjedli przepisową ilość dań na stu pięćdziesięciu bankietach, kolacjach i zebraniach naukowych. Gusiew sprowadził z Piotrogradu Maszę, wystroił ją jak lalkę, udzielił kilkuset wywiadów, pół roku rozjeździł po Ameryce i po Europie, opowiadając o walkach z Marsjanami, o pająkach i o kometach oraz o tym, jak omal nie trafił z Łosiem na Wielką Niedźwiedzicę. Wróciwszy do Rosji Gusiew założył „Towarzystwo dla przerzucenia oddziału bojowego na Marsa, w celu ratowania resztek tamtejszej klasy robotniczej”.

Łoś pracował w jednej z fabryk maszyn w Piotrogradzie, budował uniwersalny motor na wzór motorów na Marsie.

Koło szóstej wieczór wracał do swojego samotnego mieszkania. Samotnie zjadał kolację. Przed zaśnięciem otwierał zazwyczaj książkę; wiersze poetów i pomysły powieściopisarzy wydawały mu się dziecinnym gaworzeniem. Zgasiwszy światło pogrążał się we wspomnieniach, długo wpatrywał się w ciemność i rozmyślał.

Tego dnia o zwykłej porze Łoś wracał do domu. Szalejąca zamieć pędziła chmury śniegu. Śnieżycą kurzyła z dachów i z gzymsów, kołysała latarnie. Wiatr ścinał oddech.

Nagle Łoś się zatrzymał i podniósł głowę. Wiatr rozerwał śnieżne chmury. W bezdennym, czarnym niebie błysnęła gwiazda. Łoś wpatrywał się w nią szaleńczym spojrzeniem — promień jej godził wprost w jego serce... „Tuma, Tuma, gwiazda smutku...” Lecące chmury znów przysłoniły przestworza, gwiazda znikła. W tym krótkim ułamku sekundy w pamięci Łosia z przerażającą wyrazistością odżyło wspomnienie, które dotychczas stale przed nim umykało...

W jego sen wdziera się nagle jakiś hałas — jest jak brzęczenie roju rozwścieczonych pszczół. Rozlegają się gwałtowne uderzenia. Śpiąca Aelita drga i budzi się z westchnieniem, w mroku pieczary nie widzi jej twarzy, ale czuje bicie jej serca. Walenie do drzwi się wzmagają. Za drzwiami rozlega się głos Tuskuba: „Weźcie ich”. Łoś przyciska ją do siebie.

— Mężu mój, Synu Nieba, żegnaj — mówi ledwo dostłyszalnym głosem Aelita.

Jej palce lekko dotykają jego twarzy. Łoś znajduje po omacku rękę Aelity, odbiera flakonik z trucizną. Słyszy szybkie, jednym tchem wymawiane słowa:

— Złożyłam śluby, jestem poświęcona Królowej



Magr. Według okrutnego, starożytnego prawa Królowej Magr, dziewicę, która łamie śluby, rzucają do labiryntu, do studni. Widziałeś ją... Lecz nie mogłam walczyć z miłością do ciebie. Jestem szczęśliwa. Dziękuję ci za to, że ukazałeś mi życie. Cofnąłeś mnie do tysiąclecia Chao. Dziękuję ci, mężu mój...

Pocałowała go, poczuł gorzki smak trucizny na jej wargach. Wypił wówczas resztki gorzkiego płynu z flakonika. Aelita ledwo zdążyła wyciągnąć doń rękę. Uderzenia do drzwi powtórzyły się i Łoś musiał wstać, choć zaczynał tracić przytomność, a ręce i nogi odmawiały posłuszeństwa. Powrócił do ukochanej i przycisnął jej ciało do siebie. Kiedy do groty weszli Marsjanie, nie poruszył się. Oderwali go od żony, przykryli ją płaszczem i wynieśli z groty. Ostatnim wysiłkiem woli usiłował pochwycić brzeg jej płaszcza, lecz skierowano doń strzały i tępe uderzenia w pierś odrzuciły go aż pod złote drzwi groty...

. . . . .  
Zmagając się z wiatrem, Łoś biegł wzdłuż wybrzeża. W pewnej chwili przystanął znowu pośród kurza-  
wy śnieżnej i tak jak wówczas, w mrokach wszech-  
świata, zawołał w przestrzeń:

— Żyje... Żyje... Aelita, Aelita...

Wściekły wichur podchwycił to po raz pierwszy wymówione na Ziemi imię i rozwiął je w śnieżnej zawierusze. Łoś schował podbródek w szal, ręce do kieszeni i chwiejnym krokiem powlókł się do domu.

Przed wejściem stał samochód. W smugach światła, rzuconych przez jego latarnie, wirowały białe muchy. Człowiek w puszystym futrze przytupywał zmarzłymi podeszwami po trotuarze.

— Przyjechałem po was, Mstisławie Siergiejewi-

czu — zawołał wesoło. — Siadajcie do maszyny, jedziemy.

Był to Gusiew, który szybko wyjaśnił, o co chodzi: dzisiaj o godzinie siódmej wieczór radiostacja, jak i co dzień w ciągu tego tygodnia, oczekuje odbioru niezwykle silnych tajemniczych sygnałów. Szyfr jest odbiorcom nie znany. Od tygodnia już wszystkie pisma świata głowią się nad rozwiązaniem zagadki, związanej z tymi sygnałami. Są przypuszczenia, że pochodzą one z Marsa. Kierownik radiostacji zaprasza na dzisiejszy wieczór Łosia, by rozwiązał tajemnicę tych fal.

Łoś w milczeniu wsiadł do samochodu. Jeszcze bardziej szaleńczo zawirowały białe płatki w świetle latarni. Pęd wichru uderzył go w twarz. Nad śnieżną pustynią Newy płonąła fioletowa luna miasta, wzdłuż wybrzeża lśniły latarnie — światła, światła i światła... Gdzieś daleko wyła syrena łamacza lodów.

Samochód stanął na końcu ulicy Czerwonych Zórz, na śnieżnej polanie, otoczonej uginającymi się pod gwizdzącym wichrem drzewami, koło domku o okrągłym dachu. Ponuro zawodziły przewody elektryczne, tonące w chmurach zawiei śnieżnej. Łoś otworzył zasypane śniegiem drzwiczki, wszedł do ciepłego domku, zrzucił szal i kapelusz. Rumiany, tłusty człowiek, trzymając jego zaczerwienioną od zimna rękę w swoich ciepłych pulchnych dłoniach, zaczął mu coś wyjaśniać. Wskazówka zegara zbliżała się do siódmej.

Łoś usiadł przy aparacie i założył słuchawki. Wskazówki wlokły się powoli. O chwile, odliczone szybkim biciem serca, o lodowata przestrzeni wszechświata!...

Cichy głos odezwał się w słuchawkach. Łoś zamknął oczy. Znowu zabrzmiał szept, daleki, trwożny, zwolna wymawiający słowa. Powtarzał się jakiś dziw-




ny wyraz. Łoś wytężył słuch. Miał wrażenie, że ten cichy głos przeszył błyskawicą jego serce.

— Gdzie jesteś, gdzie jesteś, gdzie jesteś, Synu Nieba? — bezustannie niosły się z oddali przepojone smutkiem dźwięki.

Zapanowała cisza. Łoś patrzył przed siebie zbiegającymi, rozszerzonymi oczyma... To głos Aelity, głos miłości, wieczystej tęsknoty, mknie po wszechświecie, wołając i przyzywając do siebie — gdzie jesteś, gdzie jesteś, miłości...



T-4720

akc. 322/56  E.O.

67.





I

4720

